

MOCNA DEKLARACJA JAROSŁAWA GOWINA

Jak europejski trybunał może wkrótce doprowadzić do autodestrukcji Unii



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 35/287 27 SIERPNIA–2 WRZEŚNIA 2018
CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Bondaryk na celowniku
prokuratury

**GOCIEK
RADZI,
CZY WARTO
OBEJRZEĆ
„ROJSTĄ”**



Za co wydano z Polski
Ludmiłę Kozłowską

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA OPOZYCJI W PODZIEMIU

Opowieść political fiction Łukasza Warzechy



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



9 772299 850000
Nakład: 88,5 tys. egzemplarzy



OLIVIA
BUSINESS CENTRE



Organizacja I zjazdu delegatów NSZZ Solidarność w Hali Olivia w 1981 roku,
możliwa była dzięki podpisaniu Porozumień Sierpniowych.
Fot. Leonard Szmaglik / zbiory ECS
eprasa.pl/8d37ba74d1



W mieście, w którym tworzyła się Solidarność
pracujemy, by świat zmieniał się na lepsze.
Inspiruje nas solidarność ludzi pracy, ich odwaga
w imię wolnej i sprawiedliwej Polski.

Gdańsk, 31 sierpnia 2018 r.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Uwagi nie całkiem banalne

Wakacje dobiegają końca, więc również kampania wyborcza zaczyna, używając nieco wyświechtanego zwrotu, nabierać rumieńców. Coraz więcej też można powiedzieć o strategii poszczególnych kandydatów i ugrupowań.

Najbardziej chyba paradoksalną kampanię prowadzi Kukiz'15, który jako ostatni ogłosił, kto będzie jego kandydatem na prezydenta Warszawy. Sytuacja była nieco kabaretowa: poseł Marek Jakubiak mówił, że on, owszem, nie uchyla się, ale kandydaturę może zgłosić jedynie lider, czyli Paweł Kukiz. Ten zaś uparcie milczał. Można było sądzić, że to świadoma strategia muzyka, element kontestacji systemu partyjnego. Ostatecznie, w czwartek, Kukiz zadeklarował, że stawia na Jakubiaka. Gdyby to zrobił wcześniej, mogłoby to mieć duże znaczenie, teraz trudno uwierzyć, żeby pojawienie się nowego kandydata zmieniło sytuację w stolicy.

Nie mniej osobliwie wyglądają losy ugrupowania, które ma tworzyć prezydent Słupska,

Robert Biedroń. Miesiące medialnej promocji, wygibasy i umizgi zdały się na niewiele. Najbardziej znany homoseksualista celebryta może liczyć na ledwo 5 proc. wyborców. Do sondażu można mieć zaufanie, bo powstał na zlecenie OKO.press, więc środowiska wspierającego samodzielne ambicje Biedronia. Taki wynik na początku to faktycznie kres marzeń o nowej, tęczowej, nieskażonej błędami i wypaczeniami przeszłości lewicy. Jednak Biedroń może jeszcze wnieść swój wkład w budowę wspólnej antypisowskiej koalicji – nawet kilka procent poparcia skutecznie osłabia Nowoczesną i SLD.

Wszystko to bardzo ciekawe, chociaż w rzeczywistości prawdziwą wojnę, tak jak od lat, toczyć będą PiS i PO. Ale i tutaj trudno spodziewać się sensacji. Z dużym prawdopodobieństwem Platforma wygra w dużych miastach, PiS odniesie zwycięstwo w małych miastach i na prowincji. Największą zagadką są wyniki kampanii w Warszawie i Krakowie, gdzie kandydaci prawicy mają

realną szansę na zwycięstwo. Szczególnie zaskakuje Warszawa. Sukcesy sondażowe Patryka Jakiego wynikają tyleż z jego własnej aktywności, ile z niemrawości konkurenta, Rafała Trzaskowskiego, który robi wrażenie, jakby jeszcze się nie obudził. Uderzać musi też pewnie wysokie poparcie dla Małgorzaty Wassermann w Krakowie – w oczywisty sposób jest to nagroda wyborców za jej pracę w komisji śledczej ds. Amber Gold. 2 października przed komisją stanie najprawdopodobniej Donald Tusk. To od przebiegu tego przesłuchania zależeć może w dużej mierze kwestia zwycięstwa w Krakowie. W pozostałych dużych miastach sprawa wydaje się w dużej mierze przesądzona i PiS wielkich szans na zwycięstwo nie ma. Niby jest to stwierdzenie banalne, chociaż z drugiej strony w obecnej polskiej sytuacji nabiera całkiem niebanalnego znaczenia. W jakim to bowiem innym autorytarnym reżimie, pytam, dyktator musi się liczyć z przegranymi wyborami? Im większe szanse ma opozycja na zwycięstwo w dużych miastach, tym bardziej zadaje kłam swojej własnej propagandzie o upadku demokracji.

Być może z politycznego punktu widzenia najciekawsze będzie jednak starcie PiS z PSL na wsi. Gdyby Zjednoczonej Prawicy udało się teraz odciąć PSL od sejmików i pozbawić działaczy tej partii stanowisk, przywilejów i wpływów, miałyby to też ogromne znaczenie dla przyszłych wyborów do Sejmu. Wynik PSL poniżej 10 proc. na prowincji byłby wyraźnym znakiem, że zbliża się kres. To zaś pozwoliłoby PiS myśleć z większym spokojem o wyborach do Sejmu w 2019 r. Wybory w Polsce wygrywa bowiem nie ten, kto kontroluje duże miasta, ale prowincję. ©©

RYSUNEK TYGODNIA

*Myślałeś sobie, że diabeł nie mówi po polsku,
a tu niespodzianka!*





SWISS MILITARY
HANOWA

Challenge Time



Chrono Classic

Swiss Made



butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl 8d37ba74d1



TEMAT TYGODNIA

18 ŁUKASZ WARZECHA
**DZIEŃ Z ŻYCIA OPOZYCJI
W PODZIEMIU**

Political fiction po polsku

22 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ŚMIECHU WARTO

26 ROZMOWA Z TWÓRCĄ RUBRYKI
MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH
OŚRODKÓW

RZECZYWISTOŚĆ DOGANIA SATYRĘ

KRAJ

28 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM GOWINEM
SĄD NAJWYŻSZY NIE MA I PREZESA
Państwo trzeba wymyślić na nowo

32 KAMILA BARANOWSKA
WIELKA MOBILIZACJA W PIS

34 WOJCIECH WYBRANOWSKI
„BOND” W OPAŁACH

36 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POWRÓT NIEMOŻNOŚCI

38 PIOTR SEMKA
SPÓR O WOLNE MIASTO

42 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZAMKNIĘTY DIALOG

KULTURA

44 ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM SŁOWIŃSKIM
ARCHITEKT W DRODZE NA OŁTARZE
Antoni Gaudí. Czarodziej architektury

48 PIOTR GOCIEK
W BAGNIE PRL-U

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
Z PERSPEKTYWY KARDYNAŁA
„Chrystus jest zawsze nowoczesny”
– tę książkę trzeba przeczytać

60 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
DLACZEGO TAK PÓŹNO?

HISTORIA

64 PIOTR SEMKA
**KARTOFLANA
ŚMIERĆ**
Wystawa o wielkim
głodzie w Irlandii

68 ROZMOWA
Z POWSTAŃCEM
JULIUSZEM
KULESZĄ

**POWSTANIE ROBIŁO Z WARSZAWIAKAMI
NIESAMOWITE RZECZY**



ŚWIAT

74 JACEK PRZYBYLSKI
PUTIN WRACA DO GRY
Największe manewry wojenne
od pół wieku

78 KS. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI
PEDOFILIA W IRLANDII

EKONOMIA

82 ŁUKASZ ZBORALSKI
UBIERAMY ŚWIAT
Polska odzież na całym globie

86 PAWEŁ WITASZEK
MOTOZAPAŚĆ

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z MARCINEM CZECEM
CZYM BĘDZIEMY SIĘ LECZYĆ?
Wiceminister zdrowia o polityce lekowej

91 ROZMOWA Z PROF. EWĄ MARCINOWSKĄ-
SUCHOWIERSKĄ
**ZŁODZIEJ KOŚCI
I SPRAWNOŚCI**

Święci w „Do Rzeczy”

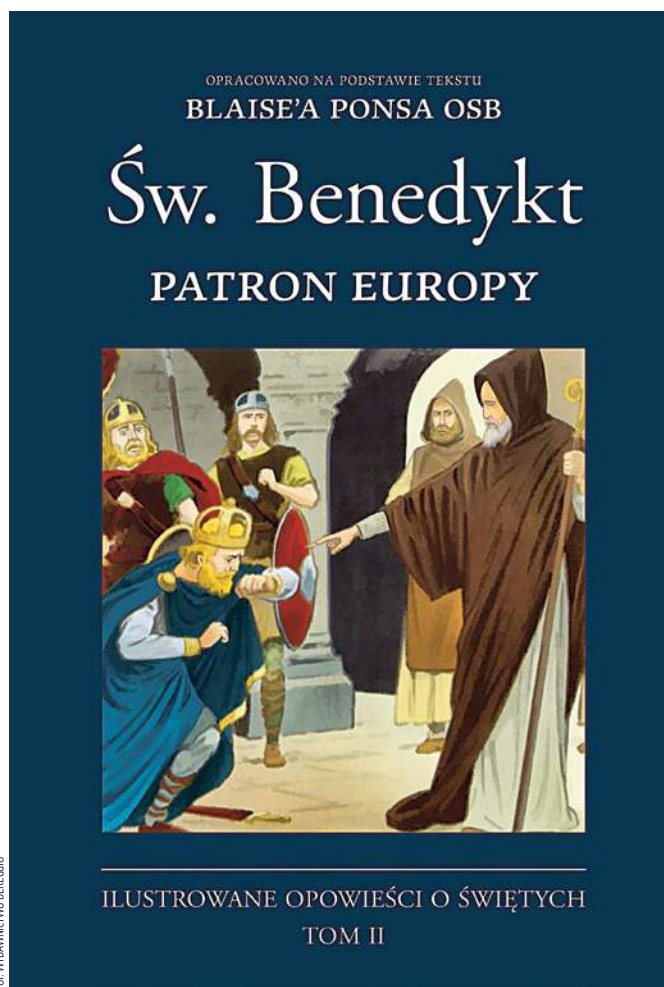
W połowie lat 80. Wydawnictwo „Sport i Turystyka” drukowało komiksy historyczne przedstawiające polskich władców. Niejeden z dzisiejszych 40-latków z wy piekami na półkach śledził losy Kazimierza Wielkiego czy Władysława Łokietka. Do dziś te książki sprzedają się we wtórnym obiegu na internetowych aukcjach.

Dzisiaj przedstawianie bohaterów narodowych na kartach komiksów to duży przemysł. Do tej pory jednak nie było takich książek o świętych. Wydawnictwo DeReggio dostrzegło tę niszę i rozpoczęło serię, która pozwoli młodszym czytelnikom (a pewnie przy okazji też często starszym) poznać wybitne postacie Kościoła katolickiego.

Na pierwszy odcinek „Ilustrowanych opowieści o świętych”, które opisywane są przystępnym dla dzieci językiem, wybrano św. Antoniego z Padwy – czyli tego świętego, na którego wizerunek prawie nie sposób nie natrafić w polskich świątyniach. Być może nieco za mocno zaszufladkowany w potoczny przekonaniu jako ten, który może pomóc znaleźć zgubione rzeczy, jest patronem zagubionych ludzi – pomagając odnaleźć coś ważniejszego niż przedmioty, czyli sens życia, wiarę, miłość. Młodzi czytelnicy z pewnością będą zaskoczeni, że święty nazywany Antonim z Padwy tak naprawdę spędził w tym mieście tylko ostatni rok życia.

Drugim z serii komiksem przybliżającym świętych jest książka o św. Benedyktie z Nursji. Tę książkę będzie można kupić z wydaniem „Do Rzeczy”, które ukaże się 3 września. Dzięki tej pozycji można będzie lepiej poznać jednego z ojców Kościoła, którzy wywarli wielki wpływ na świat – poprzez osobisty przy-

Już 3 września z naszym tygodnikiem kupić będzie można komiks o św. Benedyktie



kład, przez regułę zakonną, a także za sprawą założonych przez siebie klasztorów, które rozwinęły się w całej Europie, oddziałując na wiarę, kulturę i obyczaje tego kontynentu od wczesnego średniowiecza aż po czasy współczesne. Jego życie było wypełnione

modlitwą, pracą, uczciwością. Było mocnym przykładem dla tysięcy ludzi pragnących szlachetnie wykorzystać swój czas na ziemi. Reguła napisana przez św. Benedykta była wraz z Biblią najbardziej rozpowszechnioną księgą średniowiecza. ©© (luz)



Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu o okładkowym temacie ostatniego wydania „Do Rzeczy” – cenzurze w Internecie. Na Państwa e-maile czekamy pod adresem: listy@dorzczy.pl. Czytamy również wszystkie listy przesyłane pocztą tradycyjną.

„Prywatny totalitaryzm”

Witam serdecznie, z wielką uwagą przeczytałem artykuł red. Rafała A. Ziemkiewicza pt. „Prywatny totalitaryzm” („DRz” 34/2018). Pozytywnie zaskoczył mnie (bo stosunkowo rzadko artykułowany) wyrażony w nim pogląd, że państwo nie jest na równi z korporacjami informatycznymi – a taka opinia wydaje się być obecnie niemal powszechna – wrogiem wolności w Internecie, a wręcz przeciwnie, może i powinno być dla tej wolności wybawieniem (jako przeciwwaga i „ogranicznik” potęgi owych korporacji). Problem jednak w tym, czy klasa polityczna zechce tę szansę wykorzystać, czy też wręcz przeciwnie – uzna, że większą korzyść odniesie, występując w roli sojusznika Google, Facebooka czy Twittera, a nie zwykłych użytkowników sieci.

Obawiam się, niestety, że zdarzenia idą w tym drugim kierunku. Pragnę w tym kontekście zwrócić uwagę na podjętą w ramach Komisji Europejskiej inicjatywę na rzecz wypracowania skutecznych metod zwalczania nielegalnych treści w Internecie, która znalazła wyraz w Zaleceniu Komisji (UE)

2018/334 z dnia 1 marca 2018 r. Dla przykładu, w ust. 18 tego dokumentu komisja stwierdza, że „należy zachęcać dostawców usług hostingowych do podejmowania tam, gdzie jest to odpowiednie, proporcjonalnych i konkretnych proaktywnych działań w odniesieniu do nielegalnych treści”. Co więcej, „takie proaktywne działania mogą obejmować



stosowanie automatycznych mechanizmów wykrywania nielegalnych treści” (choć to ostatnie musi być poddane pewnym ograniczeniom).

W instytucjach państw UE nie tylko zatem nie można pokładać nadziei odnośnie do ograniczenia samowoli internetowych korporacji i uprawianej przez nich cenzury, a wręcz przeciwnie, można mieć obawy, że władza publiczna będzie się z nimi dzielić swoimi zadaniami i uprawnieniami. Innymi słowy, że przekaże część swojego władztwa, i to nawet niekoniecznie im samym, lecz stworzonym przez te komercyjne podmioty algorytmom.

Pozdrawiam

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Wyjaśnienie

W artykule pt. „Cenzurą w prawie” („DRz” 34/2018) zacytowałem następującą wypowiedź pracownika Facebooka na temat facebookowej strony pn. „Jan Paweł II gwałci małe dzieci”:

„Rozumiem całkowicie, że taka treść może być dla katolików nieprzyjemną, to jednak Facebook nie ma wiedzy, czy ta opinia jest prawdą, czy nie [...]. My oceniamy tylko fakty”. Słowa te – powołując się na przekaz medialny – przypisał Sylwii de Weydenthal, client partner polskiego Facebooka. W rzeczywistości autorką zacytowanej wypowiedzi była jednak Julie de Bailliencourt, specjalistka ds. bezpieczeństwa Facebooka. Przepraszam za pomyłkę.

Maciej Pieczyński



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzczy.pl, www.DORZCZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, **Piotr Gociak**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemkiewicz**
Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cenciewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Coś (*Bruszel*), **Krzysztof Czabański**, **Roman Graczyk**,
Piotr Gursztyn, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk**
(*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Makowski, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**,
Witold Repetowicz, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sekowski**,
Teresa Stylińska, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torasiński**,
Matthew Tymand, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**,
Tomasz Wróblewski, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zaleski**
Do Rzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata**
Puzyr, **Damian Cygan**, **Karol Gac**, **Przemysław Harczuk** (także SuperExpress),
Magdalena Zlotnicka (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieszka-Wójcisz**, **Włodzisław Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zaleska**,
Marzena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**
Okładka: **Ł. Kalinowski**/East News, **A. Hulimka**, **P. Jędzura**/Reporter, Fotolia
oprac. graf.: **12KREDEK/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawcą tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 88,5 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów

oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego

wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów

opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko

za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów

prasowych na www.dorzczy.pl/regulamin/

WKURZAJĄ CIĘ OKULARY?



PRZEJDŹ NA SOKOLI WZROK!



JEDEN, KRÓTKI ZABIEG - MIKROSOCZEWKOWA KOREKCJA WZROKU LENTIVU®

Rozwiązanie premium dostępne jedynie w sieci klinik okulistycznych Optegra.

Okulary się brudzą, parują, niszczą,
przeszkadzają, spadają i łatwo je zgubić.

POWIEDZMY TO SOBIE SZCZERZE – OKULARY WKURZAJĄ!

Lentivu® to szybki, małoinwazyjny i w pełni bezpieczny zabieg,
dzięki któremu w **20 sekund** pozbędziesz się okularów czy soczewek,
a następnego dnia wrócisz do regularnych aktywności.

NIE GRZEB SIĘ Z DECYZJĄ!

Zadzwoń do nas **22 246 61 10**
lub odwiedź klinikę okulistyczną Optegra w swoim mieście
i zapisz się na zabieg mikrosoczewkowej korekcji wzroku Lentivu®.
Szczegóły na: www.sokoliwzrok.pl



* Ceny pozostałych zabiegów laserowej
korekcji wzroku teraz już od **999 zł.**



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Biedroń niespodzianka

Na lewicy króluje ostatnio jeden temat – wszyscy piszą o Robertcie Biedroniu. I piszą bardzo niejednoznacznie.

Jacek Żakowski wzywa Platformę, aby postawiła na „sojusz, a nie konflikt z powstającą formacją Biedronia”, zamiast „prowadzić z nim lokalną wojenkę w Słupsku”, ale sam o szansach „polskiego Macrona” się nie wypowiada. Dominika Wielowiejska także życzy Biedroniowi jak najlepiej, ale smętnie ostrzega: „Przyzwolony wynik nowej partii Biedronia w eurowyborach nie będzie żadną rewelacją. Niejeden polityk sporo zyskał dzięki efektowi świeżości, by potem w szybkim tempie zmarnotrawić swój polityczny kapitał”. Wreszcie Jakub Majmurek dość cierpko diagnozuje: „Musi podjąć ryzyko, w polityce nie można się wiecznie dobrze zapowiadać”.

Skąd ta rezerwa? To reakcja na przedłużające się kluczenie cudownego dziecka polskiej lewicy. Czasami powstaje wrażenie, jakby jego fani wbrew niemu samemu chcieli popchnąć go do działania. Sam zainteresowany w chwili, gdy piszę te słowa, miał zadeklaro-

wać, że nie wystartuje raz jeszcze w Słupsku. Ma skupić się wyłącznie na tworzeniu nowej formacji. Nie dziwię się mieszanym uczuciom Żakowskiego, Wielowiejskiej i Majmurka.

Lewica w ostatnich trzech latach parę razy poparzyła już sobie palce. Wpierw zachwyciła się Mateuszem Kijowskim, by potem wstydliwie przyjąć do wiadomości, że ich idol skończył z łatką malwersanta. Potem gwiazdą antykapizmu miał być Ryszard Petru, ale wszystko wysadził w powietrze lot na Maderę. I wreszcie trzecia gwiazdka – Katarzyna Lubnauer – jeszcze niedawno obsypywana pochwałami, ale dziś zdolna jedynie do roli przybocznej Grzegorza Schetyny.

Lewica marzy więc nadal o swoim Mojżeszu, ale ma wystarczająco bystry wzrok, by zauważać w Biedroniu wszystkie te cechy, które nie wróżą najlepiej jego roli zjednoczyciela lewicy. Widzą w Biedroniu celebrytę grającego zawsze na siebie. Egotyka, lubiącego w czasie prezydentury w Słupsku wyjazdy zagraniczne, ale bezradnego wobec problemów miasta. Mistrza wizyt u Moniki Olejnik i gwiazdy

spotkań autorskich od Szczecina do Przemyśla. Jednak w polityce nadal singla, bez udowodnionej działaniem umiejętności kooperacji z innymi liderami lewicy.

Na razie Biedroń kopiuje drogę Ryszarda Petru i chwali się, że „rusza w Polskę”. Za chwilę usłyszymy pewnie, jak to w Opolu czy Kielcach spotyka „fantastycznych ludzi, którzy dotąd nie byli aktywni w polityce, ale teraz chcą coś zrobić”.

Gwiazda ze Słupska chętnie słucha takich deklaracji, ale po wyjeździe dowiaduje się, że jego fani bardziej skupiają się na walce o przywództwo w lokalnych strukturach, niż budują nowy ruch.

A w Warszawie tacy polityczni wyjadacze jak Grzegorz Schetyna czy Włodzimierz Czarzasty nie zegną łatwo karku przed Biedroniem. Dla odmiany Adrian Zandberg zawsze będzie przekonany, że jest o wiele lepiej odczytany z marksizmu i Slavoja Žižka niż showman ze Słupska.

Biedroń wciąż jest w najśłodszym etapie życia każdego polityka – wciąż dobrze się zapowiada. Niech zapyta Sławomira Sierakowskiego czy Barbarę Nowacką, jak to jest, gdy taka gwiazda błędnie. ©

AMERYKANIE CHCĄ STAŁEJ BAZY NA KSIĘŻYCU

– Ponownie spoglądamy na naszego gwiazdnego sąsiada, ale tym razem nie zadowala nas tylko pozostawianie śladów. Nadszedł czas, aby ustanowić stałą obecność wokół Księżyca i na Księżycu – ogłosił wiceprezydent USA Mike Pence podczas spotkania z pracownikami NASA w Houston. Amerykańskie władze planują, że pierwsza minibaza USA na orbicie Srebrnego Globu powstanie najpóźniej do 2024 r. (*jap*) ©



Szybciej nad Sędem Najwyższym

Poważnie przyspieszyły prace nad powołaniem nowych sędziów, którzy wejdą w skład Sądu Najwyższego. W miniony czwartek ruszyły przed Krajową Radą Sądownictwa zaplanowane na cztery dni przesłuchania kandydatów.

Pracom KRS i wyłanianiu nowych sędziów, którzy zasiądą w najwyższej instancji polskiego sądownictwa, towarzyszą polityczno-medialna awantura, oskarżenia o upolitycznianie SN, a także często personalne ataki i pogróżki pod adresem osób, które zdecydowały się do niego kandydować.

Do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” KRS zdecydowała o przedstawieniu prezydentowi Andrzejowi Dudzie wniosku o powołanie do Izby Dyscyplinarnej SN 12 osób (sześć z nich to prokuratorzy); trzeba będzie ogłosić kolejny konkurs, do obsadzenia zostały bowiem jeszcze cztery stanowiska.

Pierwotnie prace KRS miały się rozpocząć dopiero we wrześniu. Dlaczego je przyspieszono? Nieoficjalnie mówi się, że ma to związek z pismem obecnego kierownictwa Sądu Najwyższego do Trybunału Sprawiedliwości UE z pięcioma pytaniami prejudycjalnymi dotyczącymi niezależności sędziów i sądów, w tym odsyłania sędziów SN na emeryturę. Jeżeli TSUE negatywnie wypowiedziałby się o zmianach w polskim systemie sądownictwa, to opozycja zyskałaby argument dotyczący nieważności zmian w Sądzie Najwyższym.

W ubiegłym tygodniu minister Zbigniew Ziobro z kolei skierował do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o zbadanie legalności zawieszenia przez obecny SN przepisów dotyczących sędziowskich emerytur.

Przedstawiciele KRS mówią o konieczności pilnej obsady Izby Dyscyplinarnej i Izby Karnej Sądu Najwyższego; ta pierwsza oficjalnie istnieje od roku, a mimo to do tej pory nie została obsadzona sędziami.

Kandydatów do Sądu Najwyższego jest 195 na 44 wakaty, co oznacza, że nie przyniosły efektu apele środowisk sędziowskich i organizacji prawniczych wzywające – w ramach walki z reformą Sądu Najwyższego – swoich kolegów, by zrezygnowali z kandydowania. Tych, którzy apele nie posłuchali, spotykają szkany. Na przykład do Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie wpłynął wniosek o wszczęcie postępowań dyscyplinarnych w stosunku do ośmiu adwokatów kandydujących do SN, a ta odwołała już ze stanowiska przewodniczącego Zespołu Wizytatorów Sławomira Zdunka – kandydującego do SN. A decyzją Okręgowej Rady Adwokackiej w Bydgoszczy adwokat Grzegorz Hawryłkiewicz został zdjęty ze stanowiska kierownika szkolenia aplikantów adwokackich oraz wykładowcy prawa karnego procesowego. Szkany spadły na niego zaraz po tym, jak zgłosił swoją kandydaturę do Izby Dyscyplinarnej SN. ©©

Wojciech Wybranowski

Palikot nie zapłacił miliona?

Urząd celno-skarbowy przeszkukał w ubiegły piątek mieszkanie Janusza Palikota i jego biuro księgowe. Sprawa dotyczy śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Okręgową w Warszawie w sprawie uchylania się od opodatkowania. – Chodzi o niezgłoszenie przedmiotu i podstawy opodatkowania w podatku

dochodowym od osób fizycznych przez Janusza P. z tytułu odpłatnego zbycia udziałów Polmos Investment sp. z o.o., w wyniku czego narażono na uszczuplenie podatków w kwocie 1 056 361 zł – cytował „Puls Biznesu” wypowiedź Mirosławy Chyry z warszawskiej prokuratury dla PAP. ©© (luz)



FOT. BRANOWSKI/CORBIS/VEG/GETTY IMAGES

Niemiecki sąd: Wolno kłamać o obozach

Telewizja ZDF nie musi przeproszać za „polskie obozy zagłady” – Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe uchylił wyroki niższych instancji w sprawie wytoczonej stacji przez byłego polskiego więźnia.

Szkalujące dobre imię Polaków sformułowanie pojawiło się w 2013 r. na stronach ZDF w informacji o programie dotyczącym wyzwolenia Majdanka i Auschwitz. Oburzyło ono m.in. 96-letniego Karola Tenderę, byłego polskiego więźnia Niemieckiego Nazistowskiego Obozu Śmierci Konzentrationslager Auschwitz i uczestnika obozowej konspiracji. Po interwencji opis zmieniono na „niemieckie obozy zagłady na polskim terytorium”.

Karol Tendera uznał, że publikacja naruszyła jego godność narodową. W 2016 r. krakowski sąd apelacyjny nakazał umieścić przeprosiny za użycie kłamliwego określenia na stronie głównej serwisu ZDF. Wyegzekwowaniem przeprosin zajmowały się niemieckie sądy. Federalny Trybunał Sprawiedliwości orzekł, że niemieckie media nie mogą zostać zobowiązane przez zagraniczny sąd do publikacji sformułowanego przez niego oświadczenia, bo taka ingerencja w wolność prasy naruszałaby niemiecki porządek prawny. To niebezpieczny wyrok. Zaskakuje bowiem, że kraj w UE nie respektuje postanowień sądów innego unijnego państwa. ©© (jap)



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Schetyna makiaweliczny

Dusi mnie sardoniczny śmiech, ilekroć sobie przypominę, jak przez długi czas zwolennicy PO wskazywali na Rafała Trzaskowskiego jako swego wymarzonego lidera. Młodego, zdolnego i pełnego charyzmy, drugiego Tuska, który odbierze władzę temu beznadziejnemu „Szrekowi” Schetynie i ponownie poprowadzi formację ku sukcesom.

Najgorszy wróg by nie wymyślił takiego sabotażu

Schetyna oczywiście ma swoje ograniczenia, ale jednego mu nie można odmówić: w eliminowaniu rywali jest równie skuteczny jak Tusk (zresztą Tusk większość rywali wyeliminował przecież właśnie rękami Schetyny). Jako eksterminator stosuje zróżnicowane sposoby,

znajdując najlepszy dla danej ofiary – a dla Trzaskowskiego uznał najwyraźniej, i dziś musimy przyznać mu rację, że najskuteczniejszym sposobem skompromitowania rywala będzie po prostu stworzyć mu okazję, by dał się wyborcom bliżej poznać.

Posunięcie godne Makiawela. Skoro, mówicie, Trzaskowski to najlepszy zasób kadrowy PO – no to daję go na najważniejszy odcinek. Po takiej decyzji musiały się w żelaznym elektoracie rozleć gromkie oklaski. A potem – ale z początku o tym wiedzieli tylko wtajemniczeni – narastające jęki zawodu.

Schetyna może nawet nieco przedobrzył. Najwyraźniej nie ufając – niesłusznie – zdolnościom samozaorywawczym swego „infanta”, obstał go jeszcze sztabem wyborczym bardziej przeciwnie skutecznym niż sztab Komorowskiego. Wiem, to się wydawało niemożliwe, ale popatrzmy.

Usilne podkreślanie najsłabszej strony tego dziecka salonów, czyli posyłanie go na spotkania ze „zwykłymi warszawiakami”, sprawa jeszcze wrażenie powtórki, tak samo ośmieszono „spacerami” Komorowskiego. Jednak pomysł, by na tych „zwykłych warszawiaków” wybierać aktywistki KOD, rzucające się w oczy na każdym proteście, to już bezprecedensowe. No a pomysł wykonania przez kandydata szklarskiej prowizorki tzw. skoczem to PR-owska grand prix del mundo. Najgorszy wróg by nie wymyślił takiego sabotażu, który zrobił Trzaskowskiemu jego własny sztabowiec, wrzucając nagranie do sieci. Nawet pan Tomczyk nie może być tak głupi, by zrobić to niechcący.

A najbardziej duszę się ze śmiechu, gdy pomyślę, że ci, którzy wskazywali Trzaskowskiego jako NAJLEPSZEGO działacza w PO, i tak mimo wszystko, mieli rację. ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Partia ojca Rydzyka

Ubieranie przez media dyrektora Radia Maryja w przywództwo ugrupowania, które miało być alternatywą wobec PiS, ma już długą historię. Bodajże pierwszy raz zdarzyło się to w 2008 r. przy okazji kryzysu w PiS związanego z ratyfikacją traktatu lizbońskiego. W „Dzienniku” ukazał się wtedy artykuł, którego autor grzmiał: „[...] Decyzja o końcu pragmatycznego sojuszu z Kaczyńskimi już zapadła”.

O. Rydzyk rzeczywiście był wówczas rozczarowany braćmi Kaczyńskimi opowiadającymi się za traktatem, ale o patronowaniu własnemu ugrupowaniu nawet nie pomyślał.

Od rzekomej „decyzji o końcu sojuszu” między Nowogrodzką a o. Rydzykiem minęło 10 lat i nadal ma się on nieźle niezależnie od pojawiających się w mediach spekulacji o „partii Rydzyka”. Choćby takich jak ubiegłotygodniowe doniesienia Gazyty.pl, która to „ustaliła”, że zakonnik „szachuje PiS groźbą własnych list do PE”. Nie jest to informacja całkiem wyssana z palca, choć news nieco wonieje – już w maju, piórem Kamili Baranowskiej, informował o tym tygodnik „Do Rzeczy”.

Opowieści o „listach o. Rydzyka” z toruńskiego środowiska ciurkają, jednak nie sposób traktować ich poważnie. Redemptorysta, znając

emocje słuchaczy Radia Maryja, wie doskonale, że stanowią oni środowisko, które w większości – nawet przy pewnym rozczerwaniu PiS – w przekonaniu: „Jak nie oni, to kto?” – w większości odda głos na partię z Nowogrodzkiej. Padre zaczął za to grę podobną do tej, którą prowadził w 2014 r., próbując uzyskać „biorące” miejsca dla swoich faworytów.

Efekt zapewne też będzie podobny: za ich plecami lider PiS umieści mocne „dwójki”, udzielając im w terenie osobistego poparcia. Po czym o. Rydzyk na kilka tygodni „strzeli focha”, media będą pisać o „końcu sojuszu”, a ten będzie trwał dalej. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

GOPR i Horská Služba

Wakacje spędziłem na Dolnym Śląsku (polecam każdemu!), mieszkając kilkaset metrów w linii prostej od granicy z Czechami, w centrum Gór Stołowych. W Polsce pomaganiem turystom zajmuje się Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe (a w Tatrach – Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe).

W Czechach natomiast o bezpieczeństwo w górach dba Horská Služba ČR, na Słowacji zaś – Horská Záchranná Služba. Najważniejsza różnica pomiędzy polską formacją a czeską i słowacką jest taka,

się to u któregoś z naszych południowych sąsiadów, nikt nie zaryzykowałby wzywania ratowników z powodu bolących kolan. Nawet bowiem, gdyby miał ubezpieczenie, przy nieuzasadnionej interwencji nie odzyskałby z niego pieniędzy.

Ta sytuacja ilustruje w istocie ważną zasadę. Tam, gdzie człowiek odpowiada za swoje poczynania własnymi pieniędzmi, staje się bardziej odpowiedzialny, ostrożniejszy, mniej niefrasobliwy. A jeśli ma ochotę ryzykować, robi to na własny koszt (może to być oczywiście koszt ubezpieczenia). Tam, gdzie asekuruje go państwo, można sobie pozwolić na lekkomyślność i nieodpowiedzialność. Przecież rachunku się za to nie dostanie.

Państwo pod rządami socjalistów jest budowane według tego drugiego modelu: asekuracja, jak najmniejsza odpowiedzialność, pomoc przy byle problemie, a wszystko za publiczne pieniądze. To nie tylko kosztowne dla wszystkich obywateli, lecz także maksymalnie rozleniwiające. Po co się starać? Po co kalkulować? Po co się wysilać, skoro dobry rząd przyjdzie i pomoże?

Do górskich ratowników mam ogromny szacunek. Z dwóch opisanych wyżej modeli wybieram jednak zdecydowanie czeski i słowacki, a nie polski. ©©

że w naszym kraju za akcje GOPR i TOPR (formalnie mających status stowarzyszeń) płaci państwo oraz sponsorzy, a w Czechach i na Słowacji – sam ratowany. Wielu polskich turystów przekonuje się o tym boleśnie dopiero w momencie, gdy dostają słony rachunek za pracę czeskich lub słowackich ratowników.

W trakcie mojego pobytu w Karkonoszach pojawiła się w mediach opinia o turystce, która siedząc bezpiecznie w schronisku w Tatrach, domagała się, aby TOPR zwiózło ją na dół, bo bolała ją kolana. Gdyby działało



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Afera „taśmowa”

Kampania prezydencka w Warszawie zaczyna nabierać rumieńców. Kandydaci ścigają się na programy i kulturalnie polemizują. A gdy akurat tego nie robią, wychodzą na spotkania z szarym człowiekiem. „Zaczynamy dziś akcję »Otwarte Drzwi dla Warszawy«. Przemięła Pani zaprosiła Rafała Trzaskowskiego do siebie... a tu zaskoczenie... Zobaczcie! »Taki powinien być Prezydent Warszawy«” – napisał Cezary Tomczyk i zamieścił filmik.

Widzimy na nim, jak z drzwi przemięłej Pani wypada szyba. Widząc to, kandydat chwytając za taśmę i zaczyna kleić. Niestety, twitterowi malkontenci zamiast przyklasnąć, zaczęli wsadzać szpilki. „Widać, że w sprawie remontów Trzaskowski wychowany, podobnie jak ja, na Barei i czemosłowackich »Sąsiadach«” – napisał Michał Majewski. „Jak kampania się nie klei, to nie załatwia się tego taśmą klejącą” – stwierdził Jan Kunert. „Jeśli chodzi o wpadki Trzaskowskiego, to jest to produkcja taśmowa” – wtórował mu Mateusz Maranowski.

Żeby nie było, że wybór komentarzy jest tendencyjny, oddajmy głos lewicy i symetrystom. „Pisałem o tym już kilka dni temu: Trzaskowski to jest odwrotność króla Midasa. Gdyby dostał złotą koronę, toby jej dotknął i w trymiga korona stała się plastikowa” – Wojciech Engelking. „Państwo z Dykty potrzebuje Człowieka z Taśmą Klejącą” – Witold Głowacki. „Rafał. Lubię Cię, ale Ty przegrasz sam ze sobą” – Włodzimierz Czarzasty.

Nie z takich kryzysów wychodzi się jednak w kampaniach. „»Panie Rafale, dziękuję za wysłanego fachowca, który naprawił szybę«. Cezary Tomczyk pokazuje SMS-a od pani Bożeny do Trzaskowskiego” – poinformowała 300polityka.

Gdy wydawało się, że sprawa ucichła, jedno niewinne pytanie zadał Patryk Słowik z „Dziennika Gazety Prawnej”: „Szانونy @CTomczyk, to prawda, że pani, u której wczoraj byliście i jej naprawialiście drzwi, to dziennikarka KOD-owych mediów?”. „Nie mam najmniejszego pojęcia. Nie mamy w zwyczaju lustrować ludzi, w przeciwieństwie do PiS” – odparł Tomczyk. A że przypadkiem była to działaczka KOD Mazowieckie, która robiła ze spotkania z kandydatem relację live na Facebooku? Cóż, przypadki (i wypadki) chodzą po politykach. ©©

**Po co się starać? Po co kalkulować?
Po co się wysilać, skoro dobry rząd
przyjdzie i pomoże?**

ROLA ŻYCIA

Magdalena Schejbal pochwaliła się swoim nowym biznesem. Gastronomicznym. Aktorka, znana z roli w serialu „Szpilki na Giewoncie”, otworzyła knajpę w Zakopanem. – Nikt mnie nigdzie nie chce, więc będę grała u siebie w Zakopanem i na tym skończy się moja kariera – mówi półżartem portalowi Plejada.pl. W gastronomii, jak twierdzi, ma już pewne doświadczenie. – Chociaż nie wszyscy o tym wiedzą, to przez jakiś czas prowadziłam z powodzeniem małe bistro. Już trochę liźnęłam tego biznesu – dodaje. Zapewnia jednak, że nie zamierza być nową Magdą Gessler. – Tak, zrobię sobie burzę loków na głowie, będę stała przy drodze do Zakopanego i zachęcała ludzi, żeby zjedli u mnie obiad – drwi. A szkoda, bo pewnie byłyby to jej rola życia!

NIE WIDZĘ SIEBIE JAKO LAMUSA

Popularny teleturniej muzyczny „Jaka to melodia” będzie miał nowego prowadzącego. Roberta Janowskiego, który od dłuższego już czasu nie może porozumieć się z TVP, ma zastąpić Norbi. – Odpowiedzialność jest duża – przyznaje Norbi w rozmowie z jednym z kolorowych magazynów. – Zawsze jest ryzyko, że wejdę w temat i spadnie oglądalność, ale to jest show-biznes – mówi. Dodaje też, że choć odczuwa małą treść, to da sobie radę. – Byłbym półgłówkiem, gdybym nie miał stresu albo podchodził do tego zupełnie na luzie. Nie jestem tydzień w tym biznesie, nie mam z tym kłopotu i nie widzę siebie jako lamusa, który nie podoła – mówi.

Zresztą gdyby coś poszło nie tak, Norbi zapewnia, że płakać nie będzie. – Ja mam pracy i koncertów od groma i mam z czego żyć. Mam jeszcze inne interesy. To jest oczywiście bardzo fajna rzecz, że moja postać została wciągnięta w takie przedsięwzięcie. 20 lat pracuję w tej branży i traktuję to jako kolejną robotę. Natomiast nie myślę o tym w kategoriach: „O Jezu, o Jezu! Pana Boga za nogi złapałem!”. Nie mam w ogóle ciśnienia w tym temacie, zero – zapewnia. Im bardziej zapewnia, tym mniej mu wierzymy. A niby tyle lat w show-biznesie!

KOCHAJMY SIĘ

Tydzień bez Małgorzaty Rozenek byłby tygodniem straconym. Mamy więc kolejną aferę z Perfekcyjną Lady Rozenek w roli głównej. Otóż Małgorzata została twarzą jednej z marek

kosmetycznych. Sęk w tym, że marka ta jest oskarżana o testowanie kosmetyków na zwierzętach, co wytknęła jako pierwsza Dżoana Krupa. Drugą oburzoną okazała się Kinga Rusin. I ruszyła lawina oburzenia, która sprawiła, że Małgorzata postanowiła odnieść się do sprawy w specjalnym filmiku, który wrzuciła na swój Instagram. W dużym skrócie zapewnia w nim, że firma jest cacy, o czym upewniła się przed podpisaniem kontraktu, więc cała burza

jest niepotrzebna. Przy okazji Małgorzatę wzięło, niestety, na przekazanie światu swoich mądrości. „Chciałabym, żeby coś takiego jak los zwierząt nie antagonizował nas przeciwko nam. Żeby to nie był powód do tego, żebyśmy wprowadzali agresję do naszej wymiany zdań, żebyśmy nienawidzili się coraz bardziej. Świat jest i tak pełen nienawiści i hejtu. Nie dokładajmy do tego typu tematów swojej dodatkowej cegiełki” – rzecze celebrytka. „Chciałabym zaapelować o jedną rzecz: kobiety, kochajmy się, stawajmy za sobą murem, nie wykorzystujmy absolutnie każdej okazji, żeby siebie krytykować, zróbmy swój świat lepszym i pozwólmy żyć ludziom tak, jak chcą i dokonywać wolnych wyborów” – apeluje na koniec. I żeby był pokój na Ziemi! Jak mogła o tym zapomnieć?

NA POZIOMIE

Kamil Durczok, były szef „Faktów” TVN, za sprawą swojego związku z chyba blogerką modową Julią Oleś powrócił jako bohater plotkarskich gazet i portali. Na szczęście tylko na chwilę, bo związek nie przetrwał zbyt długo. Para się rozstała, nie szczędząc sobie złośliwości i przytyków w mediach społecznościowych. Okazało się, że koniec związku nie oznacza wcale końca uszczypliwości.

Ostatnio na przykład Oleś i Durczok sprzeczali się o wspólnego psa. Durczok miał za złe, że Oleś karmi go ogórkami i chce z niego zrobić weganina. Na tę zaczepkę Oleś odpowiedziała dość obcesowo: „Od początku mówiłam, że jest mój. Skończ kombinować i po prostu przywieź mi go do domu. Sobie kupisz kota. Czy coś” – napisała. „Prędzej się do PiS zapiszę, niż ci go oddam” – odparował Durczok. Oleś skwitowała to stwierdzeniem, że pies sam do niej wróci, bo „zna się na ludziach”.

„Nie pozwolę” – zakończył Durczok, dodając, że Oleś zmarłaby na psu życie „na ogórkach i prosecco”. Fajnie czasem poczytać dialogi na poziomie. Dostrzegamy pewien potencjał na telenowelę na miarę Kazi i Isabel! I tylko psa żal. ©



FOT. PAMEŁ GROMADA



FOT. MARCIN GRZELAK / REPORTER

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, trochę przypał, iż liderka akcji #metoo, jak się okazało, ma na koncie molestowanie siedemnastoletniego osobochłopca.

Jednak jakby się zastanowić, to wcale nie przypał. No bo co w tym dziwnego, iż waginoosoba przez całe życie uciskana przez patriarchy chciała przez moment poczuć, jak to jest po tej drugiej stronie akcji? Po pierwsze: pozwoliło jej to lepiej poznać swojego wroga. Po drugie – i tak winny jest patriarchy, iż biedna waginoosoba została zmuszona do takich zachowań.

Dlatego nie mamy żadnego moralnego prawa jej potępiać (potępienie to katofashysm), to patriarchalne społeczeństwo jest winne!!!

Kochani, przypadkowo przechodzący obok dużego pokoju starszej pani Rafał Trzaskowski osobiście wpadł jej szybę do

drzwi. Zupełnie przypadkowo obok przechodziły tabuny dziennikarzy z kamerami, dzięki czemu widzieliśmy, jak poszła robota Rafała, a starsza pani na pewno będzie zadowolona. Jako iż warszawska kampania dopiero nabiera rozpędu, proponujemy scenariusze na kolejne spontaniczne akcje dla obu najważniejszych kandydatów.

1) W odpowiedzi na wstawienie szyby przez Rafała Trzaskowskiego Patryk Jaki, przypadkowo mijając warsztat samochodowy na Pradze-Północ, wycina DPF w wysłużonym dieslu pana Mariana, który już w latach 90. głosował na Porozumienie Centrum. Patryk udziela mechanikom kilku cennych porad na temat doboru olejów silnikowych i odchodzi w błysku fleszy.

2) Rafał Trzaskowski pomaga prekarzemu studentowi na umowie o dzieło w kawiarnianej sieciówce przygotować latte z napojem sojowym, przy okazji

uczy prawidłowej wymowy słowa croissant, kiedy niedoświadczony barista proponuje mu „krułasanta”, następnie odjeżdża na hoverboardzie w stronę parady równości.

3) Patryk Jaki, nie marnując czasu, wymienia jeszcze uszczelki pod głowicą w dwóch passatach warszawskich taksówkarzy. Wdzięczni kierowcy proszą Patryka o błogosławieństwo pojazdów, wzruszony Patryk nie odmawia, a następnie przypadkowo pomaga rozwiązać zadania z wiedzy o społeczeństwie przypadkowo spotkanym licealistkom.

4) Tymczasem Rafał Trzaskowski okazuje się mobilną stacją naprawczą rowerów i śpieszy z pomocą studentce Magdzie (19 l.), która złapała gumę na placu Zbawiciela, a rozmowa w naturalny sposób wędruje w stronę darmowej antykoncepcji dla osobowarszawianek. © ©

Ciąg dalszy z pewnością nastąpi.

REKLAMA

10-23 WRZEŚNIA 2018



MIĘDZYNARODOWY KONKURS MUZYCZNY im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO KATOWICE 2018

KATEGORIE KONKURSOWE

FORTEPIAN

SKRZYPCE

ŚPIEW

KWARTET SMYCZKOWY

KOMPOZYCJE

szymanowski-competition.com

Organizator

Współorganizatorzy



Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Regionalnego w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko Dla rozwoju infrastruktury i środowiska | www.pois.gov.pl

Ważne wieści z frontu walki o Sąd Najwyższy. Zaskoczeni tempem prac w Krajowej Radzie Sądownictwa? Poczekać, aż za kandydatów do SN zabierze się prezydent Andrzej Sebastian. Szast-prast, i już! Jak mówią wiewiórki, wszystko będzie pozamiatane, jeszcze zanim Andrzej Sebastian wyruszy w podróż do Hameryki. A do Hameryki, przypomnijmy, wybiera się w połowie września.

Ważne wieści z frontu walki o fregaty australijskie. Wiewiórki opowiadają, że o wszystkim zdecydowało ekskluzywne spotkanie w gronie: premier Mateusz, minister Jojo Brudziński oraz minister Marek Gróbarczyk. Sojusz pomorski tak długo przekonywał premiera Mateusza, aż przekonał. A ten z kolei przekonał Kaczora-Dyktatora. Stąd zdecydowane staropolskie „halt!” dla australijskich fregat.

Przy okazji pozdrawiamy prężną Polonię australijską, która to wedle Rycha Czarneckiego jest sprawcą całego zamieszania, gdyż to ona wystąpiła z propozycją zakupu fregat. Nie wiedzieliśmy, że do australijskiej Polonii zaliczają się Mario Błaszczak i Krzysiek Szczerski, ale co my tam wiemy.

Atak na serio – trwają prace nad przyklejeniem fregat komukolwiek, kto nie jest Polonią australijską. Wytrawni starzy PiS-owcy oskarżają Krzyska Szczerskiego, mniej wytrawni – Pawła Solocho, szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, a ci najmniej doświadczeni rozповідаją, że to Błaszczak chciał zaliczyć sukces. Dwie małe fregaty i tyle radości.

Apropos Błaszczaka Mariusza. Smutek. Smutny jest Kaczor-Dyktator, który zmarł w sposób, że Mariusz nie chce zostać szefem NIK. Kaczor-Dyktator przez pamięć zmarłego śp. brata ma bardzo szczególnie stosunek do tego stanowiska. Wiewiórki mówią jednak, że Mariusz twardo stawia na opcję „marszałek Sejmu”. Nowe rozdanie jest bowiem blisko.

Już wyjaśniamy, o co chodzi z nowym rozdaniem. Po raz pierwszy w III RP do europarlamentu wybiera się całe prezydium Sejmu. Wymieniamy alfabetycznie: Dolniak Barbara, Kidawa-Błońska Małgorzata, Kuchciński Marek, Mazurek Beata, Terlecki Ryszard, Tyszkiewicz Stanisław.

Żeby nie być gołosłownym, podajemy konkrety. Mazurek Beata z Lublina. Terlecki Ryszard z Krakowa, gdzie jedynką będzie Szydło Beata. Kuchciński Marek z Podkarpacia. Inne ciekawe okręgi? Na przykład dolnośląski, gdzie jedynką ma być Anka Zalewska, a zaraz za nią Beata Kempa. W Krakowie natomiast trzecie miejsce na liście ma zagwarantowana Solidarna Polska, ale jeszcze nie zapadła decyzja, kto będzie tam wpisany.

Wiemy za to, kto zostanie wypisany. Nie z list do europarlamentu, ale z rządu. Wiceminister finansów Paweł Gruza, ten, który uszczelniał system podatkowy. Ale wcale nie odejdzie, dlatego że za mało zarabia (tak sugerowały ostatnio gazety). Sprawa jest bardziej skomplikowana. Otóż wiewiórki mówią, że wiceminister liczył na stanowisko ministra finansów, ale się przeliczył, więc od czasu rekonstrukcji jest jakiś taki smutny. A na smutek, jak wiadomo, najlepsza zmiana roboty.

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Wiemy, kto zostanie wypisany z rządu. Wiceminister finansów Paweł Gruza, ten, który uszczelniał system podatkowy

Uwaga! Wiewiórki opowiadają, że i w pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana uaktywniła się frakcja miłośników przeprowadzki do europarlamentu. Na razie jednak srogi Kaczor-Dyktator mówi chętnym „nie”. Głównie Krzyskowi Szczerskiemu.

Wracamy do weta Andrzeja Sebastiana wobec zmian w ordynacji do europarlamentu. Mało kto wie, ale wprawiło to w stan hamletowskich rozterek zielonych braci z Peezlu. Kiedy wydawało się, że nowa ordynacja przedzie, zaczęli już spiskować z Grześkiem i Kaśką w sprawie wspólnej listy. Teraz mają dylemat: iść osobno, jak to Peezel ma w zwyczaju, czy może zgodzić się na wspólną listę bez narażania na zarzuty, że to koniunkturalne, bo wymuszone zmianami w ordynacji.

Witamy w gronie kandydatów na nową HGW znanego husarza i brownika Jakubiaka Marka. Czyli oficjalnego kandydata kukistów w Warszawie. Po pierwsze, chcieliśmy mu podziękować, że kandyduje, bo gdyby tego nie zrobił, musielibyśmy w debatach i spotach wyborczych oglądać Tyszkę Stanisława. Po drugie, liczymy na wyborcze gify w postaci skrzynek browca. „Dzienniki” Juliana Greena od Rafcia już przeczytaliśmy.

Kandydatura Jakubiaka wzbudza nasz entuzjazm z jeszcze jednego powodu. Otóż kiedyś, dawno temu, gdy jeszcze nikomu się nie śniło, że będzie kandydował, opowiadał nam o swoim pomysle na kampanię: skłonić do głosowania niegłosujących oraz emerytów. Czekamy więc z niecierpliwością na wyborcze starcie, bo wiewiórki od Rafcia nam mówiły, że emeryci w Warszawie rozkochani są w Trzaskowskim. Szczególnie emerytki.

Apropos Rafcia Trzaskowskiego. Breaking news wprost ze sztabu. Wiewiórki mówią, że akcja „Ławeczka” zostaje wygaszona na dobre.

Prosimy o niezniszczenie ławeczki, lecz przekazanie jej do Muzeum Kampanii Wyborczych III RP. Postawimy ją obok woskowej figury rozjechanej zakonnicy w ciąży.

Dla równowagi coś ze sztabu Patryka. Patryk nie ma lekko, bo ciągnie na trzech etatach: wiceministra, szefa komisji antygronkowej oraz kandydata. Ale ulga jest blisko. Jak wyliczono w ministerstwie ziobrostanu, Patrykowi należy się jakiś milion pięćset dni zaległego urlopu. I on wkrótce na ten urlop pójdzie, żeby być już tylko kandydatem. A tak precyzując, to nie milion pińcet, tylko sześćdziesiąt.

Tymczasem bardzo ciekawe wieści płyną z obozu Roberta Biedronia. No, biorąc pod uwagę jego popularność, to raczej namiot niż obóz. Otóż w całej Polsce jak grzyby po deszczu powstają struktury nowej partii Biedronia i idzie to tak sprawnie, że najętsze głowy w Peło i Nowoczesnej Kropce zastanawiają się, kto mu to wszystko nakręca. Stąd ostatnie ataki na Robika, szczególnie ze strony Kaśki.

Apropos wyborów samorządowych. W Zjednoczonej Prawicy uaktywniła się frakcja zmartwionych, którzy rozповідаją, że za wiele wagi przykładają się do kampanii ogólnopolskiej, a za mało do kampanii lokalnych. Wszystko przez to, że nie ma jeszcze gotowych list do rad i sejmików. Malkontenci winią za opóźnienie Kaczora-Dyktatora, który zamiast zatwierdzać listy, pojechał na urlop. Naiwniaki. A wy myślicie, że co naczelnik robi na urlopie?

**W pałacu prezydenta
Andrzeja Sebastiana
uaktywniła się frakcja
miłośników przeprowadzki
do europarlamentu**

Apropos urlopów. Kolejni indagowani przez nas ministrowie potwierdzają: Bałtyk. Polska i tylko Polska. Wyjątkiem okazał się Jacek Sasin, który wybrał Bułgarię. Ale w odróżnieniu od Patryka Jakiego nie był zainteresowany

sofijskim metrem. Najlepiej mają ministrowie w Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana. Niektórzy pojechali nawet na dwa urlopy.

Na zakończenie element artystyczny naszej rubryki. Nie mogliśmy spokojnie spać, bo obijały nam się po głowie jakieś stare fragmenty piosenek, i daliśmy sobie rękę uciąć, że jedna była o Patryku Jakim. Udało się ją zidentyfikować. Tytuł „Jedwab”. Róże Europy wyraźnie przecież śpiewają: „Ofiaruję mojej dziewczynie / Z kwiatów Holandii utkany / Szlafrok, w którym utonie / Całkiem niezły posiłek, jaki”. Uważamy, że to nawet nośne hasło: „Całkiem dobry posiłek – Jaki”.

Trudniej było znaleźć piosenkę dla Rafcia Trzaskowskiego. Ale daliśmy radę, z pomocą rapera Racy, który w utworze „Cześć Rafał” śpiewa: „Koleżanki, ziomy, stricte bogate domy / zamknięte towarzystwa, idź wycień znajomych”. Czyż nie pasuje jak ulał? Niniejszym nasz konkurs na hymny kampanii dla Patryka i Rafcia uważamy za rozstrzygnięty. © ©

REKLAMA



ZUZEL
NA ŚLĄSKIM

POLSKA

TAURON

SEC
SPEEDWAY EURO CHAMPIONSHIP

01.09.2018 **15.09.2018**

INFO & BILETY: ZUZELNASLASKIM.PL

Dzień z życia opozycji



Łukasz Warzecha

Pierwszy na miejsce spotkania przyszedł Kasprzak. Początek wyznaczono na godz. 17, a on był na miejscu na wszelki wypadek już o 6.30. Wprawdzie warszawskie centrum handlowe, gdzie w kawiarni mieli się incognito zgromadzić przedstawiciele opozycji, aby ustalić plan działania, było wtedy jeszcze zamknięte, ale Kasprzak wiedział, że trzeba się pojawić z wyprzedzeniem. Dzięki temu łatwo zidentyfikuje się wywiadowców z rządowych służb, którzy niewątpliwie śledzą opozycjonistów. Kasprzakowi co prawda nigdy nie udało się jeszcze dostrzec żadnego z agentów, ale to go tylko przekonywało, że muszą być świetnie zakonspirowani i bardzo sprytni.

Kilka dni temu już myślał, że odnosi sukces. Jakiś facet z wąsami szedł za nim bardzo długo na inne konspiracyjne spotkanie w małym gronie. Kasprzak zatrzymał się w bramie, poczekał, aż facet go minął, zaszedł go od tyłu i złapał za ramię.

– Co, trzeba Jojowi donieść?! – wykrzyknął triumfalnie. Wtedy facet niespodziewanie odkleił wąsy.

– Zgłupiał pan?!
– wysyczał z oburzeniem.

– To ja, Ryszard. Pewnie idziemy na to samo spotkanie, tylko ja się lepiej maskuję.

Tym razem Kasprzak odstał przed wejściem do centrum handlowego dwie i pół godziny, czekając na otwarcie drzwi. Potem jeszcze godzinę, aż otwarto kawiarnię. Schetyna początkowo nalegał, żeby spotkanie zrobić po prostu w Sejmie – pewnie nie chciało mu się nigdzie chodzić – ale został prawie przez wszystkich wyśmiany. Nawet wierna Kinia Gajewska była przeciwko.

– Grzesiu – tłumaczyła – jak będą nas zatrzymywać, to przecież lepiej, żeby to się działo wśród ludzi, a nie po cichu w Sejmie, prawda?

Kasprzak zerknął do notesu. Miał tam wszystko zapisane, bo lubi planować.

Kupuje pierwszą kawę o 10.04, następną o 11.45, potem o 11.55 zmiana stolika, żeby upewnić się, że nikt go nie obserwuje. I tak dalej.

Kupił zatem flat white, z kieszeni marynarki dyskretnie wyjął pipetę, z drugiej – probówkę z odpowiednim odczynnikiem, pobrał pipetą trochę kawy, wpuścił do próbówki i zaczął pić dopiero, gdy przekonał się, że reakcja chemiczna jest negatywna. Tym razem znów nie zatruli. Może działają jakoś inaczej. Jakieś promieniowanie czy coś...

Przed 17, gdy Kasprzak z trudem dopijał ósmą sprawdzoną na obecność trucizny kawę (zgodnie z harmonogramem) i nadal nie był w stanie zidentyfikować agentów Brudzińskiego (choć

wiedział, że gdzieś muszą być, i zaczął podejrzewać barmankę), jako drugi pojawił się Biedroń. Doskonale się prezentował w długiej sukience, eleganckiej bluzeczce i na obcasach. Siadł obok Kasprzaka i wyjął z kieszeni telefon. Kasprzak zmartwiał – cóż za nieostrożność! Biedroń wybrał numer.

– Tak, Krzysiu, właśnie dojechalismy, jesteśmy już w Budapeszcie – powiedział. – Wyślę ci kartkę – dodał.

Kasprzak patrzył tępym wzrokiem, nic nie rozumiejąc.

– Konspiracja – wyjaśnił, rozłączywszy się, Biedroń.

– Dzwonię z Warszawy, mówię, że jestem w Budapeszcie, telefon jest na kartę, kupioną w RPA trzy lata temu przez kolegę z Brazylii. Służby zgłupieją! – uśmiechnął się triumfująco.

Po kilkudziesięciu minutach wszyscy byli już na miejscu: prócz Kasprzaka i Biedro-



w podziemiu

nia – Marta Lempart, Ryszard Petru (tym razem dokleił sobie brodę – niestety, dość nieszczęśliwie, nad górną wargą), Kamila Gasiuk-Pihowicz, Kinia Gajewska, Włodzimierz Czarzasty. Niespodziewanie zjawił się na krzywy ryj Mateusz Kijowski, który co prawda przyszedł w spódnicy, ale poza tym w żaden sposób się nie zamaskował. Zdaniem Kasprzaka mogło to sprzyjać dekonspiracji całego zgromadzenia ze względu jednak na dość szczególny wygląd byłego lidera KOD. Poza tym Kijowskiego, jak zwykle, nikt nie zapraszał i nie bardzo było wiadomo, skąd wiedział.

„Może sam jest konfidentem” – pomyślał Kasprzak.

Przewodniczący Schetyna spóźnił się 15 minut. I to wcale nie dlatego – jak sam przyznał – że gubił ogon. Po prostu źle obliczył czas. W dodatku przyjechał bez śladu charakterystyki i sejmowym autem. Kasprzak, Kijowski i Biedroń wyrazili najwyższe oburzenie taką niefrasobliwością i jako pierwszy problem postawili kwestię należytego poziomu tajności wobec działań agenturalnych służb. Ale zanim Schetyna odpowiedział, do stolika zbliżył się elegancki młodzieniec, podszedł do przebranego Biedronia i rzekł zapłoniony:

– Panie prezydencie, jest pan moim idolem! Czy mogę prosić o autograf?

Dyskusji o zwiększeniu stopnia zakonspirowania już nie podjęto. Rozmowa skupiła się natomiast na tym, jak najsukceszniej uderzyć w kaczyzm. Zdania były mocno podzielone. Podekscytowana Lempart miała za złe Schetynie, że na początku postawił we Wrocławiu na Ujazdowskiego, i pokrzykiwała:

– Rozumiem, że pan, panie Schetyna, nie wie, że we Wrocławiu jest taka Marta Lempart, która jest lesbijką i która nie odpuści tej sprawy. Jak wystawiliście tego czarnosecinnego Ujazdowskiego, po raz pierwszy poczułam się w Polsce nie u siebie!

Zdaniem Lempart, większość Polaków czeka na załatwienie niecierpiących zwłoki problemów: homomał-

żeństw, równych praw dla osób LGBTQ i zakazu umieszczania krzyży w przestrzeni publicznej. Czarzasty, który słuchając tego wywodu, zaczął dziwnie przewracać oczami, dostał od Lempart siarczystego kopa w kostkę. Potem Lempart znów zwróciła się do Schetyny:

– A ten wasz Sutryk we Wrocławiu... Krytykuje niewinną akcję zakładania koszulek z napisem: „Konstytucja” na pomniki w całej Polsce i w ten sposób gasi obywatelski płomień, który pomimo takich głupich, zachowawczych wypowiedzi i waszej wiecznej nieobecności, kiedy fizycznie i faktycznie dzieje się w Polsce zło, wciąż płonie!

Następnie zerwała się i wyszła.

– Nie zapłaciła za swoją sojową latte – melancholijnie stwierdził Czarzasty. I dodał: – Płaci ten, kto ją tu zaprosił.

Szybko okazało się, że nikt się nie przyznaje. Po chwili ciszy przemówił Kijowski.

– Demokratyczne Państwo Polskie – Rzeczpospolita Polska – przestaje istnieć – zaczął podniośle i nawet wstał, ale szybko usiadł, zgromiony spojrzeniem przez Kasprzaka. – Zaczyna się czas dyktatury – mówił dalej półgłosem. – Co mogą zrobić obywatele w tej sytuacji? Są dwie możliwości. Wsprzeć dyktatora albo mu się sprzeciwić. Nie da się stać z boku. Nie można być obojętnym! – zapalał się znowu Kijowski.

– Nie można powiedzieć – mnie to nie interesuje, ja mam

własne życie. Daleki jestem od wzywania na barykady. Dzisiaj to nie jest metoda. Dzisiaj najważniejszym zadaniem dla tych bardziej świadomych i gotowych do działania jest edukacja. Rozmowy z sąsiadami, propagowanie wiedzy obywatelskiej w świecie mediów społecznościowych, powtarzanie prawdy głośno i odważnie na spotkaniach z politykami. Dlatego – uniósł w górę palec wskazujący – uważam za wskazane szerokie rozkolportowanie mojej najnowszej książki – tu wyjął z torby skromny 360-stronicowy tomik – którą zatytułowałem „Moja walka”.



– Trochę ryzykownie – mruknął Schetyna.
 – Że co? – nie dosłyszał Kijowski.
 – Chodzi o to – wyjaśnił kompetentnym tonem Petru – że tak samo nazywała się książka tego chińskiego mędrca San Tan czy jakoś tak.
 – A, to dobrze, trzeba czerpać z dobrych wzorców – ucieszył się Kijowski. I szybko dodał: – Na wydanie książki i rozniesienie jej po domach, po skrzynkach pocztowych, aby dotarła do ludu, potrzebna jest kasa. Mam nadzieję, że tu obecni hojnie wesprą przedsięwzięcie.
 Schetyna sięgnął do kieszeni, ale nie znalazł portfela.
 – Kinia, pożycz piąta – powiedział do Gajewskiej. Gajewska dała mu piątkę, od siebie dołożyła dwójkę. Z pozostałych datków zebrało się kolejne 12,50 zł. Czarzasty nie dał nic.
 – Nie dam, bo nie mam – zadeklarował.
 – A nawet jakbym miał, to bym nie dał.

– Wspaniała idea – sarkastycznie oznajmił przewodniczący SLD. Gajewska wstała.
 – Przepraszam, muszę do toalety – bąknęła i wyszła.
 – Musimy stosować niekonwencjonalne metody – stwierdził Biedroń, podciągając lekko sukienkę. Zebrani się pochylili. Biedroń miał na nogach trampki, a do nich założył czarne skarpety z białymi napisami: „Beata drukuj”, „PiS Peerel bis”, „Dojna zmiana”. – A więc, po pierwsze, podziemie skarpetkowe. Podziemie koszulkowe. Podziemie majtkowe. Produkcja zakazanych ubrań z odpowiednimi napisami. Po drugie – tu zwrócił się do Schetyny – pan się powinien zdecydować, panie przewodniczący, z kim pan trzyma. Ja również dzięki pana radnym absolutorium w Słupsku nie dostałem. I to był jawny przykład homofobii. A pan powinien zaproponować coś więcej niż zmianę ludzi, bo Polacy nie oczekują dyskusji o stołkach. Polacy oczekują

– Pierdu – pierdu! – wykrzyknął. – Ty tu będziesz sobie jakieś gejowskie wycieczki organizował, a gra idzie o ogromną stawkę! Wy, politycy opozycji, nie chcecie z nami, Obywatelami RP, protestować. Chciałem, żebyśmy dostali się do Sejmu, ale nie żebyśmy fikalili przez barierki. Nie wygramy z policją na siłę. Wejście na teren Sejmu można przedstawić jako zadymę oszołomów, ale można też jasno mówić, że chodzi o prawa człowieka i obywatela. I żeby kosztą dla tej władzy rosty. W końcu te koszty będą większe niż korzyści. Jestem idiotą politycznym, nie przewidziałem, że pan, panie Schetyna, nie zechce wyjść do nas przed Sejm i stanąć obok Petru. Nas nie interesuje, żeby pod Sejmem pokrzyknąć i lamentować, bo PiS nic sobie z tego nie robi. Trzeba urządzić coś, czego oni histerycznie się boją – wiec na zakazanej ziemi. Moglibyśmy tam zostać do skutku, do rozpoczęcia negocjacji pisiaków w Komisji Europejskiej w sprawie przywrócenia praworządności. I tak to się powinno robić, a że pan się boisz, panie Schetyna...

– Zaraz, chwileczkę – odezwał się Petru, który do tej pory stukał nieustannie w komórkę. – Panie Kasprzak, nikt tu się nie boi, ale też trzeba otwarcie przyznać, że trzeba być kretynem, żeby wchodzić komuś do bagażnika.

– To w imię wyższej racji! – zaproponował Kasprzak.

– Chwileczkę, proszę mi nie przerywać, teraz ja mówię – stanowczo rzekł Petru. – O czym to ja mówiłem?

– O bagażniku – podsunęła Gasiuk-Pihowicz usłużnie, widocznie z przyzwyczajenia.

– A, słusznie – oznajmił pan Ryszard. – A więc gdy idzie o bagażnik, to ja osobiście swoją osobą założyłem Pan Petru... Wróć: Plan Peru...

– Plan Petru – podsunęła znowu Gasiuk-Pihowicz.

– No właśnie, mówię przecież – zirykował się Petru. – I chciałbym powiedzieć, że to jest platforma, nomen stricto, ponadpartyjnej współpracy, wokół której, mam nadzieję, wszyscy politycy dobrej woli zjednoczą się pod moim przywództwem. Pod przywództwem mojej osoby.

– I co byśmy mieli pod tym przywództwem pana osoby robić? – spytał Biedroń.

– Realizować plan naprawy państwa. Sam go wymyśliłem, osobiście. Moja osoba go wymyśliła – pochwalił się Petru.

– A co jest w tym planie? – zainteresował się Schetyna.

Kłamstwo powtórzone sto razy może przekona wyborców PiS, ale nie nas! My musimy powtarzać nasze kłamstwa...

Kijowski zmroził go wzrokiem.
 – Niektórzy wolą gadać, ja wolę działać – oznajmił naburmuszony. – Liczyłem na wsparcie rządu przynajmniej paru tysięcy. Euro – dodał z naciskiem. – Idę pracować, kolejna książka sama się nie napisze.
 I wyszedł.
 – Ten też nie zapłacił – ze spokojem stoika zauważył Czarzasty. – A wziął nie tylko kawę, ale i kanpkę. Z łososiem.
 Po chwili niezręcznej ciszy odezwała się Kinia Gajewska.
 – Ja mam pomysł! – wykrzyknęła. Wszyscy spojrzeli na nią. – Takim posłem jak Kamila Gasiuk-Pihowicz, jak Ryszard Petru, jak Stanisław Gawłowski ściąga się immunitety, bo pisiory się ich boją. I niech się boją. A najbardziej niech się boją Boga i Grzegorza Schetyny! Wszystkich ich rozliczymy! Zapadło milczenie.
 – I? – spytał Czarzasty.
 – I co? – odpowiedziała Kinia.
 – I gdzie ten pomysł?
 – No... – niepewnie powiedziała Kinia, spoglądając proszącą na Schetynę – ... to jest ten pomysł.
 – Jaki? – nie dawał za wygraną Czarzasty.
 – Żeby ich rozliczyć – cicho odpowiedziała Gajewska.

jakiejś narracji atrakcyjniejszej, niż daje Kaczyński w sprawie przyszłości Polski – i wbił wzrok w przewodniczącego.

– Jakiej? – burknął Schetyna.

– A takiej: Czy w 2018 r. możemy sobie pozwolić na brak rozdziału państwa od Kościoła? Czy możemy sobie pozwolić na to, że dwa miliony osób w Polsce nie ma dachu nad głową, bo brakuje nam mieszkań komunalnych? Czy możemy sobie pozwolić na to, że PiS przekupuje nas 300 zł, a w zamian za to płaci dwa i pół miliona swoim kolegom w spółkach? Po trzecie: Kaczyński w swoim obłędzie szaleńszym wyprowadzi Polskę ze struktur unijnych albo poważnie osłabi. Wiemy, że PiS chronicznie nie cierpi tego, co jest poza granicami Polski.

– No to co robić? – zapytał, poziewując, Schetyna.

– Mój pomysł – oznajmił Biedroń – to połączenie przeciwdziałania wszystkim tym tendencjom w jednym: musimy organizować obowiązkowe wyjazdy działów szkolnej na Parady Równości w Niemczech czy w Holandii. Poprzez kontakt z postępowym Zachodem młodzież nauczy się, czym jest europejskość, i nie da się omamić ciemnogrodowi.

Tutaj Kasprzak nie wytrzymał.

– Myślałem, że czytałeś – obruszył się Petru. – Tam są bardzo ważne punkty. Między innymi dynamiczny i zdrowy rozwój gospodarczy oparty na nowoczesnych inwestycjach, eksporcie i konsumpcji oraz realny wzrost płac osiągany poprzez odejście od modelu taniej siły roboczej.

– A czy to nie jest mniej więcej to, co proponuje PiS? – zapytał Biedroń.

– Nie wiem, nie interesuje mnie, co oni proponują – zaperzył się Petru. – Ja tej ich propagandy nie oglądam.

– Bardzo dobry plan, Rysiu – pochwalił Schetyna. – A jak konkretnie chcesz to zrobić?

– Nie czepiaj się mnie – odparował Petru. – Nie mogę o wszystkim tak od razu myśleć. Na razie chciałbym zadeklarować, że mogę być przywódcą zjednoczonej opozycji, sam osobiście. Swoją osobą. Jestem gotów wziąć za nią odpowiedzialność.

– Na kogo? – nie zrozumiał Biedroń.

– Na swoją osobę! – zirytował się pan Ryszard.

– Rysiu, chyba cię trochę poniosło – zauważyła Gasiuk-Pihowicz. – To nie jest czas na realizację własnych ambicji. Ja myślę...

– Naprawdę? – zapytał Czarzasty.

– Pańskie szowinistyczne żarty, panie przewodniczący, nie przystoją w sytuacji, gdy naszą największą troską jest ginąca w męczarniach demokracja – skarciła go Gasiuk-Pihowicz. – Widzę – dodała – że kontynuuje pan odrażającą samczą linię pana Millera, przeciwko której walczyły całe pokolenia kobiet...

– Do rzeczy – rzucił Schetyna, ale Gasiuk-Pihowicz najwyraźniej wpadła w rodzaj transu.

– Nie, panie przewodniczący, „Do Rzeczy” również jest po stronie junty, która zawłaszczyła Polskę i która tłamsi demokrację! Wszyscy widzą, łącznie z gwiazdami światowego rocka, że PiS chce przejąć władzę nad Sądem Najwyższym i próbuje to opakować w jakieś kłamstwa,

ale nikt się na to nie da nabrać! Kłamstwo powtórzone sto razy może przekona wyborców PiS, ale nie nas! My musimy powtarzać nasze kłamstwa... znaczy, naszą prawdę. To znaczy – poprawiła się kolejny raz – po prostu prawdę. I w tym powinny nam właśnie pomóc gwiazdy światowego rocka, między innymi. W ogóle – celebryci. Trzeba zrobić wielką kampanię z celebrytami! Trzeba ściągnąć tego, no, Gere’a, i tego... no... takiego przystojnego...

– Clooneya – podrzucił rozmarzony Biedroń.

– A kobiety to co? – zapytał Czarzasty.

– Jakaś dyskryminacja kobiet? A Monikę Belucci to nie łąska?

– To jest przedmiotowe traktowanie kobiet! – warknęła Gasiuk-Pihowicz. – „Me Too” – mówi to panu coś?

– Tak – potwierdził Czarzasty. – Ostatnio okazało się, że pani, która to zaczęła, sama zgwałciła jakiegoś nastolatka.

– Ja odmawiam dalszego udziału w pracach tego gremium, dopóki jest w nim pan Czarzasty! – wypaliła pani Kamila i wstała.

– Pani za swoją kawę zapłaci – zwrócił jej uwagę przewodniczący SLD.

– A właśnie, że nie zapłacę. Pozwolę panu to zrobić w ramach szacunku dla kobiet – wyszczała Gasiuk-Pihowicz i wyszła. Czarzasty westchnął.

– No dobra – Schetyna zerknął na zegarek, nie próbując nawet zrobić tego dyskretnie. – Widzę, że spotkanie jak zwykle bardzo efektywne, ale ja się spieszę na mecz.

– A co z naszą wspólną strategią?! – obruszył się Biedroń.

– Nie wiem, jaka jest wasza wspólna strategia – odrzekł przewodniczący.

– Nasza jest sprawdzona: PiS to współczesna targowica, bo walczy z konstytucją, wolnością i europejskością Polski. Realizują politykę, która służy Wschodowi, służy Rosji Putina. Ten, kto odwraca się tyłem do Europy, a to PiS robi w relacjach nie tylko z KE, Parlamentem Europejskim, lecz także z całą Unią Europejską, stoi twarzą do Putina. To oczywiście znaczy, że PiS wyprowadza nas z UE. Poza tym wiadomo: dyktatura, kaczynizm, prześladowanie i PiS wziął kasę, a nic nie daje. Do widzenia, państwu. – Z tymi słowy przewodniczący PO wstał i opuścił spotkanie.

Czarzasty nagle zerwał się na równe nogi.

– Sorry, strasznie mnie przycisnęło, muszę lecieć do toalety – i wybiegł z kawiarni.

Biedroń także się podniósł.

– Ja też muszę iść, mam jutro z samego rana spotkanie w Słupsku w sprawie stworzenia oddziału straży miejskiej z osób LGBTQ.

Kasprzak został sam. Melancholijnie bębnił palcami po stole, zapomniawszy nawet rozglądać się w poszukiwaniu agentów reżimu. Martwił się o Polskę.

Z zamyślenia wyrwały go słowa:

– Należy się 546 zł.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W tekście wykorzystano cytaty z wypowiedzi bohaterów opowieści. Przyjęto ich odnalezienia i zidentyfikowania pozostawiam P.T. Czytelnikom.

Czas popularności przekazywanych ustnie kawałów minął dobrych kilka lat temu. Nawet politycy przestali w stacjach radiowych rechotać, udzielając ironicznych odpowiedzi na zadane przez siebie pytania w rodzaju: Dlaczego Donald Tusk wstaje o szóstej rano? (żeby dłużej móc nic nie robić) czy: Po co Jarosław Kaczyński otwiera okna na Nowogrodzkiej? (bo wieje spiski). Dzisiaj centrum humoru i źródłem rozrywkę są smartfony, które dają dostęp do memów, fotomontaży, twitterowych dwuwierszy czy satyrycznych tekstów w sam raz na Facebooka.

Jedno wydaje się niezmiennie. Wbrew twierdzeniom kabareciarzy, którzy w ostatnich latach dystansowali się od skeczy politycznych, twierdząc, że już nie śmiesz, wciąż chętnie śmiejemy się z polityki. – Nie wierzę w mówienie, że nie interesują nas żarty z polityki. To asekuranctwo kabaretów, które wiedzą, że nietanie bilety na ich występ kupili zwolennicy różnych opcji, więc boją się kogokolwiek urazić – mówi Rafał Madajczak, założyciel i redaktor naczelny „ASZdziennika”, serwisu reklamującego się hasłem: „Najlepsze zmyślane newsy w kraju”. – Polityka ciągle żyje jako temat, choć to, jak duże jest nią zainteresowanie, jest sprzężone z kalendarzem wyborczym. Im bliżej wyborów, tym chętniej klikamy w tematy polityczne. Duże zainteresowanie jest podczas kampanii i utrzymuje się tuż po wyborach, kiedy jedni z funkcji odchodzą, a inni przychodzą, kiedy odpalane są czołowe projekty i wszyscy zastanawiają się, czy kraj się zawali, czy jednak nie. Najmniejsze zainteresowanie polityką jest pośrodku kadencji, kiedy nastaje mała stabilizacja – mówi Madajczak i dodaje, że dotyczy to nawet dobrej zmiany.

– Frank Zappa powiedział kiedyś, że polityka jest jedną z gałęzi przemysłu rozrywkowego. Sam się pod tym stwierdzeniem podpisuję, a nawet bym dodał, że to dobrze rozwijająca się gałąź rozrywki – mówi dr Wojciech Szalkiewicz, specjalista w dziedzinie marketingu politycznego i jeden z autorów wydanej w tym roku książki „Humor i władza”. Jego zdaniem satyra polityczna w Polsce ma się ostatnio bardzo dobrze. – Zawsze tam, gdzie władza nie lubi, jak się z niej żartuje, humor polityczny rozwija się w najlepsze, a nasza władza jest śmier-



Internauci śmiali się m.in. z sędzi Gersdorf ze świeczką przed SN czy z „ławki” Rafała Trzaskowskiego

Śmiechu warte



Agnieszka Niewińska

Humor polityczny zalewa sieć. Sprofilowane według własnych poglądów żarciki znajdują i zwolennicy rządu, i kibice opozycji. Wspólne jest jedno: coraz częściej zamiast wbijania szpili mamy do czynienia z waleniem maczugą

telnie poważna. Inspiruje, dostarcza twórcom wielu tematów – ocenia.

W sieci jest w czym wybierać. Coś dla siebie znajdują konserwatyści, sympatycy lewicy, a nawet symetryści. Ci ostatni upodobał sobie fanpage „Gdzie nie bywało, kogo nie znać”. Autor w ostrych słowach potrafi zadrwić z sędziów czy KOD, znokautować Irlandczyków legalizujących aborcję i obśmiać czołowych polityków PiS. „Właśnie obejrzałem wy-

wiad z profesorem Glińskim. Niesamowity człowiek. Jakby go wysłać na mediacje pomiędzy Palestyną a Izraelem, to po jednym dniu zapanowałby pokój – obie strony zużyłyby całą broń na strzelanie do niego” – komentował jeden z medialnych występów ministra kultury.

Konserwatyści mogą też podpatrywać perypetie młodych postępowców pracujących w call center, zatroskanych o poprawność polityczną i prawa osób

LGBT. W krzywym zwierciadle na Facebooku i na łamach „Do Rzeczy” przedstawia ich rubryka Młodzi Wykształceni i z Wielkich Ośrodków.

Do większej popularności w sieci aspiruje fanpage Pani Agata. To humor dla inteligentów, a fanpage opisuje perypetie tytułowej Agaty – nieco zagubionej w rzeczywistości, ale za to zorientowanej w najnowszych trendach na froncie walki z kaczynizmem, „Starszej Siostry Postępu” i „która swoją erudycją zawstydziła Google’a” – jak przedstawia ją autor. Po występie sędziego Igora Tulei na festiwalu muzycznym Pani Agata zdradziła, że czeka na jego pierwszą płytę długogrającą. Na czele „zjednoczonej, walczącej

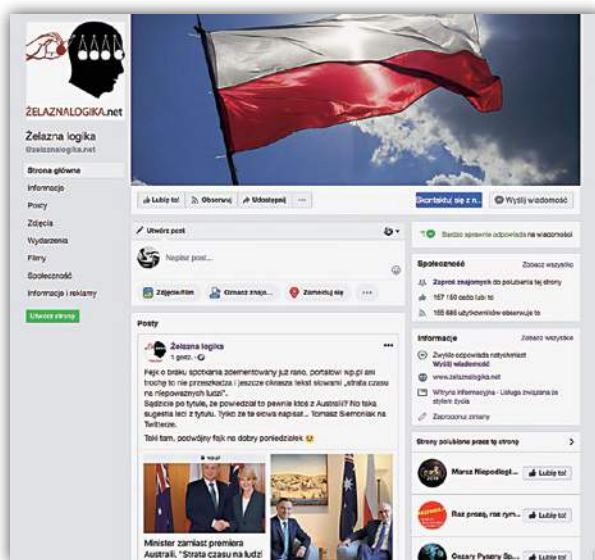
o praworządność opozycji” jej zdaniem powinien obecnie stanąć Piotr Najsztub. Świeczkom na zdjęciach profilowych znających się dziwi, bo choć duńska hygge jest w modzie, to jednak bardziej w listopadzie niż w środku wakacji.

Fanpage Żelazna Logika akcentuje polskie paradoksy – choćby w „Raporcie ze zniewolonego dyktaturą tego kraju”. Żelazna Logika opisuje: kioski, w których na ladach wyłożonych jest kilkanaście gazet krytykujących rząd; największe portale z powszechną krytyką rządu; telewizję, w której „uciemnieni sędziowie opowiadają bez przeszkód o tym, jak są prześladowani”; celebrytów, którzy atakują rząd wyzwiskami, by skonstatować: „Idziesz dalej i dochodzisz do wniosku, że mieszkasz w kraju, w którym panuje najbardziej pierdołowata dyktatura w historii ludzkości”.

Fanpage Marchew z Ciemnogrodu żartuje choćby z protestu songu dwóch głów, którym za rządów PiS piwo nad Wisłą nie smakuje, i zapowiada filmową premierę o Pawle Kasprzaku, liderze Obywateli RP, pod tytułem „Człowiek z bagażnika”.

PO BOŻEMU CZY NA PIĘTĘ?

Przeciwnicy rządzących doskonale odnajdą się na fanpage’u Sekcja Gimnastyczna. „Jest efektem wkurwienia wywołanego przez wydarzenia w Polsce, które miały miejsce po wyborach parlamentarnych w 2015 r.” – tak swoje działania przedstawia internetowej publiczności autor. W kadry zaczerpnięte z kultowych filmów wpisuje komentarze do bieżących wydarzeń – choćby małżeńskiego kryzysu poślą



Żelaznalogika.pl tropi nieprawdziwe informacje o politykach

Pięty: „Państwo są tu po bożemu czy na piętę?” – pada pytanie do roznegliżowanej pary. Są i żarciki z kryzysu sądowego, przegranej na mundialu czy niezbyt udanych rzeźbiarsko pomników prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Marysia z „Poszukiwany, poszukiwana” dostaje zadanie:

- Pojedzie Marysia pod pomnik Kaczyńskiego!
- Ale pod który pomnik?
- No... ten brzydki.
- A są jakieś inne?

Facebookowe TVII Korea, czyli „Koreański głos w Twoim domu”, to parodia „Wiadomości”. Są dowcipy z „pasków grozy” („Roger Waters chce odebrać Polakom 500 plus”, „Fala upałów obciąża Platformę Obywatelską”, „Wyniki polskiej gospodarki przyćmiły Księżyc”) i zmontowane skróty wydania stylizowane na flagowy serwis TVP: o wzroście produkcji, bogaceniu się społeczeństwa i partii, która rozwiązuje problemy Polaków.

Wspomniany już „ASZdziennik” jest jednym z serwisów grupy naTemat.pl i stąd kojarzony jest raczej z lewą stroną polityczno-ideowego sporu. „Komplikacje podczas operacji Jarosława Kaczyńskiego. Lekarze musieli też usunąć poglądy z XIX wieku”, „Dramat Andrzeja Dudy. W nocy KOD powiesił na nim koszulkę z konstytucją i nikt mu jeszcze nie powiedział”, „Partia Razem chce likwidacji klas w grach RPG” – to tylko niektóre z nagłówków do zmyślonych newsów, które proponuje czytelnikom „ASZdziennik”. Według jednych serwis mocno sprzyja opozycji, zdaniem innych zachowuje równowagę i bawi abstrakcyjnym humo-

rem. – Mamy także prawicowych czytelników, choć nie ukrywamy swoich poglądów. Nie jestem fanem dobrej zmiany. Nie mam nic przeciwko programom socjalnym, ale nie podoba mi się temperatura sporu i polityczne zmiany, z których będziemy wygrzebywać się latami – mówi Madajczak, ale zaznacza, że nie przeszkadza mu to drwić z opozycji. Przypomina, że to „ASZdziennik” zrobił głośną parodię pompatycznego postu Rafała Trzaskowskiego o wykładach u Bronisława Geremka. – Nie zgadzam się z tym, że powinniśmy żartować po równo z rządzącymi i opozycją. Rządzący dają więcej sposobności do żartów, bo mają ministrów, częściej wypowiadają się w mediach, wyjeżdżają w po-

droże zagraniczne – tłumaczy. Rządzą obecność PO na łamach „ASZdziennika” tłumaczy tym, że partia ta nie jest dzisiaj wdzięcznym tematem do satyry. – Gdyby nie Trzaskowski, a przypuszczam że i on zaraz się skończy jako temat żartów, nie byłoby jak żartować z PO. Oni są po prostu totalnie nudni. Jedyne dowcipy, jakie można o nich teraz opowiedzieć, to taki, że siedzą beczynnie i czekają, aż PiS minie – mówi.

Jerzy Wasiukiewicz przez 25 lat komentował rzeczywistość swoją kreską dla „Super Ekspresu”. Dzisiaj publikuje m.in. w „Tygodniku Solidarność”. Przyznaje, że i rysownicy dostrzegają plemienność humoru politycznego.

– Niejednokrotnie zamieszczałem jakiś rysunek na Facebooku, który nie podobał się sympatykom jednej, drugiej lub trzeciej opcji politycznej. Czasem takie osoby w komentarzu wyrażały swoją dezaprobatę, zamieszczając wpis typu „unlike” i „odlajkowywały” mój profil – opowiada rysownik, ale dodaje, że kilka razy został miło zaskoczony. – Zdarzało się również, że moje rysunki zamieszczali u siebie na Facebooku ludzie z kompletnie odległej mi formacji politycznej czy ideologicznej, np. z Twojego Ruchu – opowiada rysownik. Rysunek z popularnej serii Wasiukiewicza – Kot Kaczora – w której futrzak prezesa wychodzi na najmańdrzejszego komentatora politycznego sporu, udostępnił były lider KOD Mateusz Kijowski. – Wykazał się akurat poczuciem humoru. Rysunek bowiem uderzał w jakiś sposób w „obrońców demokracji” i dlatego bardzo spodobał się zwolennikom dobrej zmiany – opowiada Wasiukiewicz.

Doktor Wojciech Szalkiewicz zwraca uwagę, że w ostatnich latach humor polityczny bardzo ewoluował. – To już nie są te czasy, w których śmieliśmy się z konkretnych polityków. Nie ograniczamy się do śmiechu z przywar Lecha Wałęsy czy specyficznego zachowania Waldemara Pawlaka, jak w latach 90. Teraz kpiny są osadzone w konkretnym kontekście politycznym, wyśmiewamy całe grupy polityczne i ich zwolenników. Z tego samego żartu jedni będą się śmiać, a inni mogą się z jego powodu poczuć urażonymi. Ktoś, kto śmieje się z dowcipów o „Naszem Dzienniku”, niekoniecznie będzie też żartował z „Gazety Wyborczej” i na odwrót – mówi. Dodaje, że humor stał się narzędziem marketingu politycznego. – Satyryczne serwisy są wykorzystywane przez zawodowców, którym nie chodzi o śmiech, ale o ośmieszenie przeciwników politycznych. W sferze humoru jest coraz mniej obiektywizmu, a coraz więcej walki politycznej. Z tego w dużej mierze wynika podział na strony i profile, które głównie obśmiewają rząd, i te, które ostrze satyry wymierzają w stronę opozycji i jej akolitów. Dziś dominuje przekonanie, że jeśli śmiesz się ze mnie i mojej partii, to jesteś moim wrogiem.

Bronisław Sałuda, olsztyński wydawca, który przygotował antologię dowcipów politycznych pt. „Humor polityczny 1989–2014”, opatrzył swój zbiór gorzkim komentarzem: „Zbyt często zamiast z szermierką ma się do czynienia z łomotem maczug i bębnieniem cepów”.

Cepem bębni choćby serwis SokzBuraka. To społeczność polityczna o niemal niedostrzegalnym zabarwieniu satyrycznym. Tu reklamuje się materiały Koduj24.pl, przekleja twitty Tomasza Lisa czy Elizy Michalik albo złote myśli Grzegorza Schetyny na temat tego, jak rząd nie radzi sobie z suszą i czego oczekiwali by rolnicy. Rozpoznawalne grafiki Soku nie rozzmieszkają chyba nawet stronników opozycji. Z okazji trzeciego roku prezydentury Andrzeja Dudy powstał obrazek z jego zdjęciami i podpisem: „Kto z was nie może już na to patrzeć?”. Pod zdjęciem studia „Wiadomości” z Danutą Holecką i fikcyjnym paskiem o treści: „Cały naród modli się o zdrowie prezesa Kaczyńskiego” pojawia się wezwanie do internautów: „Kliknij, jeśli TVP kłamie”. Za wyraźną plemiennosc jest jednak premia. SokzBuraka śledzi ponad 700 tys. internautów.

Drogą SokuzBuraka idzie inny serwis z warzywem w nazwie – Prażona Cebula.

Tu kpi się z kolei z opozycji i postępców. Obśmiewa się covery popularnych piosenek w wykonaniu KOD, zestawia stare wypowiedzi lidera PO z obecnymi. W kontekście ataków na policjantów na manifestacjach przypomina się słowa Donalda Tuska sprzed czterech lat o tym, że: „Każdy, kto obraża policjanta, obraża majestat RP” czy Ewy Kopacz o tym, że

Wraz ze wzrostem agresji w komentowaniu polityki zaczęło ubywać rysunków satyrycznych. Ich miejsce zajmują toporne memy

władzę przejmuje się przy urnie wyborczej, a nie na ulicy.

Jerzy Wasiukiewicz jest zdania, że SokzBuraka i inne serwisy go naśladowące to propaganda, która z humorem i żartem ma niewiele wspólnego. – Jedyne, co tam jest sprzedawane, to brutalność, agresja, nie ma żadnej finexji, głębszej myśli w tym, co się tam dzieje, nie mówiąc o satyrze i humorze – uważa rysownik.

MEM JEST KRÓLEM

Jerzy Wasiukiewicz zwraca też uwagę, że wraz ze wzrostem agresji w komentowaniu polityki ubywa rysunków satyrycznych. – Znikają one wraz ze znikaniem z rynku drukowanych tytułów prasowych. To jest ogólnosiwiatowa tendencja, szczególnie chyba mocno zauważalna w Stanach Zjednoczonych, gdzie rysunek typu editorial cartoon gościł na łamach każdego szanującego się dziennika. Już ładnych parę lat temu z rynku zniknęło tam wiele dzienników, a wraz z nimi rysownicy. U nas chyba dzieje się podobnie. Portale internetowe natomiast niechętnie sięgają po tego typu rysunek – mówi Wasiukiewicz, dodając, że choć jego zdaniem to nie zalew memów jest tu konkurencją dla rysowników, to nie da się ukryć, że w internetowych serwisach dziś to mem jest królem.

Zdjęcia z bardziej lub mniej błyskotliwymi podpisami to natychmiastowy komentarz do konkretnego wydarzenia, zachowania czy wypowiedzi. Kiedy na posiedzeniu sejmowej komisji sprawiedliwości i praw człowieka doradczyni prezydenta Zofia Romaszewska

wytknęła sędziom Sądu Najwyższego udział w demonstracjach i paradowanie ze świeczkami, Małgorzata Gersdorf odparła: „Sędziowie Sądu Najwyższego nie chodzili z żadnymi świeczkami i ja też” – Internet od razu zalała fala memów. Zdjęcie Gersdorf ze świeczką w ręku pod budynkiem SN autor jednego z memów okraślił słowami: „Jeszcze raz pytam! Czyje to?!”. Inny opisał je: „A teraz będzie lanie wosku. Zapraszam na andrzejki”.

Akcja Rafała Trzaskowskiego, który na rozmowy z mieszkańcami Warszawy jeździ z ławeczką, też okazała się dobrą pożywką dla twórców memów. „Wejść na ławkę. Z góry zawsze widać lepiej” – zachęcał Trzaskowski na jednym z memów stojący na ławce były prezydent Bronisław Komorowski. Na ławeczkę kandydata PiS internauci kładli też śpiącego pijaka albo wkładali ją w kadr serialu „Ranczo”, w którym na przysklepowej ławeczce zwykli siadać koneserzy taniego wina.

Z memów na temat polityków PiS mogłaby już powstać gruba antologia. Oddzielny rozdział mogłyby stworzyć memy na temat prezydenta. Ostatnio razem z głową państwa w roli głównej występuje na nich konstytucja. „Czytałeś konstytucję?” – pada pytanie do prezydenta w jednym z memów. „Nie, ale widziałem ekranizację” – odpowiada prezydent.

Wasiukiewicz zaznacza, że choć sam po memy nie sięga, to zdarza mu się oglądać te, które w mediach społecznościowych udostępniają jego znajomi. – Często to rzeczy świetne – jeżeli chodzi o komentarze polityczne czy też chociażby humor abstrakcyjny – ocenia.

Rafał Madajczak fenomen memów tłumaczy tym, że łatwiej jest rozprowadzić w Internecie niż rozbudowany żart słowny, nie potrzeba na długo skupić na nim uwagi, wystarczy trzy sekundy. – Przy odbiorze napisanego żartu wyższa jest bariera wejścia. Tekst jednak nie zginie, tak jak paski telewizji informacyjnych nie zastąpią gazet – mówi.

Doktor Szalkiewicz zwraca uwagę, że to nie popularność memów jest zagrożeniem dla zawodowców od politycznego humoru. – Czasem myślę, że to politycy stanowią poważną konkurencję dla satyryków. Nawet nie trzeba szukać humorystycznych materiałów. Wystarczy zobaczyć, co się dzieje w Sejmie. Okazuje się, że to scena na Wiejskiej jest największym kabaretem, a to, co się tam dzieje, znacznie wyprzedza pomysły satyryków.

Podróże nabierają koloru



RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIĄŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 309 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Nie czas na awans dla Nowego z Tamowa – bohatera pana rubryki? To on rozdaje święte obrazki z Kaczafim, dba o to, by w korpo, w którym osadził pan akcję, obchodzono święta narodowe i kościelne. Chyba zasłużył na ekspozycję na posadę, np. w jakiejś spółce Skarbu Państwa?

ARTUR SZEREMETA: Były już takie przymiarki, ale sprawa awansu dla Nowego nie została jeszcze rozstrzygnięta. Spółka Skarbu Państwa jest wiele i coś dla niego mogłoby się jednak znaleźć. Wykazał się, ma zasługi dla krzewienia dobrej zmiany. Praca wyłącznie w korpo, nawet na stanowisku kierowniczym, nie zaspokoili ambicji kogoś takiego jak Nowy.

Ambitnych w spółkach potrzeba, więc proszę o nim pamiętać. Perypetie Nowego z Tamowa, kolegi-geja czy frendziar z kolektywu można śledzić od siedmiu lat. Nasze poczucie humoru się przez ten czas zmieniło? Dzisiaj śmiejemy się z czego innego?

Zdumiało mnie przede wszystkim to, że po tych siedmiu latach rzeczywistość zaczęła doganiać satyrę. Świat poszedł w kierunku, który był obśmiewany w Młodych Wykształconych i z Wielkich Ośrodków (MWizWO), a także w wielu innych miejscach w Internecie. Mam na myśli różne kwestie związane z politpoprawnością, światopoglądem, moralnością, szeroko pojętą tolerancją. Wystarczy zwrócić uwagę, jakie poruszenie wzbudziło pojawienie się na Netflixie serialu „Przyjaciecie” z połowy lat 90. Okazało się, że obecnie nawet „Przyjaciecie” są w stanie kogoś obrazić.

Seksistowsy, homofobiczni i na dokładkę upokarzają „bardziej grawitacyjnie uposażonych”.

Doszło do tego, że podobno amerykańscy społecznie wrażliwi studenci muszą zamykać się w odosobnionych pomieszczeniach, żeby popłakać nad tym, co usłyszeli w „Przyjaciociach”.

A polskie podwórko? Hasło z MWizWO „Faszyzm nie przejdzie!” kiedyś wydawało się przesadne, przerysowane, absurdalne. Dzisiaj jest na ustach połowy manifestacji w „tym kraju”.

I niekoniecznie powinno nam być do śmiechu z tego powodu. Faszyzm już nic nie znaczy. To słowo zostało odarte z jakiegokolwiek głębszego znaczenia. Jest wypowiadane w ramach jakiegoś odurzenia. Jak jest marsz, to słyszymy, że idą faszysty. Jak święto narodowe, to wielu kojarzy się ono z jakimiś faszystami.

Już nawet z nowomowy trudno się śmiać, bo do radia prowadzący zapraszają „gościnie”

i „ministra”. Satyra jest jeszcze w stanie przebić rzeczywistość?

Akurat język jest na tyle giętki i podatny na zmiany, że w odpowiedzi na nowomowę zawsze znajdzie się jeszcze nowsza nowomowa. W tej dziedzinie w dalszym ciągu jest pole do kreatywnych popisów. Zawsze można coś wykrzywić bardziej niż radiowi prezenterzy. Prawdą jest jednak to, że dzisiaj coraz trudniej jest prowadzić taką rubrykę niż jeszcze kilka lat temu.

Podobno satyra ma teraz doskonałą pożywkę. Tyle że coraz mocniej okopaliśmy się na swoich pozycjach. MWizWO założyłem

zagrozić Europie. Bardzo dużo się o tym mówiło, pokazywało się dychotomię między fajną postępową Europą i strasznym PiS, który miał nas od tej fajnej Europy oddzielić. Trudno było od tego abstrahować, więc te wątki często się pojawiały na łamach MWizWO. Jednak ważniejsze niż międzypartyjne podziały były stojące za nimi intelektualne postawy, stosunek obu obozów do spraw obyczajowych, LGB-TQWERTY i tym podobnych.

Bohaterami pana satyry są młodzi ludzie pracujący w korporacji na umowę-zlecenie. To typowa grupa dla lewej strony światopoglądowego sporu?



Z Arturem Szeremetą, twórcą rubryki i fanpage'a Młodzi Wykształceni i z Wielkich Ośrodków rozmawia Agnieszka Niewińska

Rzeczywistość dogania satyrę

w styczniu 2011 r., w środku posmoleńskich emocji. W kolejnych latach obserwowałem, że dialogu jest coraz mniej.

Przecież to, co pan tworzy, to nie jest satyra stricte polityczna.

Chciałbym, żeby MWizWO było traktowane jako rubryka światopoglądowa. Nie chodzi mi o walkę frakcji. Na początku zresztą miał to być po prostu zbiór osobowości – takich młodych wykształconych, którzy na co dzień wygadują banały na tematy polityczne i gospodarcze. Potem fanpage poszedł w trochę innym kierunku, bo jego powstanie wpisało się w moment, w którym zaczęły się tworzyć dwa gigantyczne obozy. Z jednej strony PO, z drugiej strony PiS utożsamiany ze wszystkimi ciemnymi siłami, które miały

Moi bohaterowie nie tyle reprezentują lewą stronę, ile sporą grupę młodych ludzi, którzy nie mają pojęcia o otaczającym ich świecie. Wiedzą tylko tyle, ile przeczytali w nagłówkach popularnych portali. To, czy są pracownikami wielkiej korporacji, czy raczej niedużego call center, pozostawiam uwadze czytelników. Podpowiem tylko, że to, iż nazywają swoją firmę „korpo”, to raczej wyraz ich aspiracji. Oni bardzo chcieliby w takim „korpo” pracować.

Kto czyta MWizWO? Tylko prawicy?

Czytelnikami jestem mocno zaskoczony. Większość to rzeczywiste osoby o prawicowych i konserwatywnych poglądach. Zdarzają się jednak czytelnicy skrajni. Mam wśród znajomych osoby o mocno lewicowych poglądach, które uważają, że beka



MŁODZI, WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW „LEMINGI” FRONDA 2014

z korpuludków w takim stylu, w jakim ja to robię, im też odpowiada. Nigdy natomiast nie spotkałem się z hejtem z lewej strony. Co najwyżej z komentarzami: „Ale to MWizWO to bezbek” czy „To wcale nie jest zabawne”. A to akurat jest kwestia gustu.

prasowych. Podobnie jak Grażynka. Adam Mickiewicz pewnie byłby załamany, gdyby wiedział, jak potoczy się historia wymyślonego przez niego imienia. Nie byłby pewnie szczęśliwy, widząc, z czym jest dziś utożsamiana Grażyna.

wpadł ktoś inny, a nie ja. Bardzo sobie cenię zaangażowanie i aktywność tej społeczności, która się zebrała wokół fanpage'a. Bez niej nie byłoby tego fenomenu. Neologizmy z MWizWO ludzie zaczęli podawać dalej, część z nich przedostała się do języka. Okazuje się, że nie tylko ba-

Mamusiu, Don Kichot
mi się oświadczył!



A. Janusz

Są odbiorcy, którzy nie rozumieją konwencji rubryki, sądząc, że entuzjazmuje się ona polityczną poprawnością i obyczajowymi eksperymentami?

Ciągle się tacy zdarzają. Dostawałem już pogróżki od prawicowych rycerzy Internetu, wiadomości, w których byłem wyzywany od „tęczowych chłopczyków”. Od drugiej strony dostawałem z kolei zaproszenia i prośby o patronat nad wydarzeniami LGBT.

Wylansował pan Janusza i Grażynę – archetyp Polaka z ciemnogrodu. Zaden nosiciel imienia Janusz nie napisał do pana z pretensją, że zniszczył mu pan życie?

Nie mam przekonania, że ja to wylansowałem, ten nasz Janusz bardzo się rozpowszechnił na wielu innych płaszczyznach. Jest dziś bohaterem memów, dowcipów i publikacji

W pana satyrze typowy wyborca PiS to zajadający cebulę Janusz z Podkarpacia z gromadą dzieci i żoną, którą dyscyplinuje żelazkiem. Podkarpacie się nie obraziło?

Dyscyplinuje kablem od żelazka, końcówką z żelazkiem. Pretensji regionalnych jak dotąd nie było. Jeśli ktoś pisze w komentarzach: „Odczepcie się od Podkarpacia”, to raczej robi to z przymrużeniem oka.

wię. Miło pomyśleć, że mam jakiś drobny wpływ na to, jakim językiem się posługujemy. Nie wiem do końca, jak było z Kaczafim, ale odkąd zacząłem używać tego określenia prezesa PiS na Facebooku i potem w „Do Rzeczy”, to zrobiło ono karierę. Nawet Joachim Brudziński dementował, że w PiS nikt tak na prezesa nie mówi.

Żeby utrzymać się w konwencji, powinniśmy byli na wywiad umówić się w Starbuniu przy sojowym latte.

Zdaję sobie sprawę, że takie są oczekiwania, jednak nie poradzę nic na to, że wolę zwykłą kawę ze zwykłym mlekiem, a nie sojowym. Zresztą Unia jakiś czas temu zakazała stosowania nazwy „mleko sojowe”, teraz można mówić „napój sojowy”. Faszyzm uderza czasem ze zdecydowanie niespodziewanego kierunku.



**MŁODZI,
WYKSZTAŁCENI
I Z WIELKICH
OŚRODKÓW
„LEMINGI 2.0”
FRONDA 2016**

Rosnie panu konkurencja. Czytelnicy w komentarzach też tworzą neologizmy, stylizują język na Młodych Wykształconych.

To nie jest konkurencja, tylko współtwórcy społeczności. Czytelnicy są bardzo kreatywni w wymyślaniu nowych pojęć, w kreowaniu własnych skojarzeń. Czasem, czytając ich komentarze, żałuję, że na coś

MARCIN MAKOWSKI: Jarosław Kaczyński wyjechał ostatnio w Beskid Sądecki, gdzie „zatroskał się stanem polskiej opozycji”. Dawno pana w mediach nie było. Też jakieś troski i zmartwienia?

JAROSŁAW GOWIN: Miałem niespełna dwutygodniowy urlop i przez ten czas dużo rzeczy przemyślałem. Moi współpracownicy byli zaskoczeni, gdy po przerwie przyjechałem do ministerstwa z konkretnymi koncepcjami kolejnych faz reformy systemu nauki i szkolnictwa wyższego. Zasadniczą troską był jednak stan państwa. Jestem w stu procentach przekonany, że Polskę trzeba wymyślić na nowo. Wystarczy dostrzec skalę konfliktów i fundamentalny podział

Zjednoczonej Prawicy, wciąga Polskę w objęcia faszyzmu. Nie umiem tego pojąć. Coś złego się między nami wydarzyło, a wzajemna wrogość realnie zagraża spójności i przyszłości kraju.

Czyja to wina? Większa odpowiedzialność zawsze spoczywa na tych, którzy mają władzę.

Konflikt polityczny wykroczył poza cywilizowane ramy już za rządów PO-PSL. A przede wszystkim przetrwanie się pytaniem, kto jest winny, jest całkowicie jałowe. Zresztą chyba nie oczekuje pan od wicepremiera, że obarczy winą własny rząd. Tak jak nie oczekuje pan od przedstawiciela opozycji, że zacznie bić się w piersi.

państwo wymyślone na nowo było do przyjęcia dla tych, którzy w III RP czuli się obco, jak również dla tych, którzy obecnie mają wrażenie, że odbieramy im „ich” Polskę.

Jak to zrobić w sytuacji, w której Grzegorz Schetyna czy Włodzimierz Czarzasty wprost zapowiadają, że gdy dojdą do władzy, nie będzie litości dla PiS? Żadnej grubej kreski, „złotego spadochronu” – jedynie Trybunał Stanu dla zdrajców.

Co gorsza – ani Schetyna, ani Czarzasty nie są radykałami. W swoich partiach należą do polityków umiarkowanych. Jeśli więc nawet oni posługują się takimi pogrozkami i taką retoryką, to znaczy,



Z wicepremierem Jarosławem Gowinem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego

rozmawia Marcin Makowski

Sąd Najwyższy nie ma i prezesa

polityczny przejawiający się w tym, że bez względu na to, kto rządzi, istotna część społeczeństwa nie czuje, że władza reprezentuje jej zasadnicze interesy. To powinno nas skłonić do intensywnej pracy nad dalekosiężną odnową życia publicznego, której zawiązaniem musi być nowa konstytucja.

Jadąc na wywiad do ministerstwa, naliczyłem siedem billboardów PO i Nowoczesnej – „PiS wziął miliony i chce być bezkarny”. Rząd odpowiada spotami wideo, ukazującymi awanturującą się opozycję, która nie ma programu. Naprawdę wierzy pan, że „dalekosiężna reforma” pogodzi Polaków?

W innych państwach demokratycznych spory toczą się przy użyciu instrumentów równie ostrych. Problem w tym, że w naszym kraju zaczynamy się posuwać do odmawiania oponentom legitymacji do udziału w życiu publicznym. Gdy rozmawiam z przyjaciółmi, czasem słyszę, że to, co robimy ja i reszta

Jedynie, czego oczekuję, to szczerej odpowiedzi.

Gdybym uważał, że winna jest Zjednoczona Prawica – i tylko ona – dawno byłbym po drugiej stronie barykady. Jak to w życiu, również w tym przypadku racje są podzielone. To jednak nie znaczy, że należy mnie zaliczyć do tzw. symetrystów. Jestem przekonany, że to, co robi obóz PiS i całej Zjednoczonej Prawicy, głęboko i pozytywnie przeobraża nasz kraj. Nie widzę z kolei żadnego pomysłu na Polskę ze strony opozycji. Gdyby doszła do władzy, w najlepszym razie mielibyśmy restaurację III RP, a więc powrót do stagnacji i uprzywilejowania egoistycznych elit, które w 2015 r. odsunęliśmy od wpływów. Sedno sprawy leży jednak gdzieś indziej. W sporze politycznym trzeba chronić minimalny wspólny mianownik, jakim jest racja stanu. Pora więc przestać roztrząsać, kto pierwszy w kogo rzucił kamieniem. Zaczniemy się zastanawiać, jak zmienić ustrój. Tak aby

że mamy do czynienia z „moralną wojną domową”.

Która skończy się rozlewem krwi?

Tragiczna historia Marka Rosiaka dowodzi, że niczego nie można wykluczyć, ale szaleńcy mogą się pojawić wszędzie, bez względu na szerokość geograficzną. Bardzo niepokoi mnie to, jak szybko opozycja uznała, że obecny Trybunał Konstytucyjny czy Sąd Najwyższy nie posiadają mandatu do pełnienia swoich obowiązków.

Pan cały czas mówi językiem inteligenta, a ulica nie ma ochoty na dzielenie włosa na czworo. Klementyna Suchanow pisze na elewacji parlamentu: „Wyp...ć”, a Magdalena Środa zachęca, aby wszyscy demokraci szli w jej ślady.

Nie mówię jak wyobcowany inteligent – mówię o tym, o czym myślą i mówią miliony Polaków. Gdyby przeszedł się pan deptakiem dowolnego polskiego miasta, zobaczyłby pan tam spokojnych

i na ogół zadowolonych z życia ludzi. Skrajne emocje udzielają się nielicznym.

Platforma też może powiedzieć, że za jej rządów większość nie protestowała, czyli było super.

Tyle że obecnie nienawiść ze strony radykalizowanej mniejszości jest tak wielka, że chce ona zakwestionować porządek demokratyczny, łącznie z zafundowaniem w przyszłości swoim oponentom represji politycznych. Dochodzi do podważenia legitymacji fundamentalnie ważnych instytucji, takich jak Trybunał Konstytucyjny czy Sąd Najwyższy. Inny smutny przykład to nieobecność opozycji na najważniejszych świętach narodowych. Wygląda to na przesądzone, że 100-lecie odzyskania niepodległości świętować będziemy osobno. Dokąd nas to wszystko zaprowadzi? Załóżmy, że opozycja wygra wybory niewielką większością i wsadzi rywali do więzienia. Co dalej? Czy ludzie głoszący na Zjednoczoną Prawicę wyparują? Nie. Poczują się upokorzeni, wykluczeni i zaatakowani. To, co proponują politycy i ideolodzy związani z radykalną opozycją, to plan na polityczne wysadzenie Polski w powietrze.

Czy w takim razie powinniśmy czekać na drugi Okrągły Stół?

To nie jest dobra analogia. W 1989 r. przy Okrągłym Stole zasiedli z jednej strony przedstawiciele społeczeństwa, a z drugiej aparatchycy rządzący z sowieckiego nadania. I trzeba było z nimi rozmawiać, żeby uniknąć krwawego przewrotu politycznego. Natomiast jeśli pyta mnie pan – odsuwając na bok porównania historyczne – co dzisiaj trzeba zrobić, aby się porozumieć, to nie mam niestety dobrego rozwiązania. Trzeba poczekać rok do wyborów parlamentarnych i dać przemówić suwerenowi. Wtedy na tym, kto przejmie władzę – albo ją utrzyma – spocznie ogromny, moralny obowiązek zasypywania podziałów. I nie będzie to jednorazowy akt, ale proces, który potrwa lata.

Przekonują pana w tym kontekście obraz i słowa premiera Morawieckiego, który z zakasanyimi rękawami – już nie jako technokrata, ale trybun ludowy – mówi na wiecu wyborczym w Sandomierzu, że „Polska musi być jedna”, no ale z drugiej strony „tamci kradli, tamci oszukiwali” i do władzy wrócić nigdy nie powinni?

Już mówiłem, że obecna Polska jest zdecydowanie lepsza od tej, którą zastaliśmy w roku 2015. Po drugie, na przestrzeni trzech lat obserwuję szybką

i wiarygodną ewolucję Mateusza Morawieckiego z eksperta wchodzącego do rządu w pełnokrwistego polityka. A do repertuaru takich polityków należy również budowanie sugestywnych obrazów, które mogą zawładnąć wyobraźnią społeczną. Często retoryka polega na przeciwstawianiu jednych drugim. To oczywiste, bo spór jest naturą polityki. Cała rzecz jednak w tym, żeby spór nie zamienił się w wojnę. Powtarzam: jeżeli ktoś twierdzi, że nasz rząd jest faszystowski, to de facto wypowiada posłuszeństwo demokratycznie wybranym władzom. Mówiąc krótko – wypowiada wojnę. My tak wobec PO i PSL nie postępowaliśmy.

À propos faszizmu. Rafał Trzaskowski uczynił z delegalizacji ONR jeden z głównych programów swojej kampanii prezydenckiej w Warszawie. Podpisałby się pan pod jego postulatem?

Rafał Trzaskowski jest moim wielkim rozczarowaniem politycznym. Długo uważałem, że to jeden z najzdolniejszych polityków Platformy średniego pokolenia. Jednak w kampanii nie ujawnił jakiegokolwiek głębszej wizji życia publicznego w całości ani pomysłu na Warszawę. Jeśli z tematu delegalizacji ONR czyni oś walki o zwycięstwo w wyborach samorządowych, to oznacza to, że nie nadaje się na prezydenta Warszawy. Jako polityk jest oderwany od rzeczywistości. Z całą pewnością duża część opozycji chciałaby zredukować wszystko



FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FOKUS

do walki z faszyzmem i nazizmem, tyle że jest to spór całkowicie pusty. Opozycja miałaby dziś znacznie większe poparcie, gdyby krytykowała nas merytorycznie, np. zaproponowała lepsze rozwiązania wspierające rodziny czy gospodarkę. Tymczasem nasi oponenci wolą się koncentrować na sprawach, które z punktu widzenia większości Polaków są marginalne czy wręcz wydumane.

Warszawski ratusz stwierdził, że problem ze skrajnymi nacjonalistami istnieje, 1 sierpnia rozwiązując marsz z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego. Co dalej?

Jako człowiek przywiązany do tradycji Polski Jagiellońskiej – Polski wielu kultur, wielu narodów i wielu religii – nie mam żadnej sympatii dla ONR. Jestem jednak przeciwny jego delegalizacji, tak jak sprze-

Dlaczego?

Dlatego że musimy kierować się zasadą domniemania konstytucyjności uchwalanych ustaw. Wiem jednak, że wielu Polaków uważa to stanowisko, moje i rządu, za nie do obrony. Wymiar sprawiedliwości stał się obszarem najbardziej ostrego i niebezpiecznego dla Polski sporu. Jakikolwiek rozwiązanie byśmy przyjęli, jedna część opinii publicznej uzna, że stało się nieszczęście. Argumenty prawne po jednej i drugiej stronie wyczerpały swą moc. A tam, gdzie kończy się możliwość uzgodnienia stanowisk na płaszczyźnie prawa, pojawia się zadanie dla polityków. Mówiąc krótko, musimy rozpocząć pracę nad nową konstytucją. Zmiany, które wprowadzamy obecnie w sądownictwie, mają charakter przejściowy – one są

prezydenckiego referendum odegrała pozytywną rolę, mobilizując nas do debaty nad tym zagadnieniem. Nawet jeżeli na końcu uznaliśmy, że 11 listopada to nie jest najszcześniejsza data i postanowiliśmy wniosek prezydenta odrzucić.

Mówi pan, że nad nierozwiązywalnymi sporami trzeba przejść do porządku dziennego i iść dalej. Tylko jak przejść dalej nad faktami, choćby w przypadku wniosku skierowanego przez Sąd Najwyższy do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, odnośnie do wydania orzeczenia wstępnego na temat przechodzenia sędziów w stan spoczynku? Sąd do czasu uzyskania orzeczenia „zawiesił” obowiązywanie rządowych ustaw. Tutaj nie ma środka.

To jest coś dużo poważniejszego niż zawieszenie działania prawa. To uchylenie w istotnym obszarze, jakim jest wymiar sprawiedliwości, obowiązywania porządku demokratycznego. Sędziowie SN mieli oczywiście prawo zadać pytania prejudycjalne do Trybunału Sprawiedliwości, ale całkowicie bez podstaw prawnych i konstytucyjnych podjęli próbę zawieszenia obowiązywania ustawy, której nie zakwestionował Trybunał Konstytucyjny. To jest dramatyczny moment w dziejach Unii Europejskiej. Jeżeli Trybunał w Luksemburgu uzna się za instancję władną usankcjonować takie stanowisko grupki polskich sędziów, to będzie to paliwo dla środowisk eurosceptycznych w całej Europie. Zakwestionuje to bowiem fundamentalną dla całej UE ideę suwerenności państw narodowych.

Zgodnie z traktatami unijnymi, które Polska również podpisała, możemy nie mieć wyjścia. Orzeczenie wstępne TSUE, choć można prosić o jego doprecyzowanie, ma moc prawa obowiązującego w kraju, którego dotyczy.

Jeżeli Trybunał dopuści się precedensu i usankcjonuje zawieszenie prawa przez Sąd Najwyższy, to nasz rząd zapewne nie będzie miał innego wyjścia, jak doprowadzić do drugiego precedensu, czyli zignorować orzeczenie TSUE jako sprzeczne z traktatem lizbońskim oraz z całym duchem integracji europejskiej. Mówię to z ubolewaniem jako zwolennik integracji. Unia Europejska jest śmiałym i dalekosiężnym projektem, ale może przetrwać tylko jako Europa ojczyzn.

To brzmi jak pierwszy krok do polexitu.

Nie, to będzie pierwszy krok do autodestrukcji Unii Europejskiej. I wykona go nie polski rząd, lecz unijny Trybunał Sprawiedliwości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jeżeli Trybunał Sprawiedliwości UE dopuści się precedensu i usankcjonuje zawieszenie prawa przez Sąd Najwyższy, to nasz rząd zapewne nie będzie miał innego wyjścia, jak doprowadzić do drugiego precedensu, czyli zignorować orzeczenie TSUE jako sprzeczne z traktatem lizbońskim

ciwiłbym się delegalizacji organizacji radykalnie lewicowych – dopóty, dopóki nie głoszą programu obalenia w Polsce demokracji.

A może zbliżamy się do tej granicy? Z ust polityków opozycji padają już przecież słowa, że policja zachowuje się jak ZOMO, a parada z okazji Święta Wojska Polskiego jest pompacyjna i nie należy na nią chodzić. Podobnie jak problematyczna jest asysta wojskowa podczas obchodów rocznicy wybuchu II wojny światowej w Gdańsku.

Zachowanie Rafała Trzaskowskiego, demonstracyjnie robiącego zakupy na jarmarku podczas defilady, to przejaw głupoty i kompletnej głuchoty politycznej. On działa tak, jakby nie rozumiał, gdzie w polskim społeczeństwie leżą pokłady głębokich wartości, gdzie bije jego serce, z czego biorą się prawdziwe emocje. Jest w tym nawet coś jeszcze gorszego: deprecjacja wartości, w imię których pokolenia Polaków poświęcały dla ojczyzny swe życie.

Zmienimy nieco temat. Długo nie wypowiadał się pan na tematy związane z sądownictwem. Coś na rozgrzewkę na początek: Kto jest I prezesem Sądu Najwyższego?

Nie ma I prezesa.

pomostem, który ma nas doprowadzić do nowego ładu wymiaru sprawiedliwości, ufundowanego na nowej konstytucji. Im szybciej to się stanie, tym lepiej.

À propos. PiS w większości wstrzymał się od głosów, opozycja głosowała przeciw – z jakim efektem, wiadomo. Tym samym prezydenckie referendum konsultacyjne w sprawie konstytucji zostało odrzucone. Czyli władza chce zmienić ustawę zasadniczą. Jednak gdy ma szansę na naszkicowanie jej zębów, to z niej nie korzysta?

Konstytucję można zmienić w dwóch sytuacjach: szerokiego konsensusu społecznego albo głębokiego kryzysu. Na razie zbliżamy się do tej drugiej ewentualności, w której wyjście z klinczu politycznego nie będzie już możliwe żadną inną drogą. Czy sądzi pan, że na gruncie dzisiejszej ustawy zasadniczej dałoby się znaleźć takie uregulowania wymiaru sprawiedliwości, które byłyby akceptowalne i dla Zjednoczonej Prawicy, i dla opozycji? Raz jeszcze podkreślam: to niemożliwe, dlatego powinniśmy rozpocząć pracę nad tym, aby w perspektywie najbliższych kilku lat autentycznie i na trwałe coś zmienić. W tym sensie uważam, że idea

STRAŻNIK PAMIĘCI

2018

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



VI EDYCJA NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 30.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl
lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PATRONAT HONOROWY



niepodległa | KRAJOWA
KOLEKCJA MONUMENTALNA
NIEPODLEGŁOŚCI

INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

WSPÓŁORGANIZATOR



PARTNER STRATEGICZNY



SPONSOR



PARTNERZY



eprasa.pl 8d37ba74d1



Kamila Baranowska

W najbliższych tygodniach liczyć ma się wyłącznie kampania samorządowa. W PiS mówi się o konieczności wielkiej mobilizacji – i wyborców, i samej partii

Pierwszym akcentem wprowadzającym PiS w okres kampanii wyborczej było spotkanie wyborcze na rynku w Sandomierzu, gdzie przemówienie wygłosił premier Mateusz Morawiecki. Już z tego pierwszego wystąpienia można było wyczytać, na co partia położy główne akcenty w rozpoczętej właśnie kampanii wyborczej. Morawiecki mówił m.in. o dyskusji na konkrety i programy, o wiarygodności w spełnianiu obietnic i o opozycji, której obu tych rzeczy brakuje. – Niech oni pokażą, jaki mają program – mówił. – Chcemy się spierać na programy, ich program to jest cofnąć wszystko, co my zrobiliśmy. Chcemy rozmawiać o programie, nasz program to jest Polska i wszystko to, co robimy; jesteśmy wiarygodni w rządzie i będziemy w samorządzie. Demokracja potrzebuje uczciwej, dobrej, merytorycznej opozycji; czekamy na taką opozycję.

Na początku września w Warszawie odbędzie się duża konwencja, podczas której Jarosław Kaczyński oficjalnie zainauguruje kampanię wyborczą Prawa i Sprawiedliwości. Wezmą w niej udział prominentni politycy, w tym członkowie rządu. Od tego momentu cały czas i energia partii będą skierowane na kwestie samorządowe. Inne sprawy będą musiały poczekać. Przynajmniej tak zakładają sztabowcy PiS. Sęk w tym, że sztabowcy opozycji mają dokładnie odwrotne plany. Ich zamiarem jest przekierowywanie kampanii samorządowej na tory krajowe i nieustanne mówienie o łamaniu praworządności, naruszaniu konstytucji i zamachu PiS na sądownictwo. To, czyj plan okaże się skuteczniejszy, będzie miało duży wpływ na przebieg całej kampanii.

BÓJ O ROLNIKÓW

Taktyka wyborcza PiS to chwalenie się spełnionymi na poziomie krajowym obietnicami wyborczymi, prezentacja nowych, konkretnych propozycji progra-



FOT. PIOTR POLAK / PAP

Wielka mobilizacja w PiS

mowych dla regionów i przekonywanie Polaków, że tylko płynna współpraca rządu z samorządem może przynieść temu ostatniemu wymierne korzyści. A żeby współpraca była płynna, w sejmikach musi wygrać PiS. Wszystko to ma być przeciwstawiane opozycji, która w narracji PiS będzie przedstawiana jako agresywna, awanturnicza i merytorycznie niemająca nic do zaproponowania. W ten przekaz już na starcie idealnie wpisała się kampania billboardowa Platformy, przedstawiająca Jarosława Kaczyńskiego z napisem: „PiS wziął miliony, a wszystko drożej” lub „PiS wziął miliony i chce być bezkarny”. PiS odpowiedział na to spotem pod hasłem: „Totalna awantura to nie program dla Polski”, w którym przypomina najbardziej agresywne zachowania uczestników manifestacji antyrządowych, w których brali udział także politycy opozycji.

– Nasz plan na kampanię to przedstawianie propozycji programowych dla polskiego samorządu. Od kilku dni przedstawiamy nasze programowe „piątki”, czyli pięć kluczowych propozycji PiS osobno dla każdego regionu w Polsce. Nazwaliśmy to maratonem programowym. Konkretnie rozwiązania, inwestycje, pomysły na rozwój, a do tego gwarancja, że tak jak dotrzyмалиśmy słowa w rządzie, tak dotrzymany w samorządzie to nasza oferta dla Polaków – mówi „Do Rzeczy” Tomasz Poręba, szef sztabu wyborczego PiS.

Rzeczywiście PiS zaczął dynamicznie. W minionym tygodniu dzień po dniu przedstawiano „piątki” (to nawiązanie do „piątki Morawieckiego”, zaprezentowanej w kwietniu 2018 r.) dla poszczególnych województw. I tak np. w województwie opolskim priorytetem jest budowa dwóch nowych mostów i nowego węzła autostradowego, w Małopolsce walka ze smogiem za pomocą dopłat do wymiany kotłów i nowe inwestycje drogowe, a na Dolnym Śląsku program koordynacji leczenia nowotworów i budowa nowych stopni wodnych na Odrze.

Dużo miejsca i czasu w kampanii PiS chce poświęcić na rolnictwo, bo właśnie o głosy wsi w dużej mierze będzie się toczył bój w tych wyborach. Tutaj głównym konkurentem PiS będzie PSL, który trudniej wrzucić do jednego worka z Platformą z napisem: „Awanturnicza opozycja”. – Pan wsi nie czuje, nie rozumie, nie zna, a co najgorsze, pan o nią nie dba – zarzucał premierowi Morawieckiemu szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. W pierwszym kampanijnym spocie ludowcy nazywają

polityków PiS „fałszywymi obrońcami polskiej wsi”.

Odpowiedzią PiS jest rządowy „Plan dla wsi”. Spot z propozycjami dla rolników opublikowało w ubiegłym tygodniu Ministerstwo Rolnictwa, obiecując m.in. większe dopłaty do paliwa rolniczego, ułatwienia w sprzedaży detalicznej i bezpośredniej, usprawnienie systemów melioracyjnych do walki z suszą.

KTO WEŹMIE MIASTA?

PiS nie ukrywa, że z jego punktu widzenia najważniejszy będzie wynik w sejmikach. Po pierwsze, jest on politycznie najbardziej miarodajny, co będzie stanowić pierwszą od 2015 r. weryfikację wyborczą. Po drugie, to sejmiki dają realną władzę (dziś w 15 na 16 rządzą Platforma z PSL). Dlatego walka z PSL, które w sejmikach jest mocne, będzie nie mniej zacięta niż z Platformą.

Co nie oznacza, że PiS nie chce zaważyć o duże miasta. Pomysł z postawieniem na nowe twarze (np. Patryk Jaki w Warszawie, Małgorzata Wassermann w Krakowie, Kacper Płażyński w Gdańsku) to ryzykowny eksperyment, na który przystał Jarosław Kaczyński.

– W dużych miastach, takich jak Kraków, Wrocław, Poznań, Łódź czy Warszawa, ludzie dostrzegają ogromny i niewykorzystany potencjał i chcieliby rozwój swoich miast przyspieszyć. Tam, gdzie prezydent rządzi już kolejną z rzędu kadencję, czuć chęć zmiany, wypuszczenia świeżego powietrza, aby ktoś cywilizacyjnie pchnął miasto do przodu – tłumaczy Poręba.

Ostatnie sondaże są dla kandydatów niezłe. Według badania pracowni Estymator dla portalu DoRzeczy.pl w walce o fotel prezydenta Warszawy kandydat PO i Nowoczesnej Rafał Trzaskowski ma tylko jeden punkt procentowy przewagi nad kandydatem Zjednoczonej Prawicy Patrykiem Jakim. Taką samą różnicą w Krakowie prowadzi Małgorzata Wassermann popierana przez PiS nad obecnym prezydentem miasta Jackiem Majchrowskim.

Z kolei z sondażu Kantar Millward Brown SA dla TVN wynika, że różnica między Trzaskowskim a Jakim w pierwszej turze wynosi cztery punkty procentowe. W drugiej Trzaskowski wygrywa zdecydowanie (56 proc. do 37 proc.).

– Mamy świadomość, że Warszawa to miasto niesprzyjające prawicy, więc zadanie, które postawiono przed Patrykiem, jest naprawdę trudne. Naszym

założeniem od początku było przekonanie warszawiaków, że stolica potrzebuje zmiany, a wybór Rafała Trzaskowskiego oznacza kontynuację złej polityki Hanny Gronkiewicz-Waltz – opowiada jeden ze sztabowców Jakiego. – Cieszy nas, że w sondażach widać efekt ciężkiej pracy Patryka i naszej, ale do euforii jeszcze daleko. Przez czas prekampanii udało nam się nawiązać kontakt z kontrkandydatem tak, by móc zacząć teraz w miarę wyrównaną walkę. Trzeba jednak studiować emocje tych, którzy uważają, że Patryk już wygrał wybory – podkreśla.

Jaki wierzy, że ma szansę zaważyć o pełną pulę, a swojej szansy upatruje w mobilizacji tych warszawiaków, którzy dotąd głosować nie chodzili. Stąd pomysł na akcję „100imy pod blokiem”, w której kandydat Zjednoczonej Prawicy przekonuje mieszkańców poszczególnych osiedli do oddania głosu w wyborach, licząc, że będzie to głos oddany na niego.

Maksymalna mobilizacja wyborców to dziś główne zadanie, które stawia przed sobą nie tylko sztab Jakiego, lecz także cały PiS. Dlatego w partii ze sceptycyzmem patrzą na ostatnie pozytywne dla ich kandydatów sondaże. Uważają, że to niepotrzebne windowanie oczekiwań i utwierdzanie sympatyków prawicy w przekonaniu, że zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki. A to nieprawda. PiS próbuje tonować zbyt euforyczne nastroje i minimalizować oczekiwania. Bo im większe oczekiwania, tym większe rozczarowanie i tym większy sukces przeciwnika w razie porażki. Tomasz Poręba uważa, że w tym wszystkim może chodzić o uśpienie czujności wyborców PiS i ich demobilizację. – To nie my nakreślamy oczekiwań, wręcz przeciwnie, my powtarzamy, że czeka nas ogrom pracy i bardzo trudna, toksyczna kampania, dlatego potrzebna jest ogromna mobilizacja i partii, i wyborców – zaznacza Poręba. – Nie ekscytujemy się sondażami, bo wiemy, że grzanie dobrych dla nas sondaży przez niechętne nam media ma na celu demobilizację naszych wyborców. Nie mam co do tego żadnych złudzeń – ocenia.

Dlatego politycy i działacze PiS tuż po wrześniowej konwencji inauguracyjnej mają ruszyć w Polskę, by przekonywać swoich wyborców do tego, by poszli zagłosować. – Wszystkie ręce na pokład, to nasza dewiza na najbliższe dni i tygodnie – potwierdza Tomasz Poręba.

„Bond” w opałach



Wojciech Wybranowski

Mówiono o nim jako o szarej eminencji służb specjalnych za rządów PO-PSL. Nie tylko ze względu na nazwisko nazywano go „Bondem”. Krzysztof Bondaryk z władzy korzystał nader chętnie. Właśnie usłyszał zarzuty związane z zatrudnieniem w ABW swojego znajomego, a prokuratura przygląda się innym kontrowersyjnym działaniom za jego kadencji



Koniec lipca, słoneczne popołudnie. Generał Krzysztof Bondaryk wychodzi z siedziby Prokuratury Regionalnej w Białymstoku. Stara się sprawiać wrażenie zrelaksowanego, ale widać, że nie przychodzi mu to łatwo. Właśnie usłyszał zarzuty przekroczenia uprawnień i działań na szkodę Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Grozi za to nawet do 10 lat więzienia.

– Nie przyznałem się do winy. To wymyślone, nieprawdziwe bzdury. Będę to w stanie udowodnić przed sądem, jeśli jeszcze dojdę do tego sądu o własnych siłach – rzuca do dziennikarzy Bondaryk, ale o szczegółach zarzutów, które usłyszał, mówić nie chce. Dość nieprzekonywająco tłumaczy, że prokuratura zastrzegła sobie tajemnicę śledztwa, ale opowie o nich, kiedy dostanie na piśmie uzasadnienie zarzutów.

Prokuratura rzeczywiście bardzo niechętnie udziela informacji o prowadzonym od 2017 r. śledztwie dotyczącym nieprawidłowości w ABW. Wiadomo tylko, że chodzi o zatrudnienie w Agencji osoby, później bliskiego współpracownika Bondaryka, która – jak twierdzą śledczy – miała mieć podrobione świadectwo ukończenia studiów podyplomowych. Przez osiem lat pracy w ABW zarobiła ona tam dzięki temu ponad 2 mln zł. Śledczy nie ujawniają jej personaliów, nieoficjalnie w samej Agencji mówi się, że chodzi o mężczyznę, który szybko został prawą ręką Bondaryka, pełniąc m.in. stanowisko dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa ABW.

Krzysztof Bondaryk, bliski współpracownik Donalda Tuska, były członek Platformy Obywatelskiej, od połowy listopada 2007 do 2013 r. szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, uchodził za ważnego gracza nie tylko polskich służb, lecz także sceny politycznej.

– Kilka razy mieliśmy z nim do czynienia podczas posiedzeń Komisji ds. Służb Specjalnych w poprzedniej kadencji. Bardzo przewrotna postać, można było odnieść wrażenie, że to nie szef jednej ze służb, ale jedyny koordynator wszystkich służb specjalnych, że to on, a nie Jacek Cichocki nimi kieruje – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” poseł Marek Opióła, w poprzedniej kadencji Sejmu członek, a w tej przewodniczący sejmowej komisji ds. specsłużb.

W latach 2011–2015 komisja, która teoretycznie miała nadzorować służby specjalne, kilka razy zbierała się

w związku z głośnymi kontrowersjami wokół działań Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. – Wiele było zarzutów do ABW pod kierownictwem Bondaryka i wielokrotnie zwracaliśmy na nie uwagę. Niestety, rola komisji była w tamtych czasach iluzoryczna, nasze uwagi były lekceważone – podkreśla poseł Opioła.

Kilku sprawom z tamtych czasów przygląda się prokuratura bądź członkowie sejmowej komisji śledczej. Z naszych informacji wynika też, że białostockie śledztwo może być dopiero początkiem kłopotów byłego szefa ABW.

50 PRZESŁUCHANYCH

Od 2016 r. krakowska Prokuratura Regionalna prowadzi śledztwo w sprawie podejrzenia przekroczenia uprawnień przez funkcjonariuszy służb specjalnych, w tym Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, w czasie, gdy kierowała nią Bondaryk. Chodzi m.in. o rozpracowywanie i inwigilację dziennikarzy, którzy zajmowali się niewygodnymi dla poprzedniej ekipy rządzącej tematami. Wśród 17 osób, którym prokuratura przyznała w tej sprawie status pokrzywdzonych, są także dziennikarze „Do Rzeczy” wcześniej pracujący w redakcji „Rzeczpospolitej”.

Jak twierdzą nasze źródła, część z przesłuchiowanych w sprawie funkcjonariuszy ABW miała mówić śledczym, że działania operacyjne wobec dziennikarzy miały akceptację kierownictwa Agencji. Sam Bondaryk w całej sprawie nie został do tej pory przesłuchany. Na razie też nikomu nie przedstawiono zarzutu, który dotyczyłby inwigilacji dziennikarzy.

– W okresie ostatniego roku w toku śledztwa zostało przesłuchanych ok. 50 osób, głównie byłych lub obecnie pełniących służbę funkcjonariuszy publicznych. Obecnie czynności prokuratury w tym postępowaniu nadal koncentrują się na gromadzeniu, analizie i weryfikacji materiału dowodowego – poinformował nas prok. Włodzimierz Krzywicki, rzecznik Prokuratury Regionalnej w Krakowie.

Śledztwo prowadzone przez krakowską prokuraturę to wynik audytu, który w służbach specjalnych przeprowadził Mariusz Kamiński. W 2016 r. w trakcie wystąpienia w Sejmie mówił, że w okresie, kiedy ABW kierował Bondaryk, dochodziło do inwigilacji dziennikarzy, blogerów, a także osób związanych z opozycją. Mówił też, że niemal cały dział krajowy „Rzeczpospolitej” był rozpracowywany przez służby, bo gazeta pisała

o aferze hazardowej. – Żadna redakcja nie była celem rozpracowania ABW. Żaden dziennikarz nie był rozpracowywany za to, co napisał – przekonywał Bondaryk w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” krótko po wystąpieniu Kamińskiego. Sęk w tym, że znane już i potwierdzone przez sąd we wcześniejszych sprawach dowody wskazują, że rzeczywiście Agencja rozpracowywała dziennikarzy.

Jesienią 2009 r. „Rzeczpospolita” ujawniła, że Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego w okresie, gdy kierował nią Bondaryk, podsłuchiwała rozmowy dziennikarzy, m.in. Cezarego Gmyza oraz Bogdana Rymanowskiego z Wojciechem Sumlińskim, a także adwokatów podejrzanego wówczas o płatną protekcję Sumlińskiego. Donald Tusk zapowiadał wówczas kontrolę działań ABW, ale ostatecznie sprawa została zamieciona pod dywan. – Mamy do czynienia z działaniem zgodnym z prawem. Decyzji personalnych nie będzie – powiedział Tusk podczas konferencji prasowej.

Innego zdania był warszawski sąd, który analizował sprawę po skardze na odmowę wszczęcia postępowania jednego z dziennikarzy. Uznał wówczas, że czynności, które podejmowała ABW wobec dziennikarzy, były niedopuszczalne, określił je mianem standardów białoruskich i nakazał prowadzenie sprawy, która ostatecznie została zamknięta kilka miesięcy później.

JAK UTOPIĆ KOMISJĘ WERYFIKACYJNĄ WSI

Zainteresowanie ludzi Bondaryka dziennikarzami i rozpracowywanie niektórych z nich ma też związek z jedną z najbardziej bulwersujących afer, która wybuchła w trakcie rządów PO-PSL, a w której sam Bondaryk odegrał istotną rolę. Jesienią 2007 r. w biurze poselskim Bronisława Komorowskiego doszło do poufnego spotkania, w którym obok Komorowskiego uczestniczyli m.in. Paweł Graś, ówczesny minister koordynator służb specjalnych, Krzysztof Bondaryk oraz płk Leszek Tobiasz, negatywnie zweryfikowany oficer Wojskowych Służb Informacyjnych. Tobiasz miał mówić Komorowskiemu, że posiada informacje o rzekomej korupcji wśród członków Komisji Weryfikacyjnej WSI. Osobą, która według Tobiasza pośredniczyła w procederze, miał być zatrzymany później Wojciech Sumliński.

Spotkanie odbyło się kilka tygodni po tym, gdy do mediów przedostała się in-

formacja, jakoby Komisja Weryfikacyjna WSI zamierzała przesłuchać Bronisława Komorowskiego. Natychmiast po spotkaniu Bondaryk osobiście odwiózł Tobiasza do siedziby ABW. Nie weryfikując opowieści Tobiasza, zawiadomił prokuraturę o rzekomym przestępstwie korupcyjnym. Wskazywał na Leszka Pietrzaka, Piotra Bączka, Sławomira Cenckiewicza i Piotra Woyciechowskiego jako osoby, które miały uczestniczyć w procederze.

– W mojej ocenie Bondaryk był jedną z najważniejszych osób w działaniach, które sąd określił później jako celową prowokację służb specjalnych. Chodziło o uderzenie w Komisję Weryfikacyjną, zablokowanie jej działań. Bez jego udziału prowokacja by się nie udała – mówi nam Wojciech Sumliński.

Pod pretekstem śledztwa w sprawie rzekomej korupcji w Komisji Weryfikacyjnej WSI funkcjonariusze ABW wkroczyli do mieszkań dwóch członków komisji i zajęli posiadane przez nich dokumenty. Wszystkie osoby zajmujące się weryfikacją żołnierzy WSI były przez służby inwigilowane, podsłuchiowano ich rozmowy telefoniczne. Ostatecznie prokuratura po wielu miesiącach uznała, że żadnej korupcji wśród członków Komisji Weryfikacyjnej nie było. A sąd prawomocnie uniewinnił także Wojciecha Sumlińskiego od zarzutu płatnej protekcji, wskazując przy tym, że padł on ofiarą prowokacji ludzi władzy i służb specjalnych.

– Niestety prokuratura do dziś nie zajęła się tym, by osoby odpowiedzialne za całą aferę pociągnąć do odpowiedzialności, rozliczyć z podejmowanych działań. Mam nadzieję, że to jeszcze nastąpi – mówi Sumliński.

Generał Krzysztof Bondaryk odszedł z pracy w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w 2013 r., już po wybuchu afery Amber Gold. Dzisiaj jego działaniami i podległej mu służby również w tej aferze zajmuje się sejmowa komisja śledcza.

– Do pewnego momentu wyglądało, że ABW w tej sprawie działa sprawnie. Próbowano tematem zainteresować Donalda Tuska, wskazywało na zagrożenie bezpieczeństwa ekonomicznego. Ale im dalej w las, tym więcej wątpliwości, czy działania Agencji w tej sprawie były wystarczające, czy nie chodziło o ewentualne chronienie osób ze świecznika, w tym syna Tuska. Wiele pytań, na które trzeba odpowiedzieć – mówi nam poseł Tomasz Rzymkowski (Kukiz'15), członek komisji.



Rafał A. Ziembkiewicz

Nie da się rządzić nowoczesnym państwem bez wydolnej struktury zapewniającej decyzyjność, dobór kadr i alokację zasobów na każdym poziomie



FOT. DEAN LEWIS/POOL/ANP/PAF NEWS

Powrót niemożności

Nie chcę wdawać się w zbyt szczegółowe rozważania na temat fregat rakietowych i strategii ewentualnego odtworzenia Polskiej Marynarki Wojennej. Są od tego eksperci. Moja skromna wiedza hobbysty, zainteresowanego wojskowością głównie w kontekście historycznym, podpowiada mi, że Bałtyk nie jest oceanem, tylko – jak określił to bodaj adm. Dönitz – „płytkim talerzem z kluskami”, a okręt tej klasy co fregata, jeśli nie ma zostać zdjęty z mapy w pierwszych minutach konfliktu, wymaga piętrowej osłony systemów lotniczych i przeciwrakietowych. Musi być częścią rozległego systemu, który jest niesłuchanie kosztowny i wątpliwe, czy w takim kraju jak Polska potrzebny – bez tego stanowi tylko łatwy cel.

Innymi słowy, wydaje mi się, że pakowanie się we fregaty – mamy dwie,

stareńkie, ale do celów reprezentacyjnych wciąż wystarczające, a warto przypomnieć, że dostaliśmy je, a nie kupiliśmy za grube miliardy – to chora gigantomania, lepiej byłoby rozbudować systemy obrony nadbrzeżnej, a z jednostek nawodnych zainteresować się raczej „drobnoustrojami”, ścigaczami torpedowymi i rakietowymi, okrętami podwodnymi, trałowcami...

Trudno mi nie dopatrywać się tu podobieństwa do sytuacji przedwojennej, kiedy to, będąc, we własnym przekonaniu, rosnącym mocarstwem i szykując się do zdobywania kolonii, dalece niewystarczające środki zamiast w coś pożytecznego, za-inwestowała sanacja w krążownik minowy (zniszczony bez pożytku przez junkersy w pierwszej akcji), kontrtorpedowce (trzy odesłane przezornie do Wielkiej Brytanii, czwarty zakotwiczony na redzie Okywiwa jako pływająca bateria i zniszczony bez

pożytku bombami) oraz dwa wielkie, oceaniczne okręty podwodne, każdy dwa razy większy od niemieckiego U-Bootu typu VII, podstawowego typu w bitwie o Atlantyk – które również nie odniosły żadnych sukcesów. Z innej beczki, zamiast lotnictwa myśliwskiego polskie mocarstwo zbudowało też sto mocarstwowych bombowców „Łoś”, równie w swej klasie wspaniałych, jak „Błyskawica” czy „Orzeł”, i równie w 1939 r. nieprzydatnych.

Trudno mi nie odnieść wrażenia, że w „grupie rekonstrukcyjnej sanacji” (jak celnie określił obecną władzę poseł Rzymkowski) skłonność do odtwarzania „państwowotwórczej” polityki Rydza jest jeszcze silniejsza, niż się dotąd wydawało.

@

Jednak, jako laik, może nie mam racji. Może za pomysłem odkupienia od Australii

dwóch niezbyt nowoczesnych fregat „na okres przejściowy” stoją jakieś przekonujące argumenty. Nie mam w tej sprawie pewności.

Natomiast mam pewność, że decyzyjny zamęt, który sprawa fregat ujawniła, to kompletna kompromitacja władzy. W normalnym kraju, z funkcjonującymi mechanizmami demokracji – a mówiąc, że u nas nie funkcjonuje ona normalnie, nie mam bynajmniej na myśli rzekomego „łamanie konstytucji”, tylko brak poważnej, poczuwającej się do współodpowiedzialności za państwo opozycji i debaty publicznej – mielibyśmy z tego powodu poważny polityczny kryzys. Nie mamy go tylko dlatego, że wspomniana „grupa rekonstrukcyjna” ma zamiast opozycji pałaców, wyżywających się w prymitywnych hejtach i bezsensownych prowokacjach w rodzaju – najnowszy pomysł – krzyżowania koszułek.

Błażeńska opozycja, sprowadzająca swe działania do zasady „jak oni tak, to my nie; jak oni nie, to my tak”, potrafiła wymyślić tyle, że jak prezydent jechał do Australii podpisać list intencyjny w sprawie fregat, to krzyczała: „Złom kupują, hańba!”, a kiedy okazało się, że go nie podpisze – w jednej chwili przeszła na krzyk: „Nie kupują nowych okrętów, wstrzymują modernizację Marynarki Wojennej – hańba!”.

Tej okoliczności po raz kolejny zawdzięcza PiS, że nie rozlegają się alarmowe dzwonki. Co ja mówię – na dzwonki był czas w pierwszym, drugim roku rządów, teraz to już powinien być głośny alarmowy dzwon! Skoro nie może się on rozleć w opozycyjnych mediach, zdominowanych kretynizmami w typie delegalizowania ONR czy wykazywania wyższości jarmarku nad defiladą, skoro nie ma szans, by rozległ się w mediach państwowych, mówiących trzeci rok sędziów, którzy ukradli spodnie, kielbasę i 50 zł – to niechby się rozległ przynajmniej przy Nowogrodzkiej.

Kiedy ostatni raz mieliśmy taką sytuację, że prezydent jedzie do obcej stolicy z zamiarem podpisania wiążącej umowy, a w drodze dogania go kategoryczny zakaz jej podpisania, wydany w ostatniej chwili przez premiera? Jeśli dobrze pamiętam, to w maju roku 1992, kiedy to rząd Olszewskiego dowiedział się, że prezydent Wałęsa zamierza w Moskwie podpisać umowę przekształcającą byłe sowieckie bazy wojskowe w agenturalne „spółki joint venture z mieszanym kapitałem” i w ostatniej chwili temu zapobiegł.

Ale przecież sytuacja była wtedy dramatycznie odmienna – trzeba ją przypominać? Ogólne ustrojowe rozchwianie, słaba, mniejszościowa koalicja rządowa, rozpychający się bezczelnie i lekceważący prawo Wałęsa, potęga rozdającej za kulisami karty bezpieczeństwa, służb wojskowych i wyrosłych z nich mafii. Wydaje się oczywiste, że w sytuacji dzisiejszej, gdy władza jest stabilna, oparta na większości jednej partii w obu izbach parlamentu i silnej osobowości doświadczonego polityka, który ową większość z zaciśniętym swego gabinetu zarządza, pełniąc funkcję – wbrew wrzaskom opozycji, jak najbardziej w logice obecnej, schrzanionej konstytucji – nieformalnego naczelnika państwa, coś podobnego mieć miejsca nie powinno.

Owszem, mówi sobie „zwykły Polak”: może i jadą w tym PiS po bandzie, może tu czy tam robią coś wątpliwego, może się w różnych sprawach mylą albo nie dają rady, ale przynajmniej maszyna władzy wreszcie działa sprawnie, wiadomo, kto rządzi, kto słucha, ogólna niemożność wszystkiego, tak zębna w ostatnim ćwierćwieczu, została wreszcie przełamana, i to jest wartość, którą trzeba docenić. Tymczasem – nagle widzi coś przeciwnego. Latami się dyskutuje o modernizacji armii, a temat, inaczej niż dwie dekady temu, przestaje być abstrakcją, sytuacja światowa czyni obawę o polską przyszłość jak najbardziej zasadną. I co? Ci tak, tamci tak, program taki, program owaki, Orka, Miecznik, i wszystko nagle idzie się czochoać, bo jak diabeł z pudełka wyskakują stare fregaty, zresztą w końcu i one nie wyskakują, i wracamy do początku. Helikopterów nie ma, okrętów nie ma, patrioty mają być, chyba żeby jednak ich nie było – słowem, tak samo wiadomo co i „kamieni kupa” jak za poprzedników.

Można oczywiście tachlować, że żadnych fregat być nie miało, że to tylko taki luźny pomysł australijskiej Polonii. Gотовość, by władzy wierzyć, a przynajmniej wybaczać jej, wciąż jest w społeczeństwie wielka. Przecież jednak nie chodzi o to, że bałagan z „adelajdami” może zaszkodzić bieżącym notowaniom PiS. Chodzi o to, co za jego sprawą widzimy.

@

Tym bardziej że można dodać do niego inne, wiodące do podobnych wniosków problemy. Ot, choćby wariacką karuzelę w strategicznych spółkach Skarbu Państwa, gdzie niekiedy pojawiają się już piąty, szósty prezes i zarząd w ciągu trzech

ostatnich lat (rekord, na razie, to dziewięć zmian). Widać wyraźnie, że monolityczna pod względem politycznym władza w istocie jest konglomeratem zawzięcie się tępiących frakcji, bezwzględnie rywalizujących o wpływy i czekających na moment, gdy równoważącego ich wpływy Naczelnika z jakichś względów zabraknie i przyjdzie decydujący bój.

Fiasko programu dozbrojenia (czy raczej właśnie, jak wyżej napisałem: odтворzenia, bo w praktyce już jej nie mamy) Marynarki Wojennej i okazany przy tym decyzyjny bałagan dobitnie pokazują to, przed czym mądrzy ludzie ostrzegali PiS od samego początku. Model zarządzania państwem poprzez Naczelnika, do którego premier, ministrowie i prezesi kluczowych spółek przychodzą nadawać na siebie nawzajem i który arbitralnie rozsądza ich spory, jest anachronizmem, czymś skrajnie niewydolnym i nieskutecznym.

Nie da się rządzić nowoczesnym państwem metodą Piłsudskiego, zresztą już i za Piłsudskiego się w taki sposób rządzić nie dawało, chyba że się, tak jak on, było zainteresowanym tylko własną deifikacją – od którego to pragnienia akurat, szczęśliwie, Jarosław Kaczyński wydaje się wolny. Nie wystarczy znaleźć menedżera „z dobrej rodziny” i powierzyć mu „techniczne” sprawy, tak jak się powierza hydraulikowi czy elektrykowi instalacje w domu. Trzeba budować menedżerskie struktury i procedury.

Gdy zaś zamiast tego jeszcze się istniejące struktury, słabo działające i pełne patologii, ale jakieś, rozmontowuje, bo pokonanie wroga wymaga objęcia kolejnych obszarów państwa ręcznym sterowaniem – to tak, jakby ledwie zipięcej szkapie, ciągnącej powiązany sznurkami wóz, dokładać beztrósko wciąż dodatkowych pak i ciężarów, w beztróskim: oj tam, oj tam, dotąd dawała radę, to da jeszcze. Opozycja, która zamiast wyjaśnić, dlaczego PKP jeżdżą jeszcze gorzej niż za ministra Nowaka, produkuje billboardy „PiS wziun miliony!” i memy z Godzillą, to prawdziwy skarb, ale jeśli PiS nie zacznie budować wydolnej struktury zapewniającej decyzyjność, dobór kadr i alokację zasobów na każdym poziomie, zamiast pozostawiać to wszystko Naczelnikowi – to w którymś momencie szkapę padnie, a wóz się rozsypie, czyli wygra wybory ktokolwiek. Niewykluczone, że dowiedziony specjalnie w tym celu motorówką, niekoniecznie na polskiej rejestracji.



Piotr Semka

Zmarł gdański pisarz Brunon Zwarra. Jego spór z Güntherem Grassem o „Błaszany bębenek” był jedną z najważniejszych polemik na temat wizji przeszłości polsko-niemieckiej w Gdańsku

Gdy stanąłem w sobotę 1 września 1979 r. po mszy świętej przy ołtarzu kościoła św. Stanisława we Wrzeszczu (przedwojennym kościele Polonii w Gdańsku) przekonałem się naocznie, jak niewielu nas zostało. [...] Było ich tak niewielu, że można ich było szybko policzyć”. Tak uroczystość z okazji rocznicy wybuchu wojny wspominał Brunon Zwarra, gdański pisarz.

Od trzech dekad pytał o kierunek, w którym zmierzać ma zbiorowa pamięć o tym, czym były relacje polsko-niemieckie w Gdańsku przed wojną. Zazwyczaj sprowadzano ten spór Zwarry do dyskusji o „Błaszany bębenku” Güntera Grasa. Ale jego istota była znacznie głębsza.

Zmarł 14 sierpnia. Był jednym z paru ostatnich Polaków aktywnych w Wolnym Mieście Gdańsku.

POKOLENIE 20-LECIA

Zwarra urodził się w Gdańsku niemal rok po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Jego ojciec Wojciech pochodził z Kaszub. Po I wojnie światowej, zwolniony z pruskiej armii, został robotnikiem w gdańskiej fabryce cukierków. W listopadzie 1922 r. przeniósł się do Zjednoczenia Zawodowego Polskiego w Gdańsku. „Jego decyzja miała dla nas zasadnicze znaczenie, gdyż odwiodła nas być może od zniemczenia, któremu wielu naszych krajan ulegało od dawna w Gdańsku” – pisał po latach Zwarra.

Wybór narodowy ojca determinował w tamtych czasach dalsze wybory rodziny. Młody Brunon ukończył senacką szkołę podstawową z językiem polskim (istniały one w Wolnym Mieście wskutek postanowień traktatu wersalskiego), a potem wstąpił do gimnazjum polskiego, które stało w Gdańsku na wysokim poziomie. Jednocześnie był aktywnym piłkarzem juniorów Gedanii – polskiego klubu na terenie WMG. Tuż przed 1 września 1939



Spór o Wolne Miasto

r. wyjechał do Gdyni. Bezskutecznie starał się o przyjęcie na ochotnika do Wojska Polskiego – obywateli Wolnego Miasta nie przyjmowano. Aresztowany 14 września przez Niemców, po zajęciu Gdyni wprawdzie trafił do obozu dla Polaków w Nowym Porcie, potem musiał karnie pracować w gospodarstwie rolnym, a wreszcie zesłano go do obozu Stutthof. Tu był świadkiem zamęczenia własnego ojca, który przed wojną siedem lat był szefem polskiego Związku Portowców w Wolnym Mieście. Ze Stutthofu trafił do Sachsenhausen – kolejnego kręgu piekła kacetów. W 1942 r. zwolniony z obozu znalazł pracę w emalierni w gdańskiej Oliwie, wciąż pod czujnym okiem gestapo. Po wojnie szybko reaktywował emaliernię – tabliczki z nowymi, polskimi nazwami ulic wisiły w Gdańsku do lat 80. Zwarra

współorganizował środowisko przedwojennych gdańskich Polaków.

UB szybko zaczął jednak brać pod lupę te kręgi. Jednych nękano za zaangażowanie w organizacje sanacyjne, innych podejrzewano o niemieckie sympatie. Na dodatek w ramach komunistycznej walki o handel emaliernię Zwarry niszczone domiarąmi i podatkami. Dopiero po 1957 r. przedwojenni polscy gdańszczanie mogli spokojnie uczcić swych pomordowanych braci. Zwarra był inicjatorem rocznicowych spotkań i fundowania tablic ku czci ofiar niemieckiego terroru. W czerwcu 1971 r. po dojściu do władzy Gierka napisał list do I sekretarza KW PZPR w Gdańsku, Alojzego Karkoszki, wzywający władze do zachowania pamięci o losach przedwojennych Polaków gdańskich.



gdańskim Długim Pobrzeżu. Książka jest dobrze napisana i została bestsellerem – doskonale trafiła w zainteresowanie młodej generacji przedwojennym Gdańskiem. W kolejnych czterech tomach Zwarra opisuje losy gdańskich Polaków w czasie wojny, po wkroczeniu Sowietów i w epoce PRL. Wszystko bez lukru i bez upiększeń.

POZA CHÓREM

Brunon Zwarra miałby w kolejnych latach bezkonfliktowy status szacownego świadka pamięci, gdyby nie spór, który naznaczy resztę jego życia.

W 1983 r. wydana zostaje w Polsce powieść Günthera Grassa „Błaszany bębenek”. Opowiadała ona o losie Gdańska w okresie Wolnego Miasta i wojnie na przykładzie niemieckiej rodziny Matzerathów, której losy skrzyżowały się z kaszubskimi rodzinami Koljaczków i Brońskich.

Powieść napisana w stylu realizmu magicznego została w Gdańsku przyjęta entuzjastycznie przez młodą generację – np. Donalda Tuska czy pisarza Pawła Huelle. Urodzonych już po wojnie, u których nastawienie opozycyjne nakładało się na ciekawość innej, bardziej złożonej wizji WMG niż tej z książek o hitlerowskim terrorze. Zaciekawienie budziła wizja bogatego europejskiego miasta o hanzeatyckich tradycjach, którego ślady odnajdowano w starych mieszkaniach Wrzeszcza, Oliwy czy Sopotu. „Błaszany bębenek” opowiadał o Wolnym Mieście z iście topograficzną dokładnością. Fragmenty, w których autor wypowiada się złośliwie o Kaszubach, bagatelizowano wobec dumy, że Grass stworzył mitologię grodu nad Motławą. A drastyczności i akcenty mało dla Kaszubów miłe zbywano jako marginalia.

Zwarra szczególnie bolał fragment „Bębenka”, dotyczący czasów pruskich: „Koljaczek był więc podpalaczem, wielokrotnym podpalaczem, bo od tego czasu w całych Prusach Zachodnich tartaki i składy drzewa dostarczały hubki dla rozbłyśkujących dwubarwnie narodowych uczuć. Jak zawsze, gdy chodzi o przyszłość Polski, tak i w tych pożarach miała swój udział Najświętsza Maria Panna, i byli podobno naocznymi świadkami [...], którzy utrzymywali, że na wałach się dachach wielu tartaków widzieli Matkę Boską w polskiej koronie. Tłum, jaki zwykle gromadzi się przy wielkiej pożodze, intonował jakoby Bogurodzicę – wolno nam sądzić, że podpalenia, których sprawcą był Koljaczek,

miały uroczystą oprawę: padały przysięgi i zaklęcia”.

Realizm magiczny Grassa powtarzał negatywne stereotypy o Polakach, ale przede wszystkim nastawiony był na szokowanie, drażnienie niemieckiego „kołtuna”. Motyw Polaka przyprowadzającego rogi kandydatowi na nazistę – miał drażnić starych „Danzigerów” na wygnaniu w Lubece czy Hamburgu. A treść książki miała oskarżać w imieniu „późno urodzonych” międzywojenne pokolenie o łatwość brunatnego uwiedzenia. Trzeba oddać Grassowi sprawiedliwość w jednym. „Błaszany bębenek” uświadamiał czytelnikom w RFN mało znany epizod obrony placówki Poczty Polskiej. Ale jednocześnie opisywał obronę poczty w stylu unikającym nadmiaru heroizmu.

Dla Brunona Zwarra, kogoś, kto znał z własnych doświadczeń realia WMG, książka była szyderstwem z przedwojennych Polaków w Gdańsku i obrony poczty. Odrzucał argumenty, że niemiecki pisarz ma prawo do dowolności przy konstruowaniu literackiej fikcji. Grass opisywał walkę obrońców poczty, wprowadzając motyw strachu Jana Brońskiego, pocztowca i bohatera książki. Ku oburzeniu Zwarra dodał motyw gry w karty i raczenia się alkoholem w czasie oblężenia. Zwarra protestował też przeciw dość instrumentalnemu posłużeniu się w powieści postacią bohaterskiego naczelnika poczty dr. Jana Michonia.

Jak Zwarra wskazywał w jednym z wywiadów: „Jego syn – profesor Ferdynand Michoń [...] o ile wiem, ciężko przeżył wydanie tej książki. Kaszubów [Grass – przyp. P.S.] przedstawił jako notorycznych podpalaczy, identycznie jak robiła to przedwojenna propaganda niemiecka, że podpalają gospodarstwa i tartaki. Moi przyjaciele, koledzy, zginęli za to. Trzeba było wtedy żyć w Gdańsku, żeby zrozumieć, dlaczego miłość Polaków do »Die Blechtrommel« jest dla mnie niezrozumiałym i wielkim skandalem”.

Brunon Zwarra nie krył irytacji kultem „Błaszanego bębenka”, ale uważał ją za chwilową modę. A jednak z czasem moda na książkę zamieniła się w urzędowy kult Günthera Grassa. Gdy w kwietniu 1993 r. dowiedział się o decyzji przyznania Grassowi honorowego obywatelstwa miasta i doktoratu honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego – postanowił wystąpić z publicznym protestem. Swoją apel o odstąpienie od uhonorowywania Grassa wysłał do czterech gdańskich gazet. Jedną z nich, jak twierdzi Zwarra, obiecała mu już nawet druk. „Ani we wtorek 13, ani rankiem

Po 1976 r. Zwarra był świadkiem dramatu – część rodzin polskich z WMG, wymęczona podejrzliwością bezpieki, wyjechała do RFN w ramach umów PRL-RFN o tzw. łączeniu rodzin. Podejrzewał, że seria przesłuchań ok. 1976 r. jest próbą wypchnięcia go z Gdańska. Nie ulega tym naciskom. Nieco wcześniej, na początku lat 70., zainteresował się nim szef gdańskiej biblioteki PAN, prof. Marian Pelczar. Odkrył u Zwarra fenomenalną, fotograficzną wręcz pamięć i zachęcał go do pisania wspomnień. Tak powstał historyczny cykl powieściowy „Gdańszczanie”, a potem „Gdańsk '39” – zbiór relacji 74 Polaków żyjących przed wojną nad Motławą. W 1984 r. został wydany pierwszy tom „Wspomnień gdańskiego bówki”. Bówkami nazywano robotników pracujących przy rozładunku statków na



W październiku Brunon Zwarra skończyłby 99 lat FOT. GRZEGORZ MEHRING/POLSKA PRESSE/EAST NEWS

14 kwietnia, ani później nie zobaczyłem w jakiegokolwiek gazecie tekstu mego protestu – pisał po latach w swoich wspomnieniach. „Zaskoczył mnie natomiast rankiem 14 kwietnia o godz. 8.45 telefon wicewojewody Józefa Borzyszkowskiego, który wmawiał mi w ciągu przeszło dwudziestu minut, że stawiam pisarstwo G. Grassa w niewłaściwym świetle”. Jak relacjonuje Zwarra, parę dni później Borzyszkowski zamieścił w „Gazecie Gdańskiej” tekst, w którym znalazło się zdanie: „Opinia Brunona Zwarra o twórczości Güntera Grassa i jego roli w relacjach polsko-niemieckich uwarunkowana jest niewątpliwie tragicznymi, wojennymi doświadczeniami autora”.

Ten pobłażliwy ton, w jakim opisywano jego protest, był dla Zwarry boleśniejszy niż otwarta polemika. Rozgoryczony weteran nie przyjął honorowego obywatelstwa Gdańska, nie chcąc dzielić tego tytułu z Grassem. Narzekał, że kolejne tomy jego wspomnień nie mają żadnych recenzji w gdańskiej prasie.

Przez kolejne 25 lat wokół krytyki „Błaszanego bębenka” zapanowała w Gdańsku kłopotliwa cisza. Nad Motławą niepodzielnie panował kult Grassa, traktowany niezwykle serio przez gdańskich liberałów i prezydenta Pawła Adamowicza. Symbolem tamtej epoki była seria albumów ze zdjęciami Wolnego Miasta pod tytułem „Był sobie Gdańsk”, w których niewiele miejsca poświęcono konfliktom polsko-niemieckim. Jednak Zwarra nie przestawał być obrońcą losów gdańszczyzan, niezależnie od politycznych podziałów. W 2005 r. krytykował wyciąganie Donaldowi Tuskowi „dziadka z Wehrmachtu”, choć jednocześnie kpił ze słów lidera PO, że nie wiedział nic o wojennych losach Józefa Tuska, notabene znajomego Zwarry.

W 2006 r. Grass ujawnił swoją służbę w Waffen SS. Zwarra przyłączył się do apelu o odebranie pisarzowi tytułu

honorowego obywatela Miasta Gdańska. Bez skutku. W listopadzie 2009 r. Zwarra udzielił jednego z ostatnich wywiadów dla lokalnej „Gazety Wyborczej”.

„Nie chcę robić z siebie bohatera, ale tak jest od czasów Sokratesa, że prawda nie jest wygodna. W tej chwili obowiązuje poprawność w stosunkach z Niemcami, a ja w I tomie »Gdańszczyzan« opisałem scenę, jak 1 września ok. 18.30 wywożono spod gaszonego już gmachu Poczty Polskiej dwoma ciężarówkami pocztowców. Większa część to byli moi znajomi. [...] Pierwsza ciężarówka była przykryta, od poczty skręcili w Podwałę Staromiejskie, potem w kierunku placu targowego, gdzie było

Rozgoryczony Brunon Zwarra nie przyjął honorowego obywatelstwa Gdańska, nie chcąc dzielić tego tytułu z Günterem Grassem

pełno szczerlnie ustawionych Niemców. Gwizdali, obrzucali pocztowców pomidorami, jabłkami i nawet kamieniami. Próbowali wskakiwać na samochód, bić pocztowców, tylko strażnicy ich odganiaли. [...] To się teraz nie może podobać” – mówił.

A co się podoba? „Ten teatr z Putinem, który był ostatnio na Westerplatte. Wszyscy ładnie przypominali wojnę, Angela Merkel przeprosiła za to, co zrobili Niemcy, i bardzo dobrze, ale dla mnie to są tylko plastry. Gdy przypominam sobie życie Polonii gdańskiej przed, w czasie i po wojnie, to ten teatr mi się nie podoba”.

Spór wokół „Błaszanego bębenka” wybrzmiał raz jeszcze po śmierci Grassa w 2015 r. Pisarz Paweł Huelle tak odniósł się wtedy do sprawy: „Bardzo krytykował powieść pisarz Brunon Zwarra, za scenę

obrony Poczty Polskiej, podczas której pocztowcy grają w karty. Cóż, jeśli ktoś uprawia kult bohaterów, to każda wypowiedź będzie go denerwowała. Każde wybitne dzieło sztuki na ogół budzi kontrowersje, zanim stanie się klasyką”.

CICHY TRIUMF

Trzeba było czasu, by coraz więcej osób w Gdańsku zrozumiało, że protest Zwarry wobec „Błaszanego bębenka” był protestem wobec idealizacji Wolnego Miasta. Z czasem noblista z Lubeki znalazł się poza przyjaciela Kaszubów i demaskatora zakłamania Niemców.

W jednej z ostatnich książek „Idąc rakiem” Grass zajął się zagładą uciekinierów z Gdyni w 1945 r. na pokładzie „Wilhelma Gustloff’a” w stylu wpisującym się w ówczesną politykę Eriki Steinbach „oddania sprawiedliwości wypędzonym”. Coraz większe wątpliwości budziły też gesty prezydenta Adamowicza – decyzja o stworzeniu Ronda Granicznego Wolne Miasto Gdańsk, zamiana czerwonych powojennych barw gdańskich tramwajów na piaskową barwę sprzed wojny. O losie gdańskich Polaków z lat 1920–1939 milczało Muzeum II Wojny Światowej za rządów Pawła Machcewicza. A tereny dawnego stadionu Gedanii sprzedano jednej z firm deweloperskich.

Powoli sens emocji Brunona Zwarry zaczął docierać do gdańskich dziennikarzy. Marek Górlikowski z „Gazety Wyborczej” tak pisał o sporze Pawła Huelle z weteranem gdańskiej historii: „Dla mnie nienawiść pokaleczonego przez historię Zwarry do Grassa to jakiś daleki odgłos prawdziwego, a nie literackiego Wolnego Miasta Gdańska, które stało się najpierw dla Polaków, a potem dla Niemców piekłem”.

Jarosław Zalesiński, dziennikarz „Dziennika Bałtyckiego”, wskazywał z kolei: „Też wychowałem się na »Błaszanym bębenku«. Ale dzięki rozmowie z Panem Brunonem zrozumiałem, kim byli Niemcy i kim byli Polacy w Wolnym Mieście. Jak bardzo Niemcy byli butni i jak ogromna przepaść dzieliła obie społeczności”.

Obaj adwersarze już nie żyją. Za dziełami noblisty z Wrzeszcza stoi talent, za książkami weterana gdańskiej Polonii – prawda historyczna. Kto przetrwa silnie w pamięci gdańszczyzan w perspektywie kolejnych dekad?

W dniu pogrzebu Brunona Zwarry, 21 sierpnia, Kancelaria Prezydenta RP ogłosiła, że zmarły został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski IV klasy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

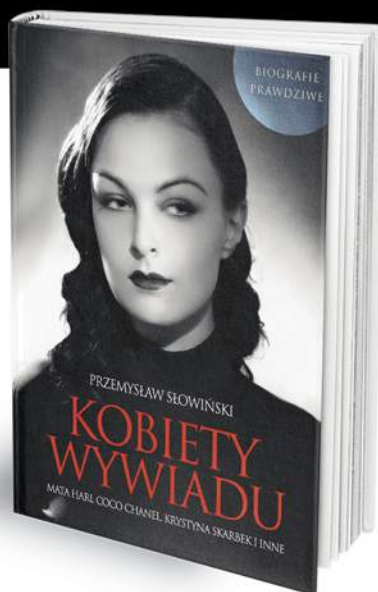
PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

PAKIET 3 KSIĄŻEK

J. KOMUDA „SAMOZWANIEC.
MOSKIEWSKA ŁADACZNICA”, A. PILIPIUK „KONAN
DESTYLATOR” ORAZ J. PIEKARA
„PRZENAJSWIĘTSZA RZECZPOSPOLITA”

Cena: 152 zł

Oszczędność: 145 zł



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY” + KSIĄŻKA

PRZEMYSŁAWA SŁOWIŃSKIEGO
„KOBIECY WYWIADU”

Cena: 230 zł

Oszczędność: 174 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 8d37ba74d1

Zamknięty dialog



Maciej Pieczyński

Wydalenie Ludmiły Kozłowskiej z UE stało się kolejnym argumentem do uderzania w rząd PiS. Tymczasem powiązania kierowanej przez nią fundacji budzą sporo kontrowersji



Ludmiła Kozłowska niedawno na lotnisku w Brukseli dowiedziała się, że nie wjedzie na teren UE. Szef ABW wydał negatywną opinię na temat jej wniosku o udzielenie zezwolenia na pobyt rezydenta długoterminowego w Unii. Została wpisana do Systemu Informacyjnego Schengen (SIS) z najwyższym alertem, co oznacza nakaz deportacji nie tylko z kraju, który dokonał wpisu do SIS, lecz także z całej strefy.

Szefowa wpływowej fundacji Otwarty Dialog ogłosiła, że padła ofiarą zemsty koordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego na Bartoszu Kramku: „W swoim facebookowym poście z zeszłego roku »Niech państwo stanie: wyłączmy rząd!«, w punkcie 5. mój mąż wezwał Sąd Najwyższy, aby działał zgodnie z konstytucją i nie poddawał się politycznym naciskom. W tym punkcie Bartosz Kramek apeluje, aby zapadły orzeczenia Sądu Najwyższego wobec Mariusza Kamińskiego” – komentowała Kozłowska w rozmowie z Onetem.

Dopiero po tygodniu rzecznik ABW Stanisław Żaryn wydał oświadczenie: „Negatywna opinia przygotowana przez Departament Kontrwywiadu ABW związana jest m.in. z poważnymi wątpliwościami dotyczącymi finansowania kierowanej przez Ludmiłę Kozłowską fundacji Otwarty Dialog, które mogą mieć dalsze skutki prawne. Z uwagi na ograniczenia ustawowe, a także trwającą kontrolę skarbową, obecnie szczegółowe informacje w tej sprawie nie mogą teraz zostać przekazane opinii publicznej”.

Sprawa Kozłowskiej stała się kolejnym medialnym polem do ataków na PiS i dyżurnych oskarżeń o autorytaryzm czy ksenofobię. W końcu polska instytucja zakazała wjazdu do strefy Schengen po pierwsze kobiecie, po drugie Ukraince, po trzecie szefowej organizacji pozarządowej zajmującej się obroną praw człowieka, po czwarte – żonie aktywisty opozycji antyrządowej. Oświadczenie ABW nie przekonało Kozłowskiej i jej obrońców. Guy Verhofstadt wykorzystał okazję, by znów pogrozić Polsce palcem. „Czarne listy dla demokratycznych działaczy są godne autorytarnych reżimów, a nie państw członkowskich UE. Trzeba znieść zakaz wydawania wiz Schengen Ludmile Kozłowskiej – lub zrewidować rolę Polski w Schengen” – napisał na Twitterze europarlamentarzysta. „Apelujemy o umożliwienie powrotu Ludmiły Kozłowskiej do jej domu w Unii

FOT. ANDRZEJ JULIANKA/REPORTER

Europejskiej, najlepiej w formie nadania jej obywatelstwa kraju UE. Pozwoli to jej połączyć się z rodziną w Polsce oraz kontynuować działalność jej fundacji, działającej na rzecz praw człowieka, na terytorium UE” – to z kolei fragment petycji, opublikowanej w Internecie, w polskiej i angielskiej wersji językowej. Pod dokumentem podpisali się m.in.: Lech Wałęsa, Elżbieta Bieńkowska, Seweryn Blumsztajn, Michał Boni, Michał Broniatowski, Tomasz Lis, Marcin Matczak (prawnik z UW, kreowany na przywódcę anty-PiS), Joanna Scheuring-Wielgus, Ryszard Schnepf, Marcin Świąciecki, Róża Thun, a także unijni i ukraińscy politycy, aktywiści, eksperci.

Polskich sygnatariuszy łączy przede wszystkim głęboka niechęć do PiS. Stąd trudno się dziwić, że petycja rozpoczyna się od następujących akapitów: „Autorytarne władze demontują rządy prawa i demokrację w krajach członkowskich UE. Nie pozwólmy im zrobić tego samego z Unią Europejską i układem z Schengen! Wobec skandalicznego stosowania umowy z Schengen przez władze w Polsce – jako narzędzia do prześladowania cudzoziemców i członków ich rodzin – zwracamy się do wszystkich polityków Unii Europejskiej o stanowczy wyraz solidarności i sprzeciwu wobec tego niesprawiedliwego postępowania”.

Apel o wykreślenie Kozłowskiej z „czarnej listy” wystosowały także ukraińskie organizacje zajmujące się obroną praw człowieka.

ROMANS Z OLIGARCHĄ?

W Polsce o fundacji Otwarty Dialog zrobiło się głośno po wspomnianym wpisie na Facebooku, w którym Bartosz Kramek nawoływał do Majdanu w Warszawie. Zwolennicy teorii spiskowych połączyli apel z faktem, że FOD dysponowała pozwoleniem na broń. To był jednak fałszywy trop. Fundacja wyrobiła pozwolenie na rok przed wyborczym zwycięstwem PiS po to, aby przewieźć przez polsko-ukraińską granicę hełmy i kamizelki kuloodporne dla ochotników walczących w Donbasie. A także dla przebywających tam dziennikarzy i polityków. Właśnie organizacja pomocy dla Majdanu, a następnie dla obrońców Donbasu przed rosyjską agresją sprawiła, że dziś bez trudu można znaleźć w Internecie zdjęcia Ludmiły Kozłowskiej nie tylko z George’em Sorošem (choć akurat nie ma dowodów, by niechętny prawicy miliarder finansował bezpośrednio organizację),

lecz także z zainteresowanymi Wschodem polskimi politykami: Marcinem Świącieckim czy Małgorzatą Gosiewską. – FOD była zaangażowana w wiele pozytywnych działań w obronie demokracji na Ukrainie, w Mołdawii czy Kazachstanie. MSZ ostrzegało już wówczas, że są pewne wątpliwości, jeśli chodzi o działalność fundacji, ale nie podawał żadnych konkretnych. A proszę pamiętać, że to był MSZ za rządów PO-PSL, do którego wiarygodności można było mieć zastrzeżenia – mówi „Do Rzeczy” Małgorzata Gosiewska.

Z szefową fundacji wiąże się afera obyczajowa, która wybuchła kilka miesięcy temu. W Internecie pojawiło się nagranie, na którym widać, jak kobieta, łudzko przypominająca Ludmiłę Kozłowską, całuje się i idzie do łóżka z mężczyzną, łudzko przypominającym Muchtara Abliazowa, oligarchę z Kazachstanu. Kramek, pytany o komentarz w tej sprawie, odesłał do oficjalnego oświadczenia FOD, w którym „sekstaśma” z udziałem prezes została określona jako „absolutnie nieprawdziwa”. Sama Kozłowska, dopytywana o film przez ukraińskich dziennikarzy, całą sprawę nazwała „prowokacją kazachskich i ukraińskich służb”. Abliazow to człowiek, którego fundacja Kozłowskiej broniła przed ekstradycją do Kazachstanu, Rosji lub Ukrainy. Ciążyły na nim oskarżenia o defraudację 5 mln dol. z banku, którego był właścicielem. Według FOD te zarzuty są motywowane politycznie zemstą za działalność opozycyjną oligarchy, który najpierw pracował w rządzie Nazarbijewa, a następnie założył własną partię. Dzięki lobbingsowi fundacji Francja odmówiła ekstradycji Abliazowa.

Balli Marzec, założycielka stowarzyszenia Wspólnota Kazachska, uważa, że Abliazow raczej kompromituje ideę walki z reżimem. – Dzięki niemu Nazarbijew może wmawiać społeczeństwu: „Patrzcie, opozycja to złodzieje! Nie popierajcie ich, bo są gorsi ode mnie!”. FOD nie broni prawdziwych kazachskich opozycjonistów, tylko Abliazowa i jego ludzi – mówi „Do Rzeczy” Balli Marzec. – Moim zdaniem małżeństwo Ludmiły Kozłowskiej to mistyfikacja. Bartosz Kramek jest „słupem”. Proszę zauważyć: Kozłowska powtarza teraz, że została ukarana nie za swoją działalność, ale za działalność męża. Widać, że mąż Polak jest jej potrzebny, by swoją osobą zainteresować instytucje unijne – dodaje.

Rok temu raport o działalności FOD opublikował Marcin Ludwik Rey, twórca profilu facebookowego „Rosyjska

V kolumna w Polsce”. Zauważa w nim, że choć fundacja zrobiła dużo dobrego na Ukrainie, to jednak skupia się w dużej mierze na obronie szemranych, bogatych oligarchów, oskarżanych w Rosji czy Kazachstanie o malwersacje finansowe.

HANDEL Z ROSJĄ

Abliazow prawdopodobnie przekazywał środki założycielowi fundacji, Iwanowi Szerstiukowi. Rey analizuje też koligacje rodzinne Kozłowskiej. Głównym darczyńcą fundacji był Petro Kozłowski, brat Ludmiły, przedsiębiorca z Sewastopola, który przejął tamtejszą fabrykę oświetlenia okrętowego Majak. Według ustaleń Reya działalność biznesową kontynuował po zajęciu Krymu przez Rosjan. Majak ma dwa przedstawicielstwa handlowe w Petersburgu, przez które sprzedaje wyprodukowany sprzęt rosyjskiej marynarce wojennej. FOD dementowała ustalenia Reya, utrzymując, że Petro Kozłowski wyemigrował na Zachód, a okupanci zabrali mu biznes.

– FOD była jedną z wielu organizacji, które pojawiły się na Majdanie, i bardzo aktywnie zaczęła wspierać protesty. Po ucieczce Janukowycza fundacja skupiała się na wspieraniu przemian w ukraińskim sądownictwie, MSW oraz prokuraturze. Eksperci FOD pisali liczne raporty, organizowali konferencje o potrzebie lustracji. Nagłośnili sprawę przetrzymywania obywatela polskiego w areszcie tymczasowym przez prawie trzy lata. Jako pierwsi ogłosili też zbiórkę na rzecz ukraińskich ochotników w Donbasie – wylicza Eugeniusz Bilonozhko, redaktor naczelny polonijnego portalu Polonews.in.ua. – Dla ukraińskiej polityki wykorzystanie fundacji, partii politycznych albo mediów na rzecz lobbingu jest czymś codziennym. Nikt nie wątpi, że pewni aktywiści pracują na rzecz pewnych polityków czy obcych państw – dodaje.

Rey w swoim raporcie trafnie prognozował, że ewentualne restrykcje wobec FOD dadzą asumpt do oskarżenia o „putinizację Polski przez PiS”. Jednocześnie antyrządowe zaangażowanie liderów fundacji (np. apel Kramka o polski Majdan) to oliwa dolana do ognia polsko-ukraińskiego sporu. Interesy brata Ludmiły Kozłowskiej też budzą kontrowersje. Z ferowaniem wyroków o prorosyjskiej działalności FOD trzeba jednak zdecydowanie poczekać, aż ABW przedstawi więcej faktów.



Antoni Gaudí (na pierwszym planie) w 1926 r. w Barcelonie
FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Z Przemysławem Słowińskim, autorem książek biograficznych rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Architekt w drodze na ołtarze

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Gdyby nie reumatyzm, architekt Antoni Gaudí by nie było?

PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI: Trudno powiedzieć. Prawdą jest jednak, że jego sztuka narodziła się z choroby. Od dzieciństwa dokuczał mu reumatyzm. Zamiast chodzić do szkoły całe dnie spędzał na obserwowaniu świata. Przypuszcza się, że to właśnie w tym okresie wyrobił sobie niespotykaną

wyobraźnię, co pozwoliło mu potem tworzyć przełomowe projekty w architekturze. Po latach spostrzeżenia te zamknął w jednej z najślawniejszych definicji własnej sztuki: „W naturze nie ma przypadków. Każda roślina rozwija się w funkcjonalny dla niej sposób”. I tak właśnie, wzorując się na miękkich, naturalnych formach, zaprojektował swoje słynne modernistyczne

budowle: Casa Batlló, park Güell czy Casa Milà – zwaną potocznie La Pedrera (Kamieniołom), ukończoną w 1910 r. wytworną siedmiopiętrową kamienicę.

Za młodu wiódł żywot birbanta i trefnisia, był w dobrej komitywie z socjalistami i masonami. Kiedy i co spowodowało jego duchową metamorfozę?

Cherchez la femme – powiadają Francuzi. Szukajcie kobiety, jeżeli chcecie poznać prawdę o ukrytym mechanizmie zdarzeń... Powodem zmiany trybu życia architekta stała się kobieta – Pepeta Moreu, jedyna, którą Gaudí kochał i której kiedykolwiek się oświadczył. Został jednak odrzucony, co przypląciło depresję i – podobno – próbą samobójstwa, ale z tej miłości nie wyleczył się do końca życia. To właśnie z powodu pięknej Pepety ostatnie sześć lat (1920–1926) przeżył jak pustelnik. Nigdy już nawet nie spojrzał na żadną niewiastę. Żył tylko pracą i opieką nad chorym ojcem. Do przeszłości odeszły wesołe zabawy na starym mieście, podobnie jak wieczorki poetyckie i wykłady w Centro Excursionista de Cataluña. Właściwie tylko codzienna spowiedź w San Felipe Neri i niedzielna msza w katedrze stanowiły ogniwa łączące go ze światem zewnętrznym.

Czuł się Katalończykiem czy Hiszpanem?

Był żarliwym katalońskim nacionalistą, tak samo zresztą jak Eusebi Güell, jego długoletni mecenas i przyjaciel. Przez całe życie demonstracyjnie mówił tylko po katalońsku, niejednokrotnie robotnikom na budowach trzeba było tłumaczyć jego wskazówki. Językiem tym posługiwał się nawet w obecności króla Alfonsa XIII – w czasach, w których władze uważały to za nielegalne. Gdy pod koniec życia stanął przed sądem, odmówił udzielania odpowiedzi w kastylijskiej odmianie hiszpańskiego. Nie łączył jednak nigdy swych poglądów z programem jakiegokolwiek partii politycznej. Raczej w naturalny, emocjonalny sposób czuł się związany z ludem i swoją ojczyzną. W swych budowlach nawiązywał do katalońskiej tradycji, często umieszczał też symbole manifestujące przynależność katalońską.

Postrzeżenie Gaudiego odzwierciedla dziś w przybliżeniu stosunek do niepodległości Katalonii. Uznanie dla wielkiego artysty stało się w Hiszpanii kłopotliwym, choć niezwykłe czułym barometrem socjopolitycznym.

Grzyby halucynogenne miały wpływ na jego wizje artystyczne?

Interesowały go magia i astrologia. W jego domu raz w tygodniu odbywały się próby wywoływania duchów, a jednym z gości był znany w Barcelonie spirytysta Guanyabents. Biografowie wspominają też, że podczas organizowanych przez lokalne elity niedzielnych wycieczek w góry Gaudí zażywał *Amanita muscaria* – grzyby halucynogenne, które uwiecznił potem na budkach przy wejściu do parku Güell. Odczuwane dzięki nim transy pomagały artyście w kreacji szalonych, „roślinnych” form architektonicznych.

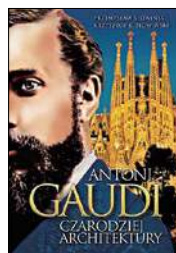
Nie urzeczywistniłby ich, gdyby nie hojny mecenas...

Za życia żadne oficjalne instytucje nie wyraziły Gaudíemu uznania i nie przydzieliły jakiegokolwiek nagrody. Zlecenia ze środków publicznych otrzymywał niezmiernie rzadko, jego projekty uważano za zbyt odważne. W związku z powyższym bardzo wiele z nich nie opuściło nigdy pracowni. Najczęściej, po zakończeniu pracy niezrealizowane plany i projekty lądowały w szufladzie biurka, sprawiającego wrażenie małego budynku! Na szczęście niektórzy poznali się na jego geniuszu. Najważniejszym z mecenasów był książę Eusebi Güell.

Zaprojektowany przez Gaudíego park jego imienia jest do dzisiaj jedną z największych atrakcji Barcelony, podobnie jak wybudowany dla Güella pałac.

Dlaczego na starość Gaudí stał się abnegatem?

Gdy był młodym człowiekiem – lubił ubierać się szykownie i elegancko, a jego codzienny strój obejmował lekki płaszcz dzienny, cylinder i buty z cholewami. W późniejszym życiu porzucił zbyteczne elementy odzienia. Posunął się nawet do tego, że przestał nosić bieliznę i przez okrągły rok używał codziennie jednego ubrania! Spał w nim, nie przyszywał urwanych guzików, nie cerował dziur, więc wyglądał niczym żebrak. Nie miał kobiety, która by o niego zadbała. Wiele osób wspomina jego poplamione marynarki z zielonymi śladami pleśni, naderwane kieszenie i ściągnięte gumą buty. Wizerunek ten był w równej mierze wynikiem diety i skutkiem przebytej brucelozy, co żarliwej wiary religijnej i filozofii. Ostatnie 12 lat życia poświęcił budowie wciąż nieukończonych



PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI, KRZYSZTOF K. SŁOWIŃSKI „ANTONI GAUDÍ. CZARODZIEJ ARCHITEKTURY” FRONDA 2018

Templo Expiatorio de la Sagrada Família, kościoła, który z daleka wygląda jak zamek usypany z piasku. Całkowicie poświęciwszy się temu dziełu, dbanie o przyzwoity wygląd uważał po prostu za stratę czasu.

Zmarł w okolicznościach tragicznych, ale bynajmniej nie z uwagi na swą awersję do medycyny...

Chociaż chorował na reumatyzm i artretyzm, nie brał żadnych leków, postępując zgodnie z regułami księdza doktora Kneippa – bawarskiego duchownego, proboszcza

z Wörishofen, jednego z najsławniejszych na świecie hydropatów, zwolenników ziołolecznictwa oraz racjonalnego sposobu odżywiania się, z silnym zwróceniem uwagi na osobowość chorego. A zmarł w szpitalu, bo odniesione w wypadku tramwajowym obrażenia okazały się po prostu zbyt poważne. Wprawdzie burmistrz Barcelony zaoferował się z daleko idącą pomocą, m.in. przeniesienia pacjenta do bardziej luksusowej kliniki prywatnej, ale jego propozycja została delikatnie

REKLAMA

JEZIORO SŁABĘDZIE

ROYAL MOSCOW BALLET

JEDEN Z NAJLEPSZYCH
ZESPOŁÓW BALETOWYCH NA ŚWIECIE

14.10.2018 - COS Torwar - Warszawa
15.10.2018 - CKK Jordanki - Toruń
16.10.2018 - Sala Ziemi - Poznań
17.10.2018 - Hala Stulecia - Wrocław
18.10.2018 - Dom Muzyki i Tańca - Zabrze
19.10.2018 - ICE KRAKÓW Congress Centre
20.10.2018 - Klub Wytwórnia - Łódź
21.10.2018 - Gdynia Arena

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK

Prestige 10 lat
MJJM

Radio Kolor

Radio 100%

Radio Poznań

RADIO WROCLAW

POLSKIE RADIO

raja

AV

wprost

WP

Życie

T3

twoja muza

trojmiasto.pl

cgm.pl

DlaWaszko

Multikino

STRÖER

VIXON

EXPRESS SERVICE

pap

Budowa Sagrada Família rozpoczęła się w 1883 r. Do dziś nie została ukończona

FOT. FOTOLIA



■ odrzucona przez samego Gaudiego, który chciał umrzeć między zwykłymi ludźmi. W głębi duszy zawsze pozostawał wierny swoim korzeniom – ludowi.

Picasso, Dalí i Orwell krytykowali go tylko z powodów estetycznych?

Młody Pablo Picasso ostrzegał ludzi przed Gaudím, a Salvador Dalí napiętnował jego dzieła jako sztukę tapas – wielowarstwowej, różnokolorowej kanapki, którą je się przy barze, między posiłkami, na stojąco, do kieliszka wina. George Orwell, autor „Roku 1984”, napisał: „Poszedłem spojrzeć na katedrę, jeden z najbardziej szkaradnych budynków na świecie. Ma cztery zakończone blankami iglice, dokładnie w kształcie butelek wina reńskiego. W przeciwieństwie do wielu kościołów w Barcelonie nie została zniszczona podczas Rewolucji – ocalała, jak mówią, ze względu na »wartość artystyczną«. Uważam, że anarchiści wykazali się złym gustem, skoro nie zniszczyli jej, gdy była do tego stosowna okazja...”. Czy powodem tej krytyki były tylko względy estetyczne? Osobiście śmiem wątpić. Wymienieni trzej panowie reprezentowali poglądy zdecydowanie lewicowe. Obnoszący się manifestacyjnie ze swą wiarą i religijnością Gaudí był dla nich nie do strawienia przede wszystkim ze względów ideologicznych.

Grób Gaudiego odwiedzają liczni pielgrzymi, proces beatyfikacyjny wciąż trwa, a mówi się o kanonizacji.

Przypomnijmy, że jego mogiłę zbezczeszcili komuniści podczas hiszpańskiej wojny domowej. Przy okazji zniszczyli też plany i makiety artysty. Komitet pro beatyfikacyjne powstał w roku 1992 z inicjatywy księdza Ignacia Segarry przy współudziale japońskiego rzeźbiarza Etsury Sotoo, którego zainteresowanie Gaudím zaprowadziło na łono Kościoła katolickiego, architekta Javiera Fransitorry, inżyniera i biografa Gaudiego – Josepa Marii Tarragona – oraz jeszcze jednego architekta – José Manuela Almuzara Péreza, który został przewodniczącym komitetu. Dwa lata później zwrócono się do arcybiskupa Barcelony Ricarda Marii Carlesa Gordó z prośbą o rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego Antoniego Gaudiego. W 2003 r. została uroczystie zakończona faza dociekania do procesu. Czy genialny twórca zasługuje na świętość, oceni Watykan. Werdykt – jak w przypadku tego typu spraw bywa – poprzedzony być musi długą i staranną analizą materiału. Zgodnie z wymogami prawa kościelnego proces wynoszenia na ołtarze wymaga uznania dwu cudów kandydata. Pierwszy stanowi przepustkę do beatyfikacji, drugi – do kanonizacji. Zebrano już ponad 30 świadectw pobożności architekta – od krewnych i znajomych. Wszyscy stwierdzili, że był wcieleniem cnót chrześcijańskich i umarł w powszechnej opinii świętości. Wśród świadków byli również architekci i inżynierowie, którzy podkreślili, iż dla Gaudiego wznoszenie świątyni Sagrada Família w Barcelonie, szczególnie

w ostatnich latach życia, miało charakter ekspiacyjny – artysta zrezygnował z honorów, pieniędzy i życia w luksusie, swe dochody przeznaczając całkowicie na budowę kościoła i pomoc dla ubogich. Antoni Gaudí byłby pierwszym w historii błogosławionym, reprezentującym cech architektów. Niezależnie od tego już teraz istnieje spory ruch pielgrzymkowy do jego grobu.

Flagowe dzieło mistrza – Sagrada Família – zostanie ukończone?

Budowa kościoła rozpoczęła się w 1883 r. Przerwała ją hiszpańska wojna domowa. Potem, dla odmiany, przez ponad 40 lat gen. Franco tłumił tożsamość kulturową Katalonii, skrupulatnie przemilczając znaczenie dzieła Gaudiego. Prace wznowiono w roku 1982. Wciąż trwają, prowadzone na podstawie szkiców i notatek inicjatora budowy. Ich zwieńczenie przewidziano za osiem lat. Największy problem stanowią finanse – fundusze pochodzą głównie z datków prywatnych osób.

Jakich projektów nie zrealizował i z jakich względów?

Prace, których Gaudí nie zdążył już zrealizować, stanowią swoistą ciekawostkę. Wśród wielu tego typu prac architekt pozostawił m.in. projekt drapacza chmur – hotelu Attraction, który miał być najwyższym budynkiem ówczesnego Nowego Jorku. Futurystyczny budynek, przypominający raketę kosmiczną, miał być miejscem spotkań nowojorskiej elity biznesu. Gdyby powstał, wyprzedziłby swoje czasy o pół wieku, jednak jego planowana wysokość (360 m) była w roku 1908 r. nierealna. Kilkadziesiąt lat później projekt ten podobno zainspirował Daniela Libeskinda do rekonstrukcji World Trade Center po katastrofie z 11 września 2001 r.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Przemysław Słowiński

– ur. w 1952 r., prawnik z wykształcenia, pracował jako: malarz, górnik, barman, agent ubezpieczeniowy. Autor książek biograficznych, m.in.: „Największy. Muhammad Ali”, „Bestia. Historia Mike’a Tysona”, „Nikola Tesla. Władca piorunów”, „Otto Skorzeny. Pierwszy komandos Trzeciej Rzeszy”, „Uciekinier. Opowieść o Harrym Houdinim”.

OMIJAJ **MANDATY** SZEROKIM ŁUKIEM



YANOSIK **GTR**

Legalny "antyradar"

Yanosik.pl/dorzezy
eprasa.pl 8d37ba74d1

W bagnie PRL-u



Piotr Gociek

Produkt polski, nie przeróbka zagranicznego formatu. Obsada? Znakomita. Poziom realizacji? Jak w Netflixie czy HBO. „Rojst” zaskakuje na wielu poziomach

Niestety dobry temat zdarza się u nas bardzo rzadko albo nigdy – poucza młodego dziennikarza stary dziennikarz. Takie miejsce: nieduże bezimienne miasto na Ziemiach Odzyskanych. „Nikt tu nie jest stąd” i w dodatku „wszyscy kłamią”. Takie miejsce i taki czas: rok 1985, a dokładnie czerwiec, a jeszcze dokładniej akcja rozpoczyna się, gdy obraduje XX Plenum KC PZPR, o czym dowiadujemy się z radiowych wiadomości na początku pierwszego odcinka.

Pięciodcinkowy serial „Rojst” przenosi widza w sam środek ponurej ery Jaruzelskiego, na peerelowską prowincję, gdzie na układy nie ma rady, nikt nie podnosi za wysoko głowy, a sprawy brzydkie i niewygodne zamyka się pod dywan szybko i skutecznie. Jedną z takich spraw jest podwójne morderstwo dokonane w lesie przy osiedlu Gronty. Zginęła miejscowa prostytutka oraz działacz ZSMP. Podczas wizji lokalnej konkubent prostytutki przyznaje się do wszystkiego i opowiada, jak było: zastał

oficjela uprawiającego seks z dziewczyną, więc poderżnął mu gardło. Potem poderżnął gardło ukochanej.

Ta wersja staje się oficjalną, tyle że nie bardzo wierzy w nią Piotr (Dawid Ogrodnik), młody dziennikarz z Krakowa, świeżo po studiach, który niedawno przeprowadził się do miasteczka wraz z ciężarną żoną. Nie chciał wykorzystywać znajomości ojca (partyjnego dygnitarza), postanowił, że spróbuje z dala od niego zacząć karierę na własną rękę. I tak trafił do redakcji „Kuriera Codziennego”. Tam jego niechętnym mentorem został zaś stary, doświadczony wyga Witold (Andrzej Seweryn). Doświadczony to znaczy odpowiednio zgorzkniały. Taki, który wie, że z systemem nie wygrasz, że prawda przekazana gazecie w kopercie przez prokuratora to prawda jedyna i tak dalej. Nawet Witold nie zdzierży jednak, kiedy w miasteczku wydarzy się jeszcze jedna tragedia: podwójne samobójstwo pary nastolatków. Dziewczyna była córką przyjaciółki i byłego przyjaciela (opozycjonisty świeżo wypuszczonego z więzienia).

Duet Piotr-Witold zaczyna więc wsadzać nos w nie swoje sprawy, a dynamika między nimi przypomina doskonale znaną z amerykańskich kryminałów relację „stary, cyniczny gliniarz versus naiwny, szlachetny żółtodziób”.

STUPROCENTOWO POLSKI

Mieliśmy ostatnio w polskim kinie sporo prób odtworzenia realiów PRL na potrzeby intrygi kryminalnej. „Rojst” wytrzymuje porównania z wielkoekranową konkurencją, a dużą jej część bije na głowę. Jest spójny wizualnie, dopieszczony, gdy chodzi o detale, ma świetną obsadę, no i nie widać po nim realizacyjnej biedy, która aż kłuła w oczy choćby w przypadku „Ach śpij, kochanie” Krzysztofa Langa o Mazurkiewiczu, seryjnym zabójcy elegancie z Krakowa. Showmax nie ma się więc czego wstydzić, serial „Rojst” mógłby się pojawić w ofercie Netflixu czy HBO i nikt nie zauważyłby różnicy.

Warto zwrócić uwagę, że jest to produkt stuprocentowo polski, żadna tam przerób-



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

charakterystycznego dla polskich seriali rozrywkowych i filmów kinowych, w których postacie w kółko opowiadają sobie i objaśniają, co robią oraz dlaczego.

A nie zdążyłem jeszcze powiedzieć o miłej wartości dodanej: mamy w „Rojście” powrót Piotra Fronczewskiego, który niczym za dawnych, dobrych lat „07 zgłoś się” czy „Konsula” obsadzony został w roli złooczyńcy. To on prowadzi hotel (i nocny klub), w którym pracowała zamordowana prostytutka (zresztą nie będzie to jedyna panna lekkich obyczajów, która padnie trupem w tej opowieści). O talencie i charyzmie Fronczewskiego nikogo przekonywać nie trzeba, zresztą próbkę można było zobaczyć w dziesięciminutowym prologu do serialu, którym Showmax pilotował swą nową produkcję. Zabawny, smakowity drobiazg dla uważnych: w pewnym momencie podczas wizyty Andrzeja Seweryna we wspomnianym przybytku rozpusty z głośników sączy się hit „Dysk dżokej”, śpiewany przez Franka Kimono, czyli artystyczne alter ego Fronczewskiego (pod tym pseudonimem nagrał kilka płyt, najpopularniejszą w roku 1984).

ZA MAŁO POLITYKI

Listy zagadek też nie wyczerpałem. Gdy poznajemy bohatera granego przez Seweryna, stary dziennikarz przygotowuje się do wyjazdu za granicę. Najpierw do Berlina, a potem Bóg jeden wie dokąd. Dlaczego? Co ma z tym wspólnego przemycony z Niemiec album malarstwa? Będzie trzeba poczekać na odpowiedź. Podobnie jak na wyjaśnienie, dlaczego miejsce zbrodni (las przy Grontach) cieszy się od lat złą sławą. Bo to nie pierwsza tragedia w tym miejscu.

O kilka rzeczy jednak chętnie bym się z Janem Holoubkiem pokłócił. Zdecydowanie za mało jest moim zdaniem w serialu polityki. Rok 1985 to czas wprowadzania przez komunistów drastycznych podwyżek cen, w kwietniu Sąd Najwyższy utrzymał wyroki dla zabójców ks. Jerzego Popiełuszki, w maju rozpoczął się proces Michnika, Frasnika i Lisa, a w czerwcu zapadły wyroki skazujące. O tym wszystkim się wtedy mówiło, i to dużo, zatem mieszkańcy nawet prowincjonalnego PRL powinni i te sprawy zauważać. Kolejna sprawa: miasto, w którym rozgrywa się akcja „Rojsta”, nie

jest takie małe: ma własne spore więzienie, własną gazetę codzienną, dziesięciopiętrowe bloki, duży dom handlowy, wielki hotel i zatrzymuje się w nim międzynarodowy pociąg jeżdżący do Berlina. To oznacza spore zakłady pracy w okolicy, a zakłady pracy oznaczają Solidarność, strajki, ulotki lub przynajmniej zwiększoną aktywność Służby Bezpieczeństwa. Nie twierdzę, że życie codzienne w takich miejscach było pasmem nieustających protestów, pamiętam jednak z młodości, że polityczne napięcie ciągle wisiało w powietrzu. A tego w serialu nie ma ani śladu (przynajmniej w tych odcinkach, które udostępnił mi dystrybutor). Nieco zbyt idylliczny, wypreparowany z kontekstu politycznego, jest też obraz redakcji „Kuriera Codziennego” – a przecież w PRL wszystkie gazety były organami prasowymi PZPR albo stronnictw sojuszników (SD i ZSL).

Słowo pisane znaczyło wtedy więcej niż dziś. Bez trudu akceptuję więc, gdy żona młodego dziennikarza Piotra czyta z nutów Lwa Tołstoja, a nastolatek samobójca na odwrocie rysunku ukochanej przepisuje wiersz Wojaczka. Nie uwierzę natomiast, że krakowski student nie znał głośnego wiersza Andrzeja Bursy „Sobota” i usłyszał słynną linijkę „mam w dupie małe miasteczka” po raz pierwszy dopiero z ust starego kolegi po fachu. Szukam w pamięci odpowiedzi na inne pytanie: czy zamiast prosić o wodę nie mówiliśmy aby w tamtych czasach „napiłbym się mineralki”?

Wszystkie te drobiazgi nie powinny przesłaniać tego, że „Rojst” to dzieło godne uwagi. Z ostateczną oceną wstrzymać się muszę do chwili, kiedy poznam finał opowiadanej historii i będę mógł ocenić, jak to wszystko zagrało razem, mam też nadzieję, że rozsiane po fabule tropy wiodące ku niemieckiej przeszłości nie poprowadzą pod koniec do jakiejś sesji pedagogiki wstydu ze złymi Polakami i dobrymi Niemcami w rolach głównych. Mam też pretensję o hasło reklamowe serialu „Rojst”: czyli „Witajcie w polskim bagnie”. Cóż, PRL to było bagno, ale niekoniecznie polskie. Tak jak władza przyniesiona na bagnach przez Armię Czerwoną w 1944 r. polska wcale nie była. Tak czy inaczej, serial Jana Holoubka obejrzeć do końca trzeba, bo realizacyjnie to kawał dobrej roboty. I bardzo jestem ciekaw, co Holoubek junior nakręci w najbliższej przyszłości.



REŻ. JAN HOLOUBEK
„ROJST”
POLSKA 2018

ka formatu skandynawskiego, jak było to w przypadku „Paktu” (HBO) czy „Zbrodni” (AXN). Klimatyczną „po zachodniemu” czołówkę „Rojsta” też zrobiła firma polska, ale grająca już w ekstraklasie światowej, czyli Platige Image. Spiritus movens całego przedsięwzięcia jest Jan Holoubek (syn Magdaleny Zawadzkiej i Gustawa Holoubka). Z wykształcenia operator (ma w dorobku m.in. świetne zdjęcia do serialu „Kruk”, ale przede wszystkim sporo filmów kinowych i spektakli telewizyjnych) tu stał się człowiekiem orkiestrą. Napisał scenariusz (z pomocą Kacpra Bajona), wyreżyserował całość, no i w to, żeby całkowicie oddał zdjęcia w ręce Bartłomieja Kaczmarka, też nie wierzę. Zatem „Rojst” to projekt autorski, co w polskim kinie nie niesie ze sobą dobrych skojarzeń, bo zwykle oznacza niezdolność dla widza snuć. Tym razem jest inaczej – dialogi są na poziomie, narracja prowadzona wzorowo, sceny pisane wedle dobrej amerykańskiej zasady „wejść jak najpóźniej, wyjść jak najwcześniej”, bez zgubnego wodolejstwa



FOT. MATERIAL PRASOIVE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Tajemnica Wzgórza 113



★★★★★
**REŻ. ALBERT
DUPONTEL**
**„DO ZOBACZENIA
W ZAŚWIATACH”
(„AU REVOIR
LÀ-HAUT”)**
FRANCJA 2017

wyst. Nahuel Pérez
Biscayart, Albert
Dupontel, Laurent
Lafitte

Wieża Eiffla wciąż stoi, ale Paryż nie jest już stolicą świata. Przyszłość francuskiego kina też nie wygląda różowo – dominacja Anglosasów z każdym sezonem staje się coraz bardziej przytłaczająca. Jednak dumni potomkowie Asteriksa ani myślą kapitulować. Cofnęli się na ostatnią linię okopów, wierząc, że dopóki rodzima widownia dochowa im wierności, dopóty nie wszystko jeszcze stracone. I trudno im się dziwić. Lokalny rynek jest na tyle duży, że dla najzdolniejszych (lub najlepiej ustawionych) reżyserów i aktorów robota zawsze się znajdzie.

Nad Sekwaną opinią publiczną wciąż rządzi salon. To on decyduje, komu Francuska Akademia Filmowa przyzna Cezary i który z pisarzy dostanie Nagrodę Goncourtów.

Zdarza się, że oprócz książki laury zbiera jej ekranizacja. „Do zobaczenia w zaświatach” to jeden z takich przypadków. Czym urzekli jurorów autor popularnych powieści kryminalnych Pierre Lemaitre i specjalista od komedii Albert Dupontel? Pierwszy – wyborem tematu, drugi – stylem.

Polaków pomawia się czasem o pamiętliwość. Cóż więc powiedzieć o Francuzach, którzy już od stu lat wałkują swoje pyrrusowe zwycięstwo, czyli I wojnę światową. Tragedia pokolenia, przepuszczonego przez maszynkę do mielenia mięsa, wraca jak bumerang, choć wszyscy jej świadkowie i uczestnicy już dawno spotkali się ze św. Piotrem. Cynizm polityków, bezdusność generałów, szok poborowych, płacz sierot, rozpacz wdów, wyrzuty sumienia ocalonych

opisano i pokazano na dziesiątki sposobów.

Jednym z mitów Wielkiej Wojny (jak nazywają ją Francuzi) jest braterstwo broni, które połączyło żołnierzy niezależnie od ich wieku, charakteru i pochodzenia. Slogan reklamowy filmu („Przyjaźń silniejsza niż śmierć”) wprowadza jednak w błąd. Bohaterów, oprócz frontowych przeżyć, różni wszystko. Księgowy Albert jest pozbawionym fantazji, prostolinijnym safandulą. Zbuntowany artysta Edouard kontakt z rzeczywistością stracił, zanim jeszcze stał się niewolnikiem morfiny. Porucznik Pradelle to dziwkarz i nikczemny karierowicz, próbujący zbić majątek na zwłokach byłych podwładnych.

Francuzi nie lubią się umartwiać. Sposobem na przezwyciężenie traumy jest tu symboliczna egzekucja sprawców wojny, wykonana korkami od szampana. Bezlitośnie kpi się z brzydoty patriotycznych pomników, łagodniej – z nowoczesnej sztuki. Trzydzieści lat temu Dupontel wystąpił w „Bardzo długich zarczynach” Jeuneta, teraz nakręcił film w zbliżonej bajkowej konwencji, na podobny temat i ze znajomym przesłaniem. Jak to leciało? „Śmiejemy się, kto wie, czy świat potrwą jeszcze trzy tygodnie!”. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „DYWIZJON 303. HISTORIA PRAWDZIWA”

Dwa tygodnie po premierze filmu Davida Blaiera „303. Bitwa o Anglie” do kin trafia mocno spóźniona produkcja polska, której sklepanie trwało niemal dekadę, a reżyserzy zmieniali się kilkakrotnie (ostatecznie pod filmem podpisany jest Denis Delić, wcześniej reżyser komedii „Ja wam pokażę!”).

Przedsięwzięcie ma oficjalne błogosławieństwo spadkobierców Arkadego Fiedlera i jest oparte na motywach jego słynnej książki. ©© **Piotr Gociek**

• „Dywizjon 303. Historia prawdziwa”, reż. Denis Delić, wyst. Piotr Adamczyk, Maciej Zakościelny, Antoni Królikowski, Anna Prus, Polska 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Bez litości 2”, reż. Antoine Fuqua, USA 2018
- „Bajecznie bogaci Azjaci”, reż. Jon M. Chu, USA 2018
- „Endless”, reż. Justin Benson, USA 2017
- „Rozpruci na śmierć”, reż. Brian Henson, USA 2018

Coś tam jest

Gdy startuje sezon ogórkowy, budzą się potwory. W amerykańskich kinach już od trzech tygodni grasuje 25-metrowy megalodon. Wodny odpowiednik tyranozaura bez trudu zagryza wieloryba, rekina zjada na przekąskę, jednak najbardziej gustuje w ludzkim mięsie. Widzowie, mądrzejsi od scenarzyistów, łatwo domyślą się, że to kara za naruszanie ekosystemu i masowe wylęganie się na plażach.

Z przedpotopową bestią zmagają się ekipa naukowców, w trybie awaryjnym zasilona przez nurka o zszarganej reputacji. Galerię bohaterów uzupełniają rezolutna dziewięciolatka, zestrachany Murzyn i sponsor w bejsbolówce. Dopóki potwór z głębin kłapie zębatą paszczą,

dopóty film ogląda się wcale dobrze, lecz gdy akcja zwalnia, z ekranu wylewają się hektolitry kiczu i banału. No cóż, gust azjatyckiej publiczności jest specyficzny, producentom zaś najwyraźniej marzy się podbój dalekowschodnich rynków.

„Meg” należy do gatunku, którym rządzą żelazne schematy. Z góry wiadomo, że jednostki chciwe i wredne nie dożyją napisów końcowych, małoduszni zrehabilitują się, wykonując gest Winkelrieda, dziewczę o najgładszym licu wpadnie zaś w ramiona najdzielniejszego. Na szczęście owego herosa gra Jason Statham, który każdą miną i gestem daje do zrozumienia, że podczas wakacji dobrze jest odpocząć od Szekspira. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. JON TURTELTAUB
„MEG”
USA 2018

wyst. Jason Statham, Bingbing Li, Rainn Wilson



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

CHŁOPAK JAK ZŁOTO

Perfekcyjny hollywoodzki film ku pokrzepieniu serc, który od początku do końca wywołuje na twarzy szczery uśmiech. Dotknięty rzadką genetyczną chorobą (efekt – zniekształcona twarz) Auggie idzie po raz pierwszy do szkoły. Nie będzie łatwo, ale kiedyś trzeba zacząć. No i kto chciałby opuścić dom, w którym rodzicami są Julia Roberts oraz Owen Wilson? Kłopoty Auggiego wśród rówieśników to tylko jeden z wątków filmu, bo przy okazji dowiadujemy się także (z osobnych filmowych „rozdziałów”), co trapi jego starszą siostrę (poświęca się dla brata, ale brak jej matczynej uwagi i miłości) oraz nowych przyjaciół. Ekranizacja bestsellerowej książki R.J. Palacio udało się z trzech powodów: dzięki dobrej obsadzie z kapitalnymi aktorami dziecięcymi, dyskretnemu, naturalnemu humorowi oraz talentowi reżysera, który już kilka lat temu w filmie „Charlie” pokazał, że rozumie szkolne traumy jak nikt od czasów Johna Hughesa i Howarda Deutcha.



★★★★★

REŻ. STEPHEN CHBOSKY
„CUDOWNY CHŁOPAK”
USA 2018,
MONOLITH

wyst. Jacob Tremblay, Owen Wilson, Izabela Vidovic, Julia Roberts

TATO, GDZIE JESTEŚ?

Para niedobrych bliźniaków (wyluzowany Owen Wilson i spięty Ed Helms) w poszukiwaniu ojca. Tak się bowiem składa, że dopiero przy okazji kolejnego ślubu mamy panowie dowiadują się, że historyjka o zmarłym tacie była lipą. Bracia wyruszają w podróż przez całe Stany, by odnaleźć drugą połowę rodziny, jednak okaże się to trudniejsze, niż się zdawało. Cóż, mama (Glenn Close) była za młodu mocno rozrywkową dziewczyną. „Bękarty” to debiut reżyserski Lawrence’a Shera, który wcześniej przez niemal dwie dekady odpowiadał za zdjęcia (m.in. w komediowej trylogii „Kac Vegas”). W filmie nie widać tego kinowego doświadczenia, to konwencjonalny kawałek rozrywki gadanej na poziomie telewizyjnego filmu na sobotnie popołudnie. Nic was tu nie zaskoczy (poza puentą, ale jak długo trzeba na nią czekać). Wilson i Helms nie wychodzą ani o milimetr poza swe dotychczasowe emploi, a dialogi i tempo opowieści są dość wątle. ©©



★★★★★

REŻ. LAWRENCE SHER
„BĘKARTY”
USA 2017,
GALAPAGOS

wyst. Owen Wilson, Ed Helms, Glenn Close

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „GRAVEYARD KEEPER”

Ekonomiczne gry RPG dotykały już chyba wszystkich możliwych przestrzeni biznesowych. Od prowadzenia pizzerii, do trzymania w ryzach własnego szpitala. Tym razem – w entourage’u retrofantasy – przyjdzie nam wziąć odpowiedzialność za własny, średniowieczny... cmentarz.

W trudnym biznesie trzeba się będzie chwycić wszelkich sztuczek, aby zarobić. Udawane pogrzeby, festyn z paleniem czarownic, handel hamburgerami z ludzkiego mięsa, przeszukiwanie lochów, straszenie wiernych, aby chętniej chodzili na nabożeństwa – tutaj zysk uświęca



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

★★★★★

środku. A że wszystko polane jest sosem czarnego humoru? Tym lepiej. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** RPG
- **Platforma:** PC/XONE
- **Producent:** dystrybutor: Lazy Bear/tinyBuild Games
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 16+



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

W cieniu Norymbergi

Podtytuł książki jest przesadny: „Alfred Rosenberg nie stworzył Adolfa Hitlera”, ale był obok niego w Bürgerbräukeller w Monachium w listopadzie 1923 r., gdy próbował on obalić rząd bawarski, i to jego po aresztowaniu wyznaczył Hitler na swego następcę, powierzając mu kierowanie partią do czasu swego powrotu na wolność. Ba, to Rosenberg cztery lata wcześniej był współzałożycielem Niemieckiej Partii Robotniczej, która po roku przekształcona została w NSDAP. Oczywiście był u boku Führera, kiedy ten sięgał po władzę, kierował pionem ideologiczno-edukacyjnym partii narodowosocjalistycznej, napisał „Mit XX wieku”, po „Mein Kampf” najważniejsze dzieło hitleryzmu. W późniejszych latach odsuwany był nieco na boczny tor, choć wciąż Hitler powierzał mu pracę na ważnych odcinkach, m.in. mianując ministrem okupowanych terytoriów wschodnich, niezmiennie nazywał go też najwierniejszym towarzyszem walki. Rosenberg przeżył Hitlera o ponad rok. Trybunał w Norymberdze skazał go na śmierć 1 października 1946 r.; wyrok wykonano 16 października. Adolf Hitler sam sobie wymierzył sprawiedliwość – 30 kwietnia 1945 r.

„Dziennik diabła”, wspólna praca byłego agenta FBI i znanego dziennikarza, traktuje tyleż o Rosenbergu, ile o dziejach jego dziennika właśnie, a te łączą się z postacią Roberta Kempnera, zastępcy amerykańskiego oskarżyciela głównego, Roberta H. Jacksona. Obywatелем amerykańskim był wtedy zaledwie od roku. Ten niemiecki Żyd, prawnik usunięty z niemieckiej służby państwowej w 1933 r. ze względu na „polityczną niepewność połączoną z aktywnym żydostwem”, ojczyznę opuścił dwa lata później, wyjeżdżając do Włoch, a następnie do Stanów Zjednoczo-



FOT. ULSTEIN/BLDGETTY IMAGES

nych. Po wojnie wrócił do Niemiec, tam też umarł w roku 1993.

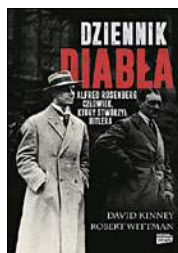
Sławę zdobył na procesie norymberskim, wygłaszając kwieciste oracje, zasadniczo różniące się od lakonicznych, stonowanych wystąpień innych amerykańskich oskarżycieli. Dbał też o publicity, co owocowało artykułami w pismach bulwarowych zawsze na pierwszy plan wysuwających jego osobę. A trzeba przyznać, że to on pierwszy dotarł do protokołu z konferencji w Wannsee, na której zdecydowano o „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”.

Na sprawie sądowej wśród najważniejszych dokumentów obciążających hitlerowców znalazł się dziennik Alfreda Rosenberga z lat 1934–1944. Znalazł się i... zniknął. Po latach miało się okazać, że wraz z innymi materiałami wywieziony został do Ameryki na prośbę (polecenie?) Kempnera właśnie. „Dziennik diabła” opowiada i o tym, jak – jakże długo! – udawało się ukrywać prawdę o losach dziennika, którego wartość szła już w miliony dolarów, no i jakim sposobem niemiecka prokuratura pozwoliła na wywóz zapisków Rosenberga z kraju. O tym wszystkim przeczytać możemy teraz w książce Kinneya oraz Wittmana

i zaręczam, że wątek ten jest niemal równie ciekawy jak ten dotyczący ideologa III Rzeszy, który – nawiasem mówiąc – największego wroga upatrywał w... Goebbelsie.

Anienawdził Żydów, Kościół i komunistów – w tej kolejności. Dowód swego antysemityzmu złożył w „Micie XX wieku”, bolszewizm zwalczał jako groźną ideologię (Słowianie byli dla niego, gorszego wprowadzie sortu, ale jednak Aryjczykami), w Kościele zaś, zwłaszcza katolicim, widział przyczynę słabości Europy. Niechęć do chrześcijaństwa potrafił zaszczyć dziecku. On sam był jednym z czterech skazanych, którzy w Norymberdze odmówili przyjęcia posługi duchownej. Kiedy po ogłoszeniu wyroku rodzinom skazańców zezwolono na odwiedzenie ich w celach, kapelan Henry Gerecke od córki Rosenberga, Irene, usłyszał: „Proszę nie wciskać mi tych kawałków o modlitwie”. A gdy, zaskoczony, zapytał ją: „Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić?”, odpowiedziała: „Tak. Masz papierosa?”.

Co zaś dotyczy Roberta Kempnera, to w odzyskanej ojczyźnie rozpoczął, w roku 1951 we Frankfurcie, praktykę adwokacką. Jako oskarżyciel posiłkowy występował w wielu jeszcze procesach zbrodniarzy hitlerowskich. W procesie Adolfa Eichmanna wspierał izraelskie oskarżenie. W 1980 r. uzyskał pośmiertne uniewinnienie Marinusa van der Lubbe, skazanego za podpalenie Reichstagu w 1933 r. (prokuratura zaskarżyła wyrok). W końcu lat 60. reprezentował rodziny Anny Frank i Edyty Stein. Pomagał również Władysławowi Żeleńskiemu w czynnościach prawnych związanych ze ściganiem osób odpowiedzialnych za mord profesorów lwowskich, w tym jego stryja Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Mamy więc i polski trop. Jak zawsze, gdy mowa jest o tej wojnie, o której zapomnieć się nie da. ©



★★★★★
**DAVID KINNEY,
ROBERT K.
WITTMAN**
„DZIENNIK
DIABŁA. ALFRED
ROSENBERG.
CZŁOWIEK,
KTÓRY STWORZYŁ
HITLERA”
ZNAK 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

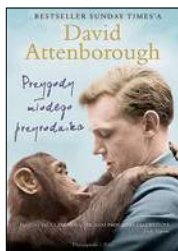
Będąc młodym przyrodnikiem

Oko artysty i pióro poety – mówił o Davidzie Attenborough austriacki przyrodnik Konrad Lorenz. Rzadko tak ciepłe słowa padają pod adresem ludzi robiących w tak trywialnej branży jak telewizja. Komplement jednak jest uzasadniony, czego najlepszym dowodem niech będzie fakt, że kiedy wpadła w moje ręce najnowsza na polskim rynku książka znanego dokumentalisty, najpierw strasznie kręciłem nosem, że to sprzedaż starzyzny w nowym opakowaniu, a potem i tak w jeden weekend przeczytałem tom „Przygody młodego przyrodnika”. Nie mogłem się powstrzymać.

Już tłumaczę, o co chodzi ze starzyzną: choć książka była ubiegłoroczną premierą w Wielkiej Brytanii, to tak naprawdę jest zbiorowym wznowieniem trzech pierwszych publikacji Attenborough z lat 1956–1959. Były one owocem jego pierwszych dziennikarskich wypraw (dwóch do Ameryki Południowej i jednej do Indonezji). Młody dziennikarz telewizyjny nie tylko nakręcił podczas tych eskapad materiały do popularnego programu „Zoo Quest”, lecz także prowadził zapiski, które potem wykorzystał do pisania książek. Z radością informuję, że przetrwały próbę czasu, intrygują i bawią tak samo jak „Moja rodzina i inne zwierzęki” Geralda

Durrella, wydane wszak po raz pierwszy w tym samym czasie (1956). Dla dzisiejszego czytelnika prócz zalet oczywistych – pięknego języka, masy anegdot, lekko podanej wiedzy przyrodniczej – mają też dodatkowy walor: to listy z podróży ze świata, którego dawno nie ma. Dzieciom ery Internetu trudno to będzie zrozumieć, ale perypetie twórców „Zoo Questu” bardziej przypominają przygody podróżników z końca XIX stulecia niż doświadczenia współczesnych autorów dokumentów wypełniających kanały Discovery.

Pouczające i zabawne opowieści Attenborough trafiają na mojej półce między wspomnianego Geralda Durrella a moje ulubione lektury młodości, czyli powieści Szklarskiego o przygodach Tomka Wilmowskiego. Oczywiście Szklarski robił w fikcji literackiej, ale ładunek wiedzy był w jego książkach olbrzymi. Tomka z Davidem Attenborough łączy też przekonanie, że zoologiczne łowy powinny być bezkrwawe. Dzisiaj rzecz stawiana jest przez brytyjskiego popularyzatora jeszcze ostrzej: podglądanie tak, ale żadnego łapania. „Świat przyrody już i tak pozostaje pod zbyt dużą presją, nawet bez okradania go z najpiękniejszych, najbardziej charakterystycznych i najrzadszych mieszkańców” – napisał w nowym przedmowie do wspomnień z dawnych podróży. ©

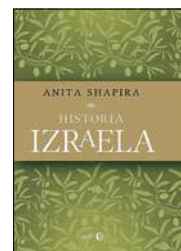


★★★★★

DAVID
ATTENBOROUGH
„PRZYGODY
MŁODEGO
PRZYRODNIKA”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Historia współczesnego państwa Izrael pióra autorki znanej w Polsce z biografii Ben Guriona. Rzecz nie tylko o tym, co się działo po deklaracji niepodległości w 1948 r., sporo miejsca poświęcono dziejom ruchu syjonistycznego.



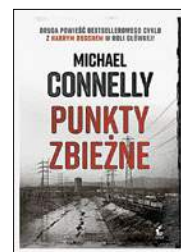
ANITA SHAPIRA
„HISTORIA
IZRAELA”
DIALOG

Nagradzany tłumacz Maciej Płaza, który w ostatnich latach przyswajał polszczyźnie na nowo m.in. Lovecrafta, tym razem przedstawia autorski wybór najciekawszych opowieści niesamowitych polskiego klasika. Plus posłowie.



STEFAN
GRABIŃSKI
„MUZEUM DUSZ
CZYSZCZĄCYCH”
VESPER

Dwudziesty tom cyklu kryminałów o detektywie Harrym Bosch, który doczekał się nie tylko uznania czytelników i krytyków, lecz także czterech sezonów serialu produkcji Amazon Studios.



MICHAEL
CONNELLY
„PUNKTY
ZBIEŻNE”
SONIA DRAGA

Czy wszystkie ich gatunki zawsze rosły w Tatrach? Skąd przywędrowały? Jak zapisały się w folklorze, a jak zmieniły gospodarkę? Przewodnik przyrodniczo-kulturalno-histeryczny zachwycający niezwykle formą edytorską.



TOMASZ
SKRZYDŁOWSKI,
BEATA SŁAMA
„O DRZEWACH,
KTÓRE WYBRAŁY
TATRY”
TPN

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Katarzyna Nosowska „A ja zem jej powiedziała” (Wielka Litera)** – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.
2. **Katarzyna Bonda „Czerwony pajak” (Muza)** – ostatni tom kryminalnego cyklu „Cztery żywioły Saszy Żaluskiej” rozpoczętego w 2014 r. powieścią „Pochłaniacz”.
3. **Stephen King „Outsider” (Prószyński)** – najnowsza powieść króla grozy, łącząca kryminał z elementami horroru.
4. **Remigiusz Mróz „Hashtag” (Czwarta Strona)** – nowa powieść najpłodniejszego autora polskich kryminałów. O dziwnych zaginięciach i mocy Internetu.
5. **Olga Tokarczuk „Bieguni” (Wydawnictwo Literackie)** – wznowienie powieści autorki „Ksiąg Jakubowych” sprzed 11 lat.

(Najchętniej kupowane książki w księgarni internetowej Gandalf – w zestawieniu pominięto zestawy promocyjne)

Ponad pół setki różnych instrumentów na jednej płycie. A na każdym z nich gra... jeden facet. To nic takiego, bo kilkadziesiąt różnych instrumentów można usłyszeć i na jego solowym koncercie. Zakręcony na punkcie muzyki i różnych, nawet najdziwniejszych brzmień z całego świata. Mogą się wydobywać z egzotycznych, etnicznych instrumentów albo z czajnika przerobionego na coś w rodzaju bębna. Zagra na balafonie, lirze korbowej czy piszczałkach wielkopostnych. Te ostatnie zrobi sam z rurek PCV.

Tomasz Drozdek to multiinstrumentalista, kompozytor, a także kolekcjoner. Zbiera najróżniejsze instrumenty. Ma ich ponad 300. Jak pisze o swoim projekcie: „TETNO jest efektem poszukiwań nietypowych brzmień. Rozpoczęte jakiś czas temu »kolekcjonowanie dźwięków« zaowocowało



FOT. HENRYK PRZONIZIO/FOTO GOSZ FORUM

Pan od instrumentów

bardzo bogatym zbiorem instrumentów pochodzenia etnicznego i takich, które można zaliczyć po prostu do kategorii »dziwne«. Wchodząc w posiadanie kolejnych muzycznych wynalazków, uczyć się wydobywać z nich dźwięki, często również takie, o których twórca instrumen-

tu nawet nie myślał przy jego konstruowaniu (tak mi się przynajmniej wydaje). W eksplorowaniu brzmień bardzo pomocna okazuje się odrobina elektroniki i technika loopingu. Pomocna, a nawet niezbędna. Bez urządzenia umożliwiającego odtworzenie nagranych

wcześniej partii muzycznych trudno wyobrazić sobie koncert z udziałem tylu instrumentów. Tym bardziej że ręce Drozdek ma zwykle zajęte, a obsługę loopera pozostawia stopom.

W 2015 r. wydał dwie autorskie płyty, jednak próżno ich szukać na eksponowanych półkach sieciówek księgarsko-muzycznych. Współpracuje z kabaretem Mumio, gra na perkusji w ciekawym zespole Makabunda, występuje z kilkoma innymi grupami, prowadzi pokazy instrumentów etnicznych i warsztaty muzyczne. Na pokrytej złotem debiutanckiej płycie grupy Tulia z tego roku odpowiadał za wszystkie partie instrumentów etnicznych. Na swoim Facebooku w kategorii „Nagrody” pisze: „Ostatnio dostałem od Żony mej buzi w nagrodę, ale nie pamiętam za co”. Romantyk w komercyjnym świecie. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Fascynujące efekty psychodelicznego lata

Wielbicieli klasycznego rocka otrzymują współczesną płytę, która nie tylko ich zadowoli, lecz także nie zalutuje naftaliną. Nagrał ją kalifornijski zespół (wcześniej Thee Oh Sees), który ma na koncie 20 albumów, a u nas jest niesłusznie mało znany.

Gitarzysta John Dwyer nieustannie eksperymentuje zarówno z brzmieniem zespołu, jak i jego składem. Na końcu stworzył fascynującą dźwiękową hybrydę łączącą garażową furję, transowość boogie, psychodeliczne odloty, jazz-rockowe eksperymenty i metalowe

grzmoty. To jakby wspólny jam Purpli, Can, Canned Heat i Floydów Syda Baretta. Dodajmy, że w składzie Oh Sees jest dwóch rozgniewanych perkusistów, a brutalna gitara Dwiera nie bierze jeńców.

Każda z kompozycji kipi energią i... pomysłami z przeszłości. Poczynając od przepętionej muzycznymi zwrotami „Sentient Oona” przez wściekłą „Overthrown” i 12-minutowy kosmiczny odlot w „Anthem Aggressor” do nastrojowego, psychodelicznego funku w „Beat Quest”, uczestniczymy w godzinnej podróży przez wiele krain i chwili wytchnienia. ©©



★★★★★
OH SEES
„SMOTE
REVERSER”
CASTLE FACE



★★★★★
ANIMAL COLLECTIVE
„TANGERINE REEF”
DOMINO

Nowojorscy nowatorzy wraz z artystycznym kolektywem Coral Morphologic utyskują nad eksploatacją środowiska. Efektem jest senna, psychodeliczna medytacja przerywana dźwiękowymi rafami. Bardziej strawne wraz z wizualizacjami.



★★★★★
NINE INCH NAILS
„BAD WITCH”
NULL
CORPORATION

Najmniej przystępna część dołującej trylogii o ludzkości, która skazana jest na zagładę. Ta frustrująca kakofonia ma w sobie coś z klimatu filmów Lyncha, a nawet pożegnalnego albumu Davida Bowie. Dla wtajemniczonych. ©©

Strzelnice ZMT Tarnów



Zapotrzebowanie na strzelnice w Polsce wciąż rośnie. Korzystają z nich nie tylko żołnierze i funkcjonariusze służb mundurowych, lecz także coraz liczniejsi cywile: miłośnicy strzelectwa sportowego i osoby chcące po prostu oswoić się z bronią palną. Dostęp do coraz bardziej obłożonych obiektów nie wszędzie jest wystarczający. Naprzeciw tym potrzebom wychodzi jedna ze spółek Polskiej Grupy Zbrojeniowej: Zakłady Mechaniczne Tarnów SA ze swoją krytą kontenerową mobilną strzelnicą ćwiczebną

Kryta Mobilna Strzelnica Ćwiczebną w Kontenerach 40ft HC (High Cube) jest wysoko wyspecjalizowanym obiektem przeznaczonym do szkolenia i treningu strzeleckiego. Umożliwia zorganizowanie i realizację szkoleń praktycznie w każdym dowolnym miejscu przy minimalizacji problemów logistycznych, finansowych i środowiskowych.

Strzelnica jest rozwiązaniem nowoczesnym, funkcjonalnym i bezpiecznym. Konstrukcja przykrycia oraz kulochwyty głównego gwarantuje zatrzymanie pocisków oraz zapobiega rozprzestrzenianiu się rykoszetów w obrębie hali strzelań. Zastosowanie systemu podglądu i monitoringu oraz multimedialnego trenażera strzeleckiego umożliwia programowanie szkoleń według różnych potrzeb i scenariuszy, z różnym tłem taktycznym, indywidualnie, w parach lub zespołach.

Obiekt szkoleniowy zapewnia możliwość bezpiecznego prowadzenia ognia amunicją ostrą z pistoletów centralnego i bocznego zapłonu o kalibrze do 11,43 mm, pistoletów maszynowych o kalibrze do 9 mm, broni długiej kbks kal. 5,6 mm, amunicją bocznego zapłonu typu 22 Long Rifle oraz z karabinów kalibru 5,56 x 45 mm.

Strzelnica ma możliwość prowadzenia strzelania ze stałej i zmiennej linii otwarcia ognia z różnych odległości – w wersji bazowej od 5 do 15 metrów, a poprzez zastosowanie dodatkowych kontenerów z odległości 25, a nawet 50 metrów.

Bardzo ważną zaletą strzelnicy kontenerowej jest możliwość zainstalowania interaktywnego multimedialnego trenażera do strzelań amunicją bojową lub laserowymi wskaźnikami. Zastosowanie w strzelnicy płynnej regulacji oświetlenia pozwala na bardzo realistyczny trening, a dzięki trenażerowi można optycznie wydłużyć oś strzelań do 200 metrów. Oprzyrządowanie strzelnicy pozwala na zastosowanie różnych programów i metod treningowych (z użyciem tarcz stacjonarnych, strzelanie na czas, ruchome cele, ćwiczenie precyzji strzału, trening do celów aktywnych i neutralnych). Jest również możliwość programowania i edytowania własnych scenariuszy taktycznych i epizodów bojowych nagranych na nośniku magnetycznym i opracowanych w systemie JTS (określenie celów, miejsc postrzałów itp.).

Strzelnice kontenerowe są w pełni mobilne, ich ustawienie nie wymaga zgód budowlanych. Mogą być ustawiane na



utwardzonym terenie lub pozostawione na naczepach, na których są przewożone. Szkolenie można rozpocząć w ciągu kilkunastu minut od przyjazdu na miejsce. Jedna strzelnica może obsłużyć w wystarczającym stopniu kilka jednostek danego garnizonu. Strzelnice z Tarnowa cieszą się dużym zainteresowaniem i są już wykorzystywane przez kilka jednostek Wojska Polskiego, Policji, Izby Celnej i Służby Więziennej.

Zakłady Mechaniczne Tarnów są jednym z wiodących zakładów produkcyjnych Polskiej Grupy Zbrojeniowej. W zeszłym roku obchodziły stulecie swojej działalności. Wizytówką przedsiębiorstwa jest szeroka oferta uzbrojenia i sprzętu wojskowego: karabiny wyborowe i maszynowe, granatniki, moździerz, artyleryjskie i artyleryjsko-rakietowe zestawy przeciwlotnicze oraz sprzęt szkolno-treningowy. Firma oferuje również na rynku cywilnym usługi w zakresie obróbki metali przy zastosowaniu różnorodnych technologii.





Z perspektywy kardynała



Tomasz P. Terlikowski

Trafna diagnoza rzeczywistości Kościoła, brak pomysłu na to, co dalej. Tak najkrócej można podsumować poglądy kard. Gerharda L. Müllera wyrażone w wywiadzie rzece „Chrystus jest zawsze nowoczesny”

Od kiedy papież Franciszek pozbawił kardynała, bez podania przyczyny i w sposób dość nieprzyjemny (a w wywiadzie przeprowadzonym przez Pawła Lisickiego poznajemy kolejne szczegóły tego wydarzenia), funkcji prefekta Kongregacji Nauki Wiary, hierarcha ten

stał się jednym z najmocniejszych intelektualnie krytyków liberalnych interpretacji pontyfikatu papieża Franciszka. To on, i to jeszcze jako prefekt, walczył z uznaniem tego, że „Amoris laetitia” dopuszcza rozwodników w ponownych związkach do komunii świętej, on ostro krytykował

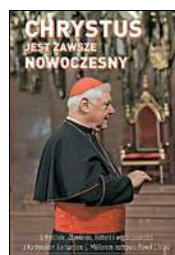
próby niemal katolickiej kanonizacji Marcina Lutra i on sprzeciwiał się najostrzejszemu pomysłu niemieckiego episkopatu, który chciał dopuścić protestanckich małżonków katolików do komunii świętej. W efekcie stał się jednym z najważniejszych, obok kard. Raymonda Burke’a, symboli oporu wobec liberalnej rewolty, jaką przeżywamy obecnie w Kościele.

Tym ważniejsze jest więc przedstawienie jego poglądów, czego podjął się – trochę na wzór „Raportu o stanie wiary” sprzed prawie pół wieku – Paweł Lisicki. Efekt jednak, i to mimo starań Lisickiego, by podrzucić kardynałowi najciekawsze tematy do rozważań, nieco rozczarowuje. Mimo ogromnej wiedzy, teologicznego



Kościół w ogóle chce przeżyć, musi dopasować się do nowych czasów”. „Wtedy w Kościele – wskazuje kardynał Müller – zamiast dokonać prawdziwej odnowy w oparciu o Chrystusa, postanowiono unikać tych punktów spornych, które były źródłem tarcia ze światem [...]. Uznano, że ksiądz, kiedy pojawia się publicznie, nie powinien różnić się strojem od świeckich, bo trzeba podkreślić, że jest dokładnie taki sam jak inni. Zniesiono w ogóle dyscyplinę i wyraźne reguły opisujące życie kapłana, zakonników. Chodziło o to, by zlikwidować wszystkie zewnętrzne znaki wskazujące na powołanie księdza. Towarzyszyło temu zaniedbanie liturgii. Za wszelką cenę chciano ją uatrakcyjnić, miała być czymś przyjemnym, a księża mieli się o ten nowy styl troszczyć. Wtedy w wielu kościołach zniknęły normalne kazania, podobnie księża się przebierali, występowali jak aktorzy, byle tylko upodobnić świątynie do przestrzeni świeckiej. Do liturgii chciano przyciągać ludzi, wprowadzając do niej coraz więcej elementów rozrywkowych, zabawowych. Zniknęło przekonanie, że liturgia ma umożliwiać głębokie spotkanie z Bogiem, w czasie którego pojedynczy człowiek łączy swe własne życie z ofiarą Chrystusa. W ogóle nikt nie chciał słyszeć o ofierze, zamiast tego dominował zachwyt wspólną mieszczańską egzystencją. Uroczystości kościelne, najważniejsze momenty życia sakramentalnego – chrzest, bierzmowanie, ślub – stały się tylko częścią obyczajowości. Miało być miło i przyjemnie” – wyjaśniał kardynał przyczyny błyskawicznej laicyzacji i kryzysu w Kościele.

Istotnym elementem kryzysu było, przynajmniej z perspektywy niemieckiej, także to, że w drugiej połowie XX w. katolicy niemieccy przejęli od protestantów silny, właściwy Niemcom, antyrzymski, antypapieski resentyment. „Katolicy niemieccy, zamiast mu się przeciwstawiać, zamiast stać przy Rzymie, przyłączyli się do ataków na papiestwo. Chcieli wyzwolić się z zasad religii, żeby nie gorzej niż innych” – wskazuje kard. Müller. Stopniowa protestanteryzacja niemieckiego katolicyzmu, bo w istocie z nią mieliśmy, zdaniem hierarchy, do czynienia, doprowadziła do sekularyzacji. Dlaczego? Ponieważ w istocie „protestanteryzacja to inne określenie sekularyzacji. Wła-



**PAWEŁ LISICKI
ROZMAWIA
Z KARD.
GERHARDEM L.
MÜLLEREM
„CHRYSTUS
JEST ZAWSZE
NOWOCZESNY”
SPES
WYDAWNICTWO
2018**

ściwie chodzi o samosekularyzację protestantów. Kiedy mówimy dziś o protestanteryzacji, mamy na myśli zeświecczenie. Przecież protestanteryzacja nie polega na tym, że katolicy stają się bardziej religijni na sposób protestancki, że uznają prymat Słowa Bożego i w większym stopniu szanują Biblię. Tak naprawdę ulegają oni protestanckiemu liberalizmowi. Jego cechą charakterystyczną była redukcja wiary ewangelicznej, dostosowanie jej do potrzeb kulturowych warstw mieszczańskich. [...] Protestanteryzacja zatem, w ścisłym tego słowa znaczeniu, oznacza redukcję chrześcijaństwa do kultury,

a jeszcze dokładniej do kultury świeckiej” – mówi hierarcha.

Słowa te są niezmiernie mocne, ale... ciekawe, że kardynał nie wspomina w ogóle o innych, już wcale nieprotestanckich, źródłach niemieckiego kryzysu. A przecież jeśli szukać korzeni intelektualnych, duchowych i teologicznych stopniowej liberalizacji Kościoła w Niemczech, to nie sposób nie wspomnieć także o romantyzmie niemieckim, o modernizmie katolickim, o ruchu starokatolickim, a wreszcie o frakcji reńskiej w czasie Soboru Watykańskiego II czy wreszcie o samym Soborze. Owszem znajdziemy rozważania (bardzo trafne) o katolickich progresywistach i ich błędach, ale już nie o tym, skąd się one brały. A przecież to właśnie interpretacje (można uznać, że fałszywe, ale jednak obecne i w pewnym czasie dominujące) Vaticanum II doprowadziły do zmian w liturgii, na które utyskuje kardynał, to on sprowadził świadectwo wiary chrześcijan do działalności w partiach chadeckich, a nie ściśle chrześcijańskich itd. O tym jednak nie ma ani słowa.

Kardynał Müller jak ognia unika wskazania procesów wewnątrz Kościoła, także Stolicy Apostolskiej. Gdy zaś Paweł Lisicki wprost pyta o rolę pasterzy w wywołaniu kryzysu, wskazuje, co najwyżej, że wielu z nich uległo złudzeniom konsumizmu czy fałszywego liberalizmu. To jednak, jak się zdaje, za mało, by postawić realną diagnozę problemów, z którymi boryka się (nie tylko) niemiecki Kościół, i znaleźć ich rozwiązanie. Co więcej, określanie zbiorczym terminem protestanteryzacja procesów związanych z jednym tylko nurtem, liberalnym, protestanteryzmu bardzo utrudnia współdziałanie między

wycucia i zmysłu wiary, a także interesujących diagnoz sytuacji kardynał wyraźnie nie chce, a może nie potrafi, wyciągnąć wniosków z własnych tez, a także pokazać, jaki jest jego własny pomysł na przyszłość Kościoła.

PROTESTANTYZACJA I ANTZRZYMSKI RESENTYMENT

Tak jest, gdy pada pytanie o źródła kryzysu w Kościele niemieckim, a szerzej zachodnim. Kardynał, słusznie, mówi o wierze w postęp, propagandzie antyklerykalnej, filozofii podmiotu i samoświadomości, a także potężnych naciskach kulturowych na Kościół, które doprowadziły do wniosku, że „jeśli

konserwatywnymi katolikami a konserwatywnymi protestantami, których coraz częściej więcej łączy intelektualnie i duchowo między sobą niż z własnymi postępowymi współbraćmi w wierze.

NIEMIECKA OPTYKA

Skąd bierze się taka, a nie inna perspektywa kardynała? Jak się zdaje, z mocno niemieckiego punktu widzenia. Kiedy były już prefekt Kongregacji Nauki Wiary mówi o protestantyzacji, to ma na myśli, nie ma co ukrywać, głównie zjawiska wewnątrz Niemiec, związane z luteranizmem i jego liberalnymi interpretacjami. W tej sprawie zresztą rozważania kardynała są rzeczywiście fascynujące, i to nie wtedy, gdy przypomina niewygodne dla obrazu Lutra świętego fakty z jego życiorysu (by wymienić tylko wezwania do rzezi chłopów, zgodę na bigamię czy skrajny antysemityzm), ale gdy analizuje, dlaczego luterskie i katolickie rozumienia wiary są nie do pogodzenia.

„Wiara nie może polegać na tym, że wierzę i jestem tym samym usprawiedliwiony. Jeśli wierzę i poznaję, że Jezus jest Chrystusem, to muszę dać się ochrzcić. Również inne sakramenty są do zbawienia konieczne. Przyjmowanie Eucharystii, ofiary Chrystusa, jest dla naszego zbawienia konieczne. Kapłaństwo jest czymś fundamentalnym dla Kościoła. Małżeństwo, podobnie, nie jest tylko instytucją prawa ludzkiego i nie zawiera się go w oparciu o decyzje ludzi, ale jest sakramentem. Tak samo trzeba jasno powiedzieć, że Kościół katolicki nie może przyjmować tych wszystkich fałszywych założeń, które wynikają z luterskiej nauki o usprawiedliwieniu. Trzeba pamiętać, że to zawsze Bóg jest inicjatorem, to On jest jedynym źródłem łaski. Jednak w katolickim rozumieniu ważne jest dodanie, że do osiągnięcia zbawienia ważne są też dobre uczynki. Według wiary dobre uczynki automatycznie wyrastały z wiary, były jej prostym następstwem. My katolicy mówimy: nie, dobre uczynki nie są prostym skutkiem wiary, nie są jak owoce wyrastające organicznie z drzewa. Pojawiają się, bo ich chcemy. [...] Musimy uświęcić naszą wolę, musi ona być kształtowana przez miłość” – wskazuje kardynał.

Nic dodać, nic ująć. Tyle że wśród protestantów mamy różne rozumienia wiary i zdecydowanie nie wszystkie wpisują się w paradygmat liberalnej czy świeckiej kultury, czy tym bardziej oddzielają wiarę od moralności. Nurt uświęceniowy – którego

korzeni można szukać także w niemieckich nurtach odrodzenia luteranckiego i w angielskim metodyzmie – ale który sukcesy święci w Ameryce Północnej, ściśle ze sobą wiąże obie te sprawy i w tej kwestii bliski jest katolicyzmowi. Jeszcze inaczej kwestia ta wygląda w nurtach zielonoświątkowych,

W kwestiach teologicznych i teoretycznych myśli kardynała jest ostra jak brzytwa. Jasno wskazuje, dlaczego mężczyzna o trwale zakorzenionej skłonności homoseksualnej nie może zostać kapłanem

a jeśli coś jest obecnie zagrożeniem dla Kościoła na świecie (ciekawe, że rzeczywiście Niemcy są od niego w zasadzie wolne) to błyskawiczna ekspansja ruchów pentekostalnych różnych etapów i nurtów na całym świecie, odciąganie od Kościoła katolickiego wiernych, a także pentekostalizacja samego katolicyzmu. Te zjawiska są realnym zagrożeniem dla przyszłości Kościoła, ale skupiony na teologicznych problemach z Lutrem i sprawami wewnątrzniemieckimi kardynał zdaje się ich nie zauważać.

HOMOLOBBY? JAKIE HOMOLOBBY?!

Identyczny brak dostrzegania praktycznych problemów widać w kwestii podejścia do problemu homoseksualizmu. W kwestiach teologicznych i teoretycznych myśli kardynała jest ostra jak brzytwa. Jasno wskazuje on więc, dlaczego mężczyzna o trwale zakorzenionej skłonności homoseksualnej nie może zostać kapłanem, dlaczego jest on niezdolny do celibatu i dlaczego jeśli nawet został wyświęcony, to po ujawnieniu jego relacji z innym mężczyzną/innymi mężczyznami powinien on zostać usunięty ze stanu kapłańskiego. Tu myśl kardynała jest precyzyjna do bólu i jasna.

„Homoseksualista nie może być księdzem, bo nie wyrzeka się małżeństwa. Z natury rzeczy nie może wyrzec się małżeństwa, bo zgodnie ze swoimi skłonnościami go nie chce. Dlatego jeśli u kogoś występuje wyraźna i stała tendencja homoseksualna, nie może zostać księ-

dzem. To jest nieusuwalna przeszkoda do wyświęcenia. Ten zakaz wynika z samego sensu powołania. Ksiądz ma być ojcem [...]. W działaniu kapłana musi być widoczne jego duchowe ojcostwo [...]. W takiej roli nie może występować, co oczywiste, aktywny homoseksualista” – wskazuje kard. Müller.

Gdy jednak Paweł Lisicki pyta go o homofilię, precyzja myślenia znika, a kardynał zaczyna opowiadać, że on nie o mafii nie wie, że tym powinna zająć się policja watykańska, w ogóle, to nie wyobraża sobie, by jakkolwiek prefekt watykańskiej kongregacji mógł wspierać karierę drugiej osoby tylko dlatego, że jest ona homoseksualistą. „Zakładam, że prefekt kongregacji będzie się trzymał przepisów kościelnych” – przekonuje. To oczywiście piękne słowa, ale... dowodzą one albo całkowitej naiwności kardynała, albo ślepoty na fakty, o których informują włoskie, niemieckie i amerykańskie media. Walka z pedofilią i homoseksualnymi skandalami – i nie jest to żadna tajemnica – trwała tak długo także dlatego, że ktoś w Watykanie blokował informacje, niszczył dokumenty itd. Tak się też składa, że jeszcze za prefektury kard. Müllera włoska żandarmeria wyprowadzała z innej dykasterii sekretarza jej prefekta, który organizował w budynkach watykańskich gejowskie orgietki i przemyczał na nie narkotyki, a w samej kongregacji Nauki Wiary pracował ks. Krzysztof Charamsa. Można oczywiście przekonywać, że „Watykan to nie mała grupa ludzi” i że „ludzie się tam wzajemnie nie znają”, ale rozumiem, że ci sami ludzie czytają gazety. I są w stanie wyciągnąć z nich wnioski.

Jednak dość narzekania. Wywiad rzeka „Chrystus jest zawsze nowoczesny”, mimo wszystkich tych polemicznych akcentów czy braków, trzeba przeczytać. W wielu kwestiach kard. Müller precyzyjnie i ostro stawia problemy, świetnie je analizuje, a jeśli chce się zrozumieć niemiecki Kościół (a to jego hierarchowie w tej chwili są jednym z głównym rozgrywających w Watykanie), to książka ta jest wręcz niezbędna. I tylko żal, że kardynał nie chce czasem wyciągać wniosków z własnych słów i cofa się przed wskazaniem, jaka powinna być odpowiedź na problemy, które sam diagnozuje. Na te pytania każdy musi odpowiedzieć sobie sam, ale żeby to zrobić, warto skonfrontować się z precyzją byłego już prefekta Kongregacji Nauki Wiary.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 27
SIERPNIA
2018

DWUNASTY ODCINEK SERII

**Jeden przeciw 150. Tak walczyli
husarze Marcina Kazanowskiego.
Bitwa pod Mohylewem.**

ZWYCIĘZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIĘZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH
„ZWYCIĘZCY”



Polska Grupa
Energetyczna

Dlaczego tak późno?



Sławomir Cenckiewicz

Kościelna rewolucja pożera własne dzieci i książka Pawła Lisickiego jest na to najlepszym dowodem

Gdyby ta książka ukazała się jakieś 20 lat temu... Powiedziałbym wówczas, że jest istotnym wydarzeniem, a może i przełomem, bo wiele zawartych w niej bolesnych diagnoz współczesności i kondycji Ko-

ścioła stoi w sprzeczności z optymizmem posoborowych papieży zapewniających nas nieustannie o postępującej „wiośnie Kościoła”. Postępujący w zastraszającym tempie kryzys, a może i otwarte zerwanie z tym wszystkim, czego święty Kościół katolicki nauczał aż do Soboru Watykańskiego II, dotyka dzisiaj samego szczytu hierarchii Kościoła. Kapłan występuje przeciwko kapłanowi; zakonnik przeciwko zakonnikowi; kardynał przeciwko kardynałowi i papież przeciwko swoim poprzednikom. Wszystko stanęło na głowie do tego stopnia, że wyraźne różnice doktrynalne dzielą już nie tylko kościelnych „tradycjonalistów” i „libera-

łów”, lecz także gorliwych zwolenników Vaticanum II i posoborowego „aggiornamento”. Tak kościelna rewolucja pożera własne dzieci, a recenzowana książka jest tego najlepszym świadectwem.

ŹRÓDŁA KRYZYSU

Oczywiście dla kogoś, kto od wielu lat śledzi działalność kard. Gerharda Müllera, zna jego niektóre poglądy teologiczne, krytykę katolickich tradycjonalistów za przywiązanie do dawnego rytu mszy św., a nawet osobistą walkę z Bractwem Kapłańskim św. Piusa X (założonym przez abp. Marcela Lefebvre’a) w okresie regensburdzkim, niektóre wypowiedzi

sam jak inni. Zniesiono w ogóle dyscyplinę i wyraźne reguły opisujące życie kapłana, zakonników. Chodziło o to, by zlikwidować wszystkie zewnętrzne znaki wskazujące na osobne posłanie księdza. Towarzyszyło temu zaniedbanie liturgii. Za wszelką cenę chciano ją uatrakcyjnić, miała być czymś przyjemnym, a księża mieli się o ten nowy styl troszczyć. Wtedy w wielu kościołach zniknęły normalne kazania, podobnie księża przebrali się, występowali jak aktorzy, byle tylko upodobnić świątynie do przestrzeni świeckiej. Do liturgii chciano przyciągnąć ludzi, wprowadzając do niej coraz więcej elementów rozrywkowych, zabawowych. Zniknęło przekonanie, że liturgia ma umożliwić głębokie spotkanie z Bogiem, w czasie którego pojedynczy człowiek łączy swe życie z ofiarą Chrystusa. W ogóle nikt nie chciał słyszeć o ofierze, zamiast tego dominował zachwyt wspólną mieszczańską egzystencją”.

Jednak cechą charakterystyczną takich świadectw kard. Müllera jest całkowita rezygnacja ze wskazania prawdziwych przyczyn i winnych takiego stanu rzeczy! Opisany w ten sposób kryzys ma – według kardynała – być przede wszystkim kryzysem tożsamości europejskiej, cywilizacyjnej, państwowej i filozoficznej drugiej połowy XX w., korzeniami sięgający rewolucji Marcina Lutra, która niejako z zewnątrz szturmowała Kościół i zainfekowała go swoimi błędami pomimo „trwania przy katolickiej tradycji i zasadach” posoborowych papieży. Nic bardziej mylnego, bo kryzys Kościoła – poza wszystkim innym – jest również kryzysem hierarchii, nie wyłączając z niego odpowiedzialności i postawy samych papieży inicjujących fałszywą wolność religijną, promulgujących sprostestantyzowaną liturgię, realizujących konkretną politykę personalną, propagujących fałszywy ekumenizm, w którym już nikt nie mówi o obiektywnej prawdzie o Chrystusie jedynym Zbawicielu Świata i drodze powrotu zabłąkanych owiec do Kościoła katolickiego. W tym kontekście literacka figura Łodzi – w domyśle Piotrowej – która chybotze się pod wpływem zalewającego ją brudu, jest najlepszą formą opisu tego katastrofalnego stanu rzeczy. Jej autorem był sam Benedykt XVI, który niemal dzień przed swoim papieskim wyborem, napisał w rozważaniu wielkopiątkowym: „Panie, tak często Twój Kościół przypomina tonącą łódź, łódź, która nabiera wody ze wszystkich stron. Także

na Twoim polu widzimy więcej kłóli niż zboża. Przeraza nas brud na szacie i obliczu Twego Kościoła. Ale to my sami je zbrukaliśmy! To my zdradzamy Cię za każdym razem, po wszystkich wielkich słowach i szumnych gestach. Zmiłuj się nad Twoim Kościołem”.

Kardynał Müller, który jest przecież uczniem Benedykta XVI, jakby tego wszystkiego nie rozumie i nie zauważa. Im bardziej trafna diagnoza kryzysu w Kościele, tym bardziej pozbawiona konkretów i winnych nadużyć. Ktoś w łonie katolicyzmu kwestionuje sens istnienia Kościoła, kapłaństwa i hierarchii, potrzebę życia sakramentalnego, istnienie piekła, osobowego zła, jakim jest Szatan, nierozzerwalności małżeństwa, autentyczności Pisma Świętego... No właśnie, ktoś! I czytając to wszystko, wciąż nie wiemy kto! Nawet wtedy, kiedy prowadzący rozmowę z kardynałem Paweł Lisicki cytuje konkretną dwuznaczną wypowiedź papieża czy biskupa (tak jak w przypadku kard. Reinharda Marxa o homoseksualistach), Müller w charakterystyczny dla siebie sposób unika jednoznaczności, mówiąc o nowym sensie, jaki tym konkretnym wypowiedziom nadali dziennikarze (sic!).

KWESTIA PAPIESTWA

Ten sposób dyskusji o Kościele dobrze ukazuje chociażby sprawa fałszywego ekumenizmu, który Müller słusznie piętnuje, odwołując się chociażby do przykładu zagrożeń, które katolikom niesie protestancka doktryna o usprawiedliwieniu. Kardynał jak gdyby ignoruje niezliczone przykłady konkretnych inicjatyw, odpowiedzialnych za to konkretnych ludzi, doktrynalnych ustaleń, deklaracji i spotkań luteranско-katolickich i wbrew temu wszystkiemu oznajmia, że pierwszą ofiarą ekumenizmu jest prawda, zaś „ci, którzy nie znajdują się w pełnej jedności z Kościołem, z episkopatem, z papieżem na czele”, powinni „przystąpić do pełnej wspólnoty”. Problem polega na tym, że doktrynalna teoria (choćby soborowy dekret o ekumenizmie czy wielokrotnie akcentowany w dokumentach pogląd o tzw. Kościołach siostrzanych) i praktyka ekumenizmu w Kościele (przykład spotkań międzyreligijnych w Asyżu z udziałem papieży) od blisko 50 lat kompletnie temu przeczy! Müller wskazał w tym kontekście na jeden konkretny przykład – o którym nie miałem do tej pory

byłego prefekta Kongregacji Nauki Wiary budzą pozytywne zdziwienie. Opis sytuacji w seminarium duchownym przełomu lat 60. i 70., która jest jakby żywcem przeniesiona z tradycjonalistycznych czasopism: „Wtedy w Kościele, zamiast dokonać prawdziwej odnowy w oparciu o Chrystusa, postanowiono unikać tych punktów spornych, które były źródłem tarcia ze światem. To Chrystus zawsze jest w tym sensie nowoczesny, że jest Alfa i Omega, jest tym, który jest też źródłem odnowy, prawdziwej nowości. Uznano, że ksiądz, kiedy pojawia się publicznie, nie powinien różnić się strojem od świeckich, bo trzeba podkreślić, że jest dokładnie taki

FOT. MAX ROSS/REUTERS/Forum

pojęcia, świadczący o tym, że kryterium wiary jest imperatywem działania Stolicy Świętej. Są nią dyplomacja i PR Watykanu! Otóż od 1965 r. „wszystkie dokumenty Kongregacji [Nauki Wiary], także te, które dotyczą nauki wiary i moralności, muszą uzyskać zgodę sekretariatu stanu. Ba, nawet już po otrzymaniu zgody papieskiej potrzebne jest placet sekretariatu! [...] Nie wolno nam uzależniać wyznawania wiary od politycznych nacisków. To tak, jakby pierwsi chrześcijanie, zanim sformułowali swoją wiarę, prosili o aprobatę Tyberiusza, Trajana albo innego cesarza rzymskiego. Co powie Trajan, jeśli my jako chrześcijanie utrzymujemy taką, a nie inną naukę? Co zrobimy, jak nam zarzuci, że składamy w ofierze dzieci, co zrobić, żeby uniknąć tego fałszywego wrażenia? A może należało się wstrzymać z udzielaniem Eucharystii, bo poganie tego nie rozumieli i mogli opacznie pojmować i w związku z tym atakować Kościół? Ile czasu mieliby czekać, zanim udałoby się pokonać nieporozumienia?”.

I właśnie kwestia papieństwa i oceny posoborowych papieży wydaje się najistotniejsza w całej książce. Kardynał Müller słusznie przypomina, że „papież jest sługą, pierwszym sługą”, którego podstawowym zadaniem „jest zachowywanie nieuszczonej, pełnej wiary, dokładnie takiej, jaka została przekazana apostołom”. Jednak w kontrze do swoich rozważań stawia jakby jedynie papieża Franciszka, tak jakby nie zauważył, że jego pontyfikat jest konsekwencją wcześniejszych. Kardynał nie ukrywa, że zrobił mu przykrość, odwołując z funkcji prefekta Kongregacji Nauki Wiary bez podania przyczyn (miało to stać w sprzeczności z „zasadami katolickiej nauki społecznej”). Müller zarzuca papieżowi nieprzejrzystość i niejasność głoszonych poglądów (tak jak w przypadku „Amoris laetitia”), za które chwali go „wszyscy liberałowie i media”, „nawet zwolennicy aborcji, wolnomularze i ci wszyscy, którzy przedtem nienawidzili i zwalczyli Kościół”.

„Nastąpiła niespodziana zmiana – pisze Müller – do Franciszka zaczęli się przyznawać ci, którzy przedtem atakowali katolicyzm. Charakterystycznym przypadkiem były wywiady z Eugenio Scalfarim, naszym ateistą Włoch, który od lat głosi hasło dechrystianizacji Włoch. To niezwykle wpływowa postać, był długie lata redaktorem naczelnym »L'Espresso«, założycielem i redaktorem naczelnym jednej z najbardziej zna-

nych włoskich gazet »La Repubblica«, w 1976 r. Kierował nią dwadzieścia lat. Nagle został on najważniejszym partnerem do rozmów z papieżem, przeprowadził z nim kilka wywiadów i uważa się za jego przyjaciela. Ciekawe jednak, że nadal nie chce on nic wiedzieć i słyszeć o Bogu”. I dalej: „W rozmowach z ateistami, tak jak ze Scalfarim, nie może chodzić o to, żeby on powiedział: »Tak po ludzku patrząc, jesteście mili, sympatyczni«, żeby nas chwalił. Chodzi o to, żeby jemu wyświadczyć przysługę, żeby złożyć przed nim świadectwo: »Masz teraz 93 lata, wkrótce staniesz przed

Dlaczego kard. Müller nie przeciwstawił się kościelnej rewolucji relatywizmu, kiedy jeszcze był prefektem Kongregacji Nauki i Wiary?

swoim wiecznym Sędzią i to ostatnie chwile, żeby się na to przygotować». To jest postawa katolicka. Natomiast nie można mówić: »Czy jesteś ateistą, czy nie, macham na to ręką, bylebyś mnie chwalił«. Nie”.

PROBLEM „AMORIS LAETITIA”

W przypadku „Amoris laetitia” kard. Müller jest równie surowy wobec Franciszka, chwalać przy tym jego krytyków, którzy – tak jak grupa kardynałów – postanowili wystąpić do papieża z żądaniem jasnej deklaracji w sprawie nierozzerwalności małżeństwa i stosunku do homoseksualistów. „To jest uprawniona deklaracja – czytamy. – Pojawia się ona dlatego, że w »Amoris laetitia« nie udało się pokazać tego właściwego stosunku między treścią doktryny katolickiej a jej aplikacją do poszczególnych przypadków, między zasadą a duszpasterstwem i troską o dotarcie do różnych osób. Na tym polega prawdziwy problem. Nauka i doktryna są słuszne, ale sformułowania brzmią tak, jakby ludzie mogli sobie sami ustalać doktrynę. Dlatego mówię, że »Amoris laetitia« nie udało się przedstawić tej relacji między doktryną a jej zastosowaniem do poszczególnych przypadków we właściwy sposób. Te dwa podejścia – doktrynalne i duszpasterskie – są obok siebie, występują równolegle.

A przecież w przypadku grzechu mamy do czynienia z raną, którą należy zaszyć. Tymczasem brakuje nici, która związałaby ze sobą obie części rozdartej rany. Nie można powiedzieć: »Jestem po jednej albo po drugiej stronie«. Wielka sztuka prawdziwego lekarza polega na tym, aby umieć zszyć dwie strony rozdartej rany. Jednak tego właśnie »Amoris laetitia« się nie udało. Można by było to osiągnąć jedynie wówczas, gdyby tekst został przygotowany przez lepszych teologów”.

Mój ulubiony pisarz polityczny Stanisław Cat-Mackiewicz zatytułował jedną ze swoich książek – „Książka moich rozczarowań”. Kiedy pochylałem się nad lekturą wywiadu rzeki Pawła Lisickiego z kard. Gerhardem Müllerem, przyszedł mi na myśl właśnie ten tytuł, bo ta książka nie jest głosem „tradycjonalisty”, który doszedł do wniosku, że ostatnie 50 lat „reform” doprowadziły Kościół do ruiny i upadku, a miliony katolików na manowce wiary. Jest raczej głosem osobieście dotkniętego kurialisty, rozgoryczonego i zaniepokojonego praktyką sprawowania urzędu papieskiego przez Franciszka, dla którego „atmosfera duszpasterska” i pokłask mediów są ważniejsze niż jakakolwiek dyscyplina, porządek rzeczy i powierzony mu Depozyt Wiary.

Całość pozostałych intelektualnych rozważań kard. Müllera na temat potężnego kryzysu cywilizacji, Kościoła, człowieczeństwa pogrążonego w egoizmie i „materialnych rozkoszach” nie odbiega od innych krytycznych analiz współczesnej kultury na czele z „Raportem o stanie wiary” z 1985 r. Szkoda, że kard. Müller wdał się w obronę Vaticanum II, posoborowej liturgii i wątpliwych pod względem prawowierności teologów w rodzaju Hansa Ursa von Balthasara, Karla Rahnera, Henri de Lubaca czy protestanta Dietricha Bonhoeffera.

To oczywiste wady. Nie zmieniają one jednak prostego faktu, jednego, który daje pewną nadzieję: obecna analiza sytuacji Kościoła, dialogu międzyreligijnego czy ekumenizmu jest w wielu aspektach bliska krytyce tradycjonalistów. Dlatego tym bardziej trzeba sobie zadać pytanie, dlaczego kard. Müller doszedł do tych wniosków tak późno? I dlaczego nie wyciągnął ze swoich też praktycznych konsekwencji, publicznie przeciwstawiając się kościelnej rewolucji relatywizmu, kiedy jeszcze był prefektem Kongregacji Nauki Wiary?

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NIEZAPOMNIANY KONCERT

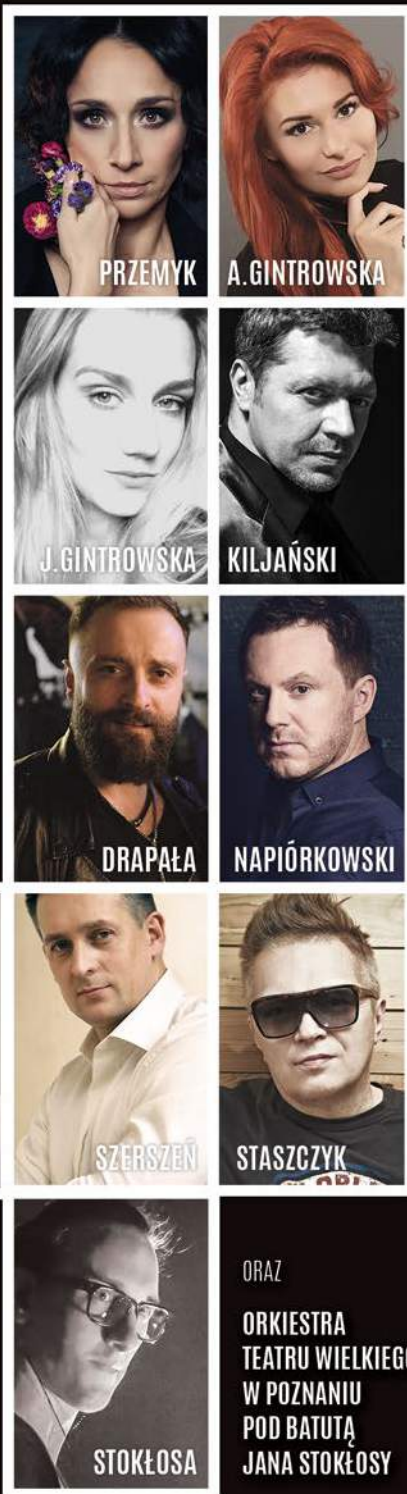
Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...
2018 rokiem Zbigniewa Herberta

12 WRZEŚNIA
POZNAŃ
GODZ. 20.00

TEATR WIELKI IM. STANISŁAWA MONIUSZKI

BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY: BILETY24.PL

ORAZ W KASACH TEATRU PRZY UL. FREDRY 9
KASY/REZERWACJA TEL. 61 65 90 231



PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

niepodległa

POLSKA
KULTURA
ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

MECENAS KONCERTU



eprasa.pl 8d37ba74d1

PARTNERZY



PATRONI MEDIALNI

wprost

szczęść

TVP

ELOS
WIELKOPOLSKO



Bank Polski

WSPÓŁORGANIZATOR



Kartoflana śmierć



„Irlandzka rodzina odkrywa zarazę w kopcu ziemniaków”, obraz Daniela MacDonalda z 1847 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Semka

Wielki głód sprzed 160 lat jest obok bratobójczych wojen najboleńszą traumą Irlandczyków

Saint Stephen's Green Shopping Center to w Dublinie odpowiednik paryskiej Galeries Lafayette i nieco uboższa wersja londyńskiego Harrodsa. Wielopiętrowy dom towarowy z epoki wiktoriańskiej pełny jest dziś luksusowych butików i sklepów z wyszukaną żywnością. I właśnie w tym miejscu Irlandzkie Muzeum Emigracji umieściło wystawę o wielkim głodzie w Irlandii

w latach 1845–1852. Wystawa o głodzie w świątyni konsumpcji? Wybór zaskakujący, ale mający głębszy sens.

Dzisiejsza Irlandia to kraj bogaty i gwałtownie laicyzujący się. Jednak pokolenie dziadków dzisiejszych dorosłych Irlandczyków żyło jeszcze wśród trwoźnego lęku przed nawrotem nieurodzaju. W Europie tylko Ukraina ze swoim stalinowskim Hołodomorem z lat 1932–1933 ma porów-

nywalny, tragiczny epizod w swoich dziejach. Tragedii, która pochłonęła 1,3 mln ofiar, a do opuszczenia ojczyzny zmusiła 1,2 mln ludzi. W Polsce o tym doświadczeniu Zielonej Wyspy wiemy niezbyt wiele.

BEZ PAMIĄTEK

Stary, ponad 160-letni wiejski wózek do przewożenia trumien to jeden z niewielu materialnych eksponatów z głodowej epoki. Reszta to ówczesne gazety, nieliczne pierwsze zdjęcia z życia irlandzkiej wsi, wreszcie szkice i obrazy.

Z masowymi tragediami jest tak, że nie ma po nich wiele śladów. Są jeszcze kości. Najwięcej ofiar – 9–10 tys. – spoczywa na wielkim cmentarzu głodowym

w Abbeystrewery w hrabstwie Cork. Jednak muzealnicy irlandzcy odnajdują wciąż na terenie całej Irlandii groby zbiorowe z epoki głodu – zazwyczaj koło szpitali i „warsztatów pracy”, tworzonych przez władze dla najniższych warstw.

Władze brytyjskie niekiedy nie uznawały za istotne oznaczanie grobów nędzarzy, których wykończył głód i wynikające z niedożywienia choroby.

Wystawa zaczyna się od wyjaśnienia statusu Irlandii w obrębie korony brytyjskiej i sytuacji ludności wiejskiej. Od 1801 r., wskutek tzw. unii realnej, wyspa była formalnie równoprawną częścią Zjednoczonego Królestwa. Faktycznie pełnię obywatelstwa i własność ziemi mieli na wyspie tylko Anglicy, Szkoci i Irlandczycy, którzy przyjęli protestantyzm. Katolickie doły były wydziedziczone z ziemi.

Protestanci po zwycięskiej bitwie pod Boyne w 1690 r. ostatecznie zdobyli dla siebie Irlandię i wygnali za granicę resztkę katolickiej szlachty. Wojujący oranżyści uznawali siebie za Nowy Izrael, a katolicką ludność za nowe narody Kanaanu skazane na wyniszczenie i służbę wyznawcom prawdziwej wiary. Ziemia została podzielona między Anglików i Szkotów, a irlandzcy katolicy chłopci mogli jedynie ją dzierżawić. Ich domy były własnością ich panów – „landlordów” – i gdy nie wypełniali dostaw, mogli w każdej chwili zostać w asyście policji wysiedleni ze swych nędznych chałup.

Dlatego każdy nieurodzaj ściągał na irlandzkich „tenant farmers” groźbę wysiedlenia z własnej ziemi i swych domostw.

Nigdzie na Wyspach Brytyjskich nie było aż takiej przepaści między elegancją szachtą a ubranymi w nędzne łachmany chłopami. Zarzewiem nieszczęścia było też nastawienie protestanckich właścicieli ziemskich do katolickich dzierżawców i robotników rolnych. Kpiono z ich wielodzietności, lenistwa i „papistowskiego zacołowania”. Na wystawie można zobaczyć rysunek z londyńskiego satyrycznego pisma „Punch” na temat „irlandzkiego Frankensteina” – kpina z dzikich i leniwych Irlandczyków.

Staję przed wielkim zdjęciem słynnego lorda Palmerstona, właściciela ogromnych dóbr w jednym z irlandzkich hrabstw – z szanownego wiktoriańskiego dagerotypu spogląda na mnie jeden

z wielu „Absentee Landlord”. Około jednej trzeciej właścicieli ziemskich w Irlandii mieszkało w Anglii lub Szkocji i rządziło za pomocą rządców. A ci unikali inwestycji, za to wyciskali z chłopów tyle płodów rolnych, ile się tylko dało. Do pana włości nie można było się odwołać, bo był daleko. Wyzysk kolonialny w najczystszej postaci.

CZARNA ŚMIERĆ

Phytophthora infestans – taką nazwę nosi szczerp pasożyta grzybowego, który oznaczał wyrok śmierci dla ponad miliona ludzi. Naukowcy zdołali wyizolować próbki jego DNA dopiero w 2013 r., korzystając z próbek zarazy kartoflanej pozostałych na zachowanych w muzeach liściach ziemniaków porażonych chorobą. Do Irlandii pasożyt został przywleczony na statkach płynących ze Stanów Zjednoczonych. Nikt wtedy nie znał się jeszcze na zasadach epidemiologii i zepsute ziemniaki z amerykańskich statków beztrudno wyrzucono na portowe śmietniska. Stamtąd zaraza ruszyła na kartofliska w głębi kraju. Dla kraju, w których ludność chłopska żywiła się głównie ziemniakami, była to katastrofa.

Poplamione ciemną zarazą liście kartoflane były dla irlandzkich chłopów znakiem nadchodzącego koszmaru. Skopcowane już ziemniaki atakowała biała pleśń, przypominająca z wyglądu grzybniak. Irlandzki malarz Daniel MacDonald (1820–1853) uwiecznił po-

ruszającą scenę. Oto irlandzki gospodarz odstawia kopiec ziemniaków – jedyną nadzieję na przetrwanie zimy. Z szeroko otwartymi z przerażenia oczami dostrzega białe oznaki zarazy. Załamana żona chowa twarz w spódnicę, a dzieci jeszcze nie rozumieją, dlaczego rodzice zamarli w niemym przerażeniu. Co ciekawe, ten obraz zawisł w jednej z londyńskich galerii w 1847 r. – apogeum katastrofy – ale nie zdobył większego rozgłosu.

W 1846 r. przyszła jeszcze gorsza fala zarazy. Tym razem objęła ona 75 proc. upraw ziemniaka. Zabrakło już niezarażonych sadzeniaków i spirala koszmaru rozkręcała się jeszcze mocniej. Pewną pomocą był program prac publicznych przy budowie dróg, który miał zatrudnić pewną liczbę „ludzi zbędnych”. Pomoc z Londynu była jednak niewystarczająca, na zbyt małą skalę, i pozbawiona dłuższego horyzontu czasowego. O ile brytyjski premier Robert Peel (rządził w latach 1841–1846) traktował klęskę z powagą, o tyle jego następca, skrajny liberał i leseferysta John Russell (premier w latach 1846–1852), uważał, że Irlandia musi sama sobie radzić z klęską. Russell, a wraz z nim sekretarz skarbu Charles Wood (1800–1885) nie kryli, że uważają irlandzkich chłopów za winnych niezadorności i nieodpowiedzialności.

Jeszcze bardziej bezduszne były poglądy asystenta Wooda w sekretariacie skarbu Charlesa Edwarda Travelyana (1807–1886), który uważał irlandzki głód za karę Boga i dobry sposób, aby zredukować zbyt dużą jego zdaniem populację Irlandii.

Na domiar złego w 1848 r., pod wpływem zapału Wiosny Ludów, rewolucyjna organizacja Młoda Irlandia spróbowała wykorzystać sytuację do wszczęcia powstania zbrojnego. Amatorsko zorganizowaną insurekcję Anglicy zmiażdżyli, ale kolejny „bunt papistów” znów nastawił sporą część brytyjskiej opinii publicznej przeciw Irlandii.

Głód w największym stopniu objął najmniej urodzajne tereny zachodnie i południowo-zachodnie. Wschód wyspy z lepszymi ziemiemi Anglicy i Szkoci zebrali między siebie już w końcu XVII w. Epidemia cholery dziesiątkowała dzieci i dorosłych.

W rozpaczliwej sytuacji setki tysięcy rodzin zdecydowało się na emigrację, co władze brytyjskie po cichu wspierały – zadowolone, że liczba ludności katolickiej będzie spadać.



„Bridget O'Donnel i jej dwoje dzieci w czasie głodu w Irlandii” – sztych z „Illustrated London News” z 1849 r. FOT. WIKIPEDIA



Pomnik ofiar wielkiego głodu w Dublinie. FOT. FOTOLIA

■ Czy po brytyjskiej stronie nie było ludzi sumienia w tym koszmarze? Byli. I wystawa ich sprawiedliwie wylicza. To ludzie organizujący pomoc rządową, choćby przez lansowanie uprawy kukurydzy uważanej za odporną na zarazy. O pomoc dla Irlandii apelował papież Pius IX. Bardzo ofiarni byli Irlandczycy z USA.

Piękną kartę wzniesienia się ponad podziały konfesyjne zapisali kwakrzy i anglikańskie organizacje charytatywne, których przedstawiciele jeździli do Irlandii i porażeni skalą tragedii bili na alarm tam, gdzie mogli. Sama królowa Wiktorja złożyła donacje 2 tys. funtów. Władczynię z Londynu szybko zawstydził sułtan Turcji Abdülmecid, który zaproponował Wielkiej Brytanii pomoc dla ofiar głodu w wysokości 10 tys. funtów. Rząd brytyjski przyjął z tej oferty tylko 2 tys., nie chcąc, by pomoc islamskiego władcy przewyższyła datek królowej.

Wystawę kończy wyraziste zestawienie. Od 1845 do 1852 r. rząd brytyjski

wydał na pomoc ofiarom głodu 7 mln funtów. Na utrzymanie sił wojskowych i policyjnych w Irlandii wydano w tym samym czasie 10 mln. A koszt brytyjskich operacji w wojnie krymskiej w latach 1853–1856 wyniósł 70 mln funtów.

ZBRODNIA BEZ KARY

Po obejrzeniu wystawy polskiemu widzowi znów narzucają się porównania z głodem na Ukrainie. Mimo wszystko był on tragiczniejszy. W Irlandii skala ofiar głodu była efektem polityki obojętnej lub niechętnej Irlandczykom maszyny kolonialno-feudalnego podporządkowania kraju. Jednak gdy już tragedia dotarła do świadomości rządu – mimo zaniechań i bezdusznych poglądów skrajnych liberałów – nie zabraniano organizacjom chrześcijańskim, czynnikom zagranicznym czy pojedynczym ludziom sumienia spieścić z pomocą. Na sowieckiej Ukrainie w latach 30. głód był oficjalną tajemni-

cą. Samo bicie na alarm i propagowanie akcji ratunkowej uważane były za działania kontrrewolucyjne i z zajądłością było ścigane.

A jednak są i podobieństwa. Zasobny Dublin z połowy XIX w., ze sklepami i z targowiskami pełnymi najlepszej żywności, chroniony przez policję, by nędzarze nie zalali ulic miasta, przywodzi na myśl Kijów z lat 1932–1934, gdzie zagraniczni goście mogli oglądać na witrynach wybranych sklepów bogactwo towarów a NKWD pilnowało, by ludzkie cieniem z terenów objętych głodem nie wśliznęły się do największych miast ZSRS.

Europa do dziś niewiele wie o irlandzkim głodzie. Nie przypominam sobie jakichś obchodów rocznicowych pod patronatem Parlamentu Europejskiego.

W Dublinie są za to dwa pomniki ku czci ofiar tragedii – jeden w nieodległym Saint Stephen's Park, a drugi w portowej dzielnicy miasta.

W Belfaście obejrzyć można murale o odpowiedzialności Brytyjczyków za głód. Teza, że Londyn zaplanował z zimną premedytacją operację głodową dla złamania niepodległościowych aspiracji Irlandczyków, do dziś jest jednym z dogmatów radykałów z IRA.

Bardziej odpowiada prawdzie to, że wielki głód był wynikiem fatalnego zbiegu okoliczności, na który nałożyła się zimna logika imperialnej władzy. Dużą rolę odegrał też lodowaty emocjonalnie typ mentalności protestanckiej. O głębszej refleksji nad tym ciemnym obliczem reformacji nie usłyszeliśmy zbyt wiele przy okazji niedawnych obchodów 500-lecia wystąpienia Marcina Lutra.

Jednak są i tacy, którzy wskazują, że bez masowej emigracji do Ameryki irlandzki ruch niepodległościowy nie miałby tak silnej bazy organizacyjnej dla późniejszych liderów walk o wolność. Choćby Toma Clarke'a, jednego z przywódców powstania wielkanocnego w Dublinie w 1916 r. czy urodzonego w Nowym Jorku Éamona de Valery, pierwszego prezydenta niepodległej Republiki Irlandzkiej. To oni byli mścicielami ofiar wielkiego głodu. I to ich potomkowi czczą dzisiaj ofiary tego horroru.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Irlandzki głód” czynna będzie w St. Stephen's Green Shopping Center w Dublinie do 30 września. Szczegóły na: www.theirishpotatofamine.com.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ratunek przed zdziwaczeniem

Nie wiem, jak inni panowie mieszkający z paniami, ale ja co jakiś czas muszę likwidować gniazda torebek. Najpierw po cichutku, gdzieś w kącie pojawia się pierwsza, potem druga, a wreszcie z torebek tworzy się swego rodzaju kopiec, który rozlewa się na pół dużego pokoju. A jak kiedyś zauważyła moja córka, nasz „duży pokój wcale nie jest duży”, więc toreбки stanowią istotne zagrożenie dla naszej przestrzeni życiowej.

Podobnie dzieje się z butami. Niby jest strefa, w której powinny przebywać damskie buty, ale krok po kroczku jest ona rozszerzana, aż wreszcie buty mojej żony zadeptują buty z mojej żony – że pozwolę sobie na taką słowną ekwilibrystykę.

Broń Boże, nie chcę przez to powiedzieć, że kobiety są bałaganiarzami. Ja oczywiście też bałaganię – na swój sposób. Za pomocą porzucanych w niewłaściwym miejscu skarpetek (ohyda!) czy paczki z kasetami VHS, która od jakichś siedmiu lat cierpliwie czeka na wyrzucenie. Spokojnie, wyrzucę ją razem z płytami DVD, kiedy też wyjdą z użycia.

Cchodzi mi o inną kwestię. A mianowicie o to, w jak różny sposób korzystamy z przedmiotów, które do nas należą. My, czyli płci. Otóż jest tak, że jak ja kupuję jakiś nowy ciuch, to wkładam go do szafy, gdzie długimi miesiącami może czekać aż los – czyli ja – się do niego uśmiechnie. Kiedy w końcu go zakładam, moja żona

cieszy się: „O, nowa koszula”. A kiedy się dowiaduje, że mam ją już od roku, patrzy na mnie jak na wariata.

Bo kiedy ona coś kupuje, natychmiast się w to ubiera. A potem korzysta z tej rzeczy, ile może. Stąd biorą się te kopce torebek. No bo jedną używa dzisiaj, drugą miała wczoraj, ale niewykluczone, że jutro do niej wróci, więc po co chować ją do szafy. Ja, i chyba większość moich kolegów, stosujemy odmienną strategię: jeśli czegoś używamy, to bardzo się do tego przyzwyczajamy. Wręcz przywiązujemy. Dlatego mam tylko jedną torbę, którą będę nosił, aż rozpadnie się na strzępy. Dopiero wtedy sięgnę po następną i zrobię to z bólem serca.

Podobnie mam (mamy?) z ulubioną kurtką, marynarką czy butami (acz uspokajam, że nie skarpetkami – i dlatego walają się tu i ówdzie po domu). Kiedy już mi coś podpasuje, kiedy poczuć się w tym komfortowo, kiedy się do siebie dopasujemy, to już nie odpuszczę. Zanoszę na śmierć. Nie będę frywolnie zmieniać, w zależności od pogody czy okazji. Męska odzież jest jak wierny pies. Przestaje służyć dopiero wtedy, gdy uleci z niej resztką życia.

I dlatego pasujemy do siebie. Ja czasem walczę z kopcami torebek, ale ona w odpowiednim momencie zwraca mi uwagę, że powinienem wyrzucić ulubioną bluzę, bo zaczyna przypominać bezdomnego. Co tu dużo gadać – ona po prostu ratuje mnie przed zdziwaczeniem. Bardzo dziękuję! ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Zamroczenie

Ring – jeden ze smutniejszych obrazów, który powraca mi w myślach – w narożniku bokser, potężne chłopisko, kompletnie ogłuszony, młóci ciosy na prawo i lewo, niezdolny nawet zlokalizować przeciwnika, który musi jedynie uważać, żeby nie nadziać się na przypadkowy cios. Przypomina to do złudzenia sytuację Platformy Obywatelskiej, która zaprzecza wielowiekowej tradycji, że w demokratycznym państwie opozycji łatwiej jest prowadzić kampanię wyborczą. Może krytykować władze, zasypy-

co obiektywny obserwator powinien chwalić. Gospodarka kwitnie, bezrobocie spada, odwrócono trend wyprzedzania majątku narodowego, poprawiono sytuację najbiedniejszych, bliscy jesteście zrealizowania naszego marzenia o bezpieczeństwie w postaci stałych baz amerykańskich... Oczywiście istnieje mnóstwo problemów, niedociągnięć, pomyłek, na czym mogłaby zbijać kapitał konstruktywna opozycja. Wskazywać punktowo przypadki złych decyzji, niekompetencji, ale to uniemożliwia sama zasada totalności. Jak można, uważając za nielegalne reformy wymiaru sprawiedliwości, atakować poszczególne elementy procedury naboru sędziów, de facto legalizując zachodzące zmiany. Jeśli uważamy kogoś za bandytę, to nie sprawdzamy, czy odpowiednio oliwi broń.

Zadziwiające, że atak prowadzony jest na polach, na których nikt rozsądny nie kłapał dziobem: „PiS wziął miliony”, „PiS działa na rzecz Putina”. Specjaliści od zgarniania miliardów znajdują się akurat po drugiej stronie, podobnie jak przyjaciele i sojusznicy Władimira Władimirowicza. Kontynuując metaforę z półprzytomnym bokserem, trener z Brukseli powinien dawno rzucić ręcznik na ring, zawołać: „Daj sobie spokój, chłopie, jedź do sanatorium, potem na urlop, zmień metody treningu i spróbuj w następnych mistrzostwach, bo teraz narażasz się najwyżej na śmieszność i wypadnięcie poza liny. ©©

Kiedy aktywiści PO próbują przejść do konkretów, jest jeszcze gorzej. Atakują PiS za to, za co obiektywny obserwator powinien chwalić

wać społeczeństwo obietnicami bez pokrycia... Opozycja totalna zlekceważyła te zasady. Jej program w praktyce ogranicza się do jednego punktu – odsunąć PiS od władzy, przy czym nie precyzuje dlaczego. Argumenty, że jest niegodziwy, łamie prawo i składa się z niewłaściwych ludzi, mogą trafić tylko do bardzo ograniczonego leminga.

Kiedy aktywiści PO próbują przejść do konkretów, jest jeszcze gorzej. Atakują PiS za to, za



PIOTR WŁOCZYK: Formacja, w której służył pan w czasie Powstania Warszawskiego, nazywana jest czasem żartobliwie koniem trojańskim. Chyba trudno o lepszą charakterystykę PWB/17?

JULIUSZ KULESA: Tak, mój oddział bez wątpienia zaczynał Powstanie Warszawskie w charakterze konia trojańskiego. Gdyby nie atak od wewnątrz w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, to przypuszczam, że powtórzyłaby się historia z PAST-ą, którą zdobyto dopiero po trzech tygodniach. Tymczasem kompleks PWPW, obsadzony przez Niemców z bronią maszynową, który z zewnątrz wyglądał jak twierdza, udało się zdobyć już drugiego dnia powstania.

była Niemcom potrzebna do przeprowadzenia ewakuacji. Tak się złożyło, że większość z tych kilkudziesięciu osób była zaprzysiężona w PWB/17 (śmiech).

Z jakiej perspektywy pan to wszystko widział?

Wraz z rodzicami byłem mieszkańcem bloku pracowników PWPW. Widziałem tych biegających szwabów, którzy odcięli nasz blok. Do powstania ochronę PWPW stanowiło kilkunastu członków Schutzpolizei – mundurowej policji niemieckiej. To oni rozstrzelali i przeprowadzali łapanie. Nagle 1 sierpnia przed Godziną „W” do PWPW podjechały ciężarówki i wysypało się ich ok. 50 ludzi z ciężką bronią maszynową. Zajęli cały gmach. Ja

nie mogli oni sobie poradzić z Niemcami. Spadał na nich tak silny ogień z okien, że nie dawali rady. Ponadto proszę pamiętać, że blok był otoczony czterometrowej wysokości parkanem. To była twierdza.

Z koniem trojańskim w środku...

To już był 2 sierpnia. Siły zewnętrzne były na tyle duże i wywierały na tyle silny nacisk na wytwórnię, że zdecydowano się na uruchomienie ataku od środka. Niemcy byli nastawieni wyłącznie na obronę przez okna wychodzące na ulicę. Tymczasem od tyłu zaczęły się na nich sypać po korytarzach granaty. Nie ma się co dziwić, że wpadli w popłoch i rzucili się do ucieczki.

Fala powstańców szybko wlała się do wytwórni, więc wczesnym popołudniem 2 sierpnia wytwórnia była już w rękach powstańców.

I tu się zaczyna pańska historia – 16-letniego chłopaka, który wcześniej nic nie miał wspólnego z bronią.

Byłem praktykantem w PWPW, rodzice bardzo się o mnie bali, uważali mnie za chłopca o wątłym zdrowiu, więc nawet nie puścili mnie do harcerstwa. Jednak jak tylko zobaczyłem, że PWPW znalazło się w rękach powstańców, od razu się zgłosiłem i zostałem żołnierzem PWB/17.

Rodzice w takim razie nie mogli być zachwyceni pańskim zapałem...

Nie byli w stanie mnie powstrzymać (śmiech). Jednak przecież sami mnie tak wychowali! Nigdy nie interesowały mnie samochody, tylko historia. Szczególnie zaś nasze powstania. W naszym domu mieliśmy wielki tom „Dziejów porozbiorowych narodu polskiego”. Rodzice mieli w domu akurat ten jeden tom z czterech, omawiający powstanie listopadowe. Jeszcze dziś mogę panu wymienić z pamięci 50 generałów tego powstania. Byłem moim książkowym wychowanym na literaturze historycznej.

Dla mnie „powstanie” było magicznym słowem. Była to jednak pewna abstrakcja, która działa się 100 lat temu. I nagle powstanie jest tu i teraz! To mi się nie mieściło w głowie – ja sam mogę teraz być powstańcem! Nie wyobrażałem sobie, że mogę się nie włączyć w ten zryw. Jak już wspominałem, byłem jedynakiem i rodzice strasznie się o mnie bali. Ojciec wołał za mną: „Julek, Julek!”, żeby mnie zatrzymać. A ja zbiegałem z naszego



Z Juliuszem Kuleszą,
uczestnikiem Powstania Warszawskiego, pisarzem
rozmawia Piotr Włoczyk

Powstanie robiło z warszawiakami niesamowite rzeczy

Co uśpiło czujność Niemców?

Po prostu nie mieściło im się w głowie, że polscy pracownicy, których spotykali na korytarzach PWPW, są w znacznej części zaprzysiężeni w armii podziemnej i w kluczowym momencie zaatakują ich od tyłu. Niemcy myśleli, że to są „ich” Polacy, i w związku z tym byli przekonani, że nic im z tej strony nie grozi.

Może odpowiedzmy najpierw na pytanie: Skąd się w ogóle wzięli Polacy w PWPW 1 sierpnia 1944 r.?

Tuż przed powstaniem zakończono produkcję w wytwórni i Niemcy zaczęli demontować sprzęt, żeby wywieźć go do Niemiec. Chcieli na tych maszynach kontynuować produkcję w Berlinie. Większość polskich pracowników została zwolniona, ale pewna grupa Polaków

to wszystko widziałem z korytarzy od wewnątrz. To świadczy o tym, że Niemcy wiedzieli o powstaniu.

Dlaczego PWPW nie udało się zdobyć z marszu, skoro od początku za plecami Niemców byli żołnierze AK?

Ponieważ członkowie PWB/17 byli zbyt słabo uzbrojeni, by samodzielnie zająć ten kompleks.

Do dyspozycji mieli jednego szmajsera, trochę pistoletów, za to dużo granatów. Dlatego kluczowa była dobra synchronizacja – zgranie uderzenia powstańców z ulicy z atakiem od środka.

Różne grupki powstańców z zewnątrz próbowały szturmować gmach, m.in. Batalion „Gozdawa”, 104. Kompania Syndykalistów, Batalion „Wigry”. Początkowo

■ trzeciego piętra po trzy schody naraz. Nawet gdyby ojciec rzucił się jak Rejtan, tobym nad ojcem przeskoczył (śmiech).

Skoro wcześniej nie miał pan nic wspólnego z konspiracją, to pewnie chrzest bojowy był przeżyciem jedynym w swoim rodzaju?

To było 3 sierpnia – atak czołgowy. Pantery wyjechały od strony Cytadeli, a za nimi podążała piechota. Rozpoczął się silny ostrzał bloku mieszkalnego PWPW, którego załogę tworzyła moja drużyna. Pantery ustawiły się w bezpiecznej odległości, jakieś 200 m od nas, żebyśmy nie mogli do nich dorzucić butelek z benzyną, i „biły” bezlitośnie po budynku. Dowódca rozkazał mi, żebym przekazał kolegom z trzeciego piętra, którzy wyglądali przez okno, aby się cofnęli w głąb budynku. Pobiegłem klatką schodową. Na pierwszym piętrze słyszę huk eksplozji piętro wyżej. Biegnę dalej, chociaż cała klatka pełna była pyłu. Na drugim piętrze słyszę, jak pocisk wybucha na pierwszym piętrze... Gdyby ta pantera strzeliła w odwrotnej kolejności, to na pewno bym zginął.

Wspomniał pan, że PWB/17 przystępowała do powstania z dość szczupłym arsenałem. To się chyba zmieniło w kolejnych dniach?

Tak. Przez moją drużynę w PWPW przewinęło się w sumie 19 osób. Mieliśmy trzy pistolety maszynowe, ze cztery karabiny, a reszta miała do dyspozycji zwykłe pistolety, granaty i butelki z benzyną. Ja miałem tzw. FN, który był właściwie pistolecikiem. Jednak miałem też karabin, np. w dniach 23–24 sierpnia. To były najgorętsze dni, bo wtedy właśnie zaczęły się najgorsze szturm na wytwórnię. Niemcy byli świetnie skoordynowani i korzystali z pomocy lotnictwa. Sztukasy nadlatywały nad nas, zrzucały bomby i dosłownie sekundę po ostatnim wybuchu niemiecka piechota podrywała się do szturm. Na czas bombardowania wycofaliśmy się głębiej, więc musieliśmy wrócić piorunem na nasze pozycje. To były ciągłe wyścigi z Niemcami.

W kulminacyjnym okresie o PWPW walczyło ok. 600 powstańców przeciw ponad 1 tys. Niemców. Pułkownik Adam Borkiewicz szacował nawet, że Niemców było ok. 1,5 tys.

Zanim przejdziemy do tych najbardziej dramatycznych momentów podczas walk o PWPW,

rozszyfrujmy skrót pańskiej formacji, bo przecież nie było drugiego takiego oddziału w Powstaniu Warszawskim.

PWB oznaczało Podziemna Wytwórnia Banknotów. Była to specjalistyczna jednostka konspiracyjna. Do powstania PWB/17 przystąpiło w sile kilkudziesięciu ludzi. Kadra bazowała na pracownikach Wytwórni Papierów Wartościowych.

Podstawowym zadaniem tej jednostki było wytwarzanie banknotów okupacyjnych, tzw. młynarek, na potrzeby Polskiego Państwa Podziemnego. Nie było to jednak fałszowanie w sensie dosłownym.

Polegało to na tym, że na mieście wytwarzano imitacje tych banknotów. Nawet nie silono się, by dobrze je podrobić. Następnie przemycano je do... PWPW.

To ciekawe, bo przecież podobno nie wozi się drewna do lasu...

To paradoks, ale to było genialne w swojej prostocie. Najlepiej nawet wyregulowana maszyna drukarska wypuszcza na początku jakiś procent druku, który do niczego się nie nadaje. Te druki były następnie komisyjnie niszczone. Wystarczyło tylko nieco zawyżyć procent strat. Najważniejsze, żeby w liczniku maszyny zgadzała się liczba arkuszy papieru. Ta grupa poza produkowaniem, a właściwie podmianną pieniędzy wytwarzała różne druki, jak np. karty żywnościowe dla ludności niemieckiej. Realizowano je w sklepach „Nur für Deutsche”. Z fałszywymi kartami każdy mógł tam zdobyć pożywienie.

Wiosna 1944 r. była czasem, gdy z myślą o powstaniu powszechnym tego typu komórki do zadań specjalnych przekwalifikowywano na oddziały liniowe i przydzielano im zadania bojowe. Jako zadanie bojowe na Godzinę „W” wyznaczono tej grupie opanowanie PWPW od wewnątrz.

Czego dowiedział się pan w czasie powstania o mieszkańcach stolicy?

Przede wszystkim uderzający był ten niezwykły duch bojowy, entuzjazm. To było coś niesamowitego. Wy tłumaczę to na przykładzie „Dentysty”. Jeden z powstańców, który walczył na terenie PWPW, miał taki właśnie pseudonim. Wyglądało na to, że w cywilu miał coś wspólnego z tą profesją. Tymczasem okazało się – gdy go koledzy w końcu

dobrze przycisnęli, żeby opowiedział coś o sobie – że przed powstaniem zajmował się wyrzucaniem zębów... u zmarłych ludzi. Ten człowiek był po prostu hieną cmentarną. Najgorsza kanalia, jaką można sobie wyobrazić. Przecież mógł się gdzieś zadekować i przeoczekać powstanie – takiego zachowania oczekivalibyśmy po takim człowieku. A on tymczasem chwycił za broń, żeby bronić swojego miasta... Tamten czas robił z warszawiakami niesamowite rzeczy.

Który moment był dla pana najtrudniejszy w czasie powstania?

Pod sam koniec walki w PWPW piwnice były już zalane, brodziliśmy w wodzie po kolana. Naraz widzę, jak dwaj koledzy wyciągają z wody Kazimierza Berezickiego „Bacika”. To było wielkie chłopisko. W okolicy serca widać było, jak krew zalewa mu koszulę. W pewnym momencie wyslizgnął się nam i wpadł do wody. Byliśmy słabi, snu było mało, cały czas żyliśmy w napięciu.

Myśleliśmy, że „Bacik” utopił się wtedy, i czuliśmy się winni. Jednak po chwili lekarka powiedziała nam, że „Bacik” został śmiertelnie ranny, więc na pewno nie przyczyniliśmy się do jego śmierci. Wtedy nam ulżyło, ale potem wracaliśmy często do tej sytuacji. Czy ta lekarka powiedziała nam prawdę? Myślę, że tak, ale jednak do dziś nie jestem tego w stu procentach pewien. A co, jeżeli nie powiedziała nam prawdy, bo po ludzku było jej nas żal?

28 sierpnia Niemcy zajęli PWPW i wyparli was na Stare Miasto. Popełnili wtedy zbrodnię, której nie sposób zrozumieć.

Nasi ranni leżeli w tzw. schronie prezydenta, który wybudowany był dla prezydenta Mościckiego – dwie kondygnacje poniżej poziomu ulicy. Leżało tam kilkunastu rannych, którymi opiekowała się dr Hanna Petrynowska ps. Rana i cztery sanitariuszki. Kiedy jasne już było, że utracimy gmach, to pani doktor zwolniła te dziewczyny, one jednak postanowiły pozostać. Żołnierze chcieli ewakuować dr Petrynowską, ale ona odmówiła, mówiąc, że musi zostać ze swoimi chorymi. Często tam chodziłem, ponieważ leżał tam mój ranny kolega. Niemcy wszystkich tam zabili. Tej zbrodni nie da się zrozumieć i nic jej nie może tłumaczyć.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Bohater z Wołynia

W ułamku sekundy śmierć zajaśniała mi w oczach. Padł starzec. Kula świsnęła koło mego ucha, przesywając powietrze. Wystraszony koń próbował się zerwać, ja – zaciskając dłonie na lejcach – upadłem. [...] Byłem przekonany, że nie przeżyję spotkania z ukraińskimi nacjonalistami. Nie miałem nic do stracenia. Wskoczyłem na wierzchowca, złapałem go za grzywę, mocno uderzyłem piętami i pogałem galopem. Zaraz usłyszałem za sobą wrzaski: »Stój! Stój!«. Ani myślałem się oglądać, a tym bardziej zatrzymywać. Pędziłem w stronę domu. Naraz usłyszałem huk wystrzałów. Jeden z nich drasnął konia, ale ja miałem szczęście.

To fragment wstrząsających wspomnień Zygmunta Maguzy. Młodego chłopaka z Wołynia, który przetrwał ludobójstwo dokonane przez ukraińskich nacjonalistów. A później zaciągnął się do 27. Wołyńskiej Dywizji AK. Są to wspomnienia wyjątkowo wstrząsające.

Pan Mróz niósł bezwładne ciało szesnastoletniej dziewczyny Janiny Winiarz – wspomina Maguza – mojej dawnej koleżanki, ciężko rannej w wyniku okrutnej masakry banderowców dokonanej na Polakach oczekujących na nabożeństwo. Dziewczyna była postrzelona w nogę oraz – jak się później dowiedziałem – w oko, którego pozbawił jej bezwzględny napastnik, kiedy – próbując dobić – celował jej w głowę. Nie trafił precyzyjnie, ale pewny śmierci swej ofiary, pozostawił ją cierpiącą na drodze.

Niestety, ofiarą rzezi padli również członkowie najbliższej rodziny Zygmunta Maguzy.

W gospodarstwie dziadków od progu wyczuwał – na była śmierć – pisał autor. – Pootwierane na oścież drzwi oraz okna znamionowały najgorsze. W kuchni na podłodze i ścianach widniała rozbryzgana, zakrzepnięta krew i szczątki mózgu. Nieco dalej dziadek z prawie odgąbaną, a w zasadzie wbiłą w korpus obuchem siekiery głową, obok niego zaś dziecko. Zmasakrowana jedenastoletnia Weronika. Gdzie indziej trup babci. Wnętrze napawało grozą, ohydą. Całości dopełniał mdły zapach powoli rozkładających się ciał.

Boże, przez co przeszli ci ludzie!

Miałem kiedyś zaszczyt poznać pana Maguzę, bez wątpienia jest to bohater przez duże „B”. ©©



★★★★★
ZYGMUNT
MAGUZA
„ŻOŁNIERSKIE
LOSY WOŁYNIAKA”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Biskupin i propaganda

Gdy na początku lat 70. powstała Polsko-Niemiecka Komisja Podręcznikowa mająca uzgodnić wzajemne stanowiska w sprawie nauki historii i geografii w PRL i RFN, okazało się, że to nie wydarzenia z historii najnowszej stanowią największy problem. Ogromne emocje wzbudziła także kwestia oceny działalności zakonu

przykładem takich działań jest sprawa osady w Biskupinie, której pozostałości odkrył 31 sierpnia 1933 r. miejscowy nauczyciel Walenty Szwajcer. Archeolodzy zaliczyli znalezisko do tzw. kultury łużyckiej, która swoją nazwę zawdzięcza odkryciom dokonany we wschodnich landach Niemiec. Jednak pozostałości w Biskupinie są najlepiej zachowanym obiektem tego rodzaju, gdyż szczątki przez 2,5 tys. lat pozostawały w bagnisku, co umożliwiło zakonserwowanie drewnianych budowli.

Polscy naukowcy niezwłocznie uznali, że są to pozostałości prasłowiańskiej osady, co oczywiście zakwestionowali badacze niemieccy. Podczas II wojny światowej usiłowano znaleźć potwierdzenie na pragermańskie pochodzenie osady, ale bez skutku. W czasach PRL polskie władze głosiły tezę o słowiańskim pochodzeniu Biskupina, co potwierdzał też Paweł Jasienica w swojej znakomitej „Polsce Piastów”. Miało to dowodzić, że Słowianie są na naszych ziemiach praktycznie od zawsze i wszelkie niemieckie pretensje nie mają racji bytu. Nie było ważne, że tak naprawdę Słowianie pojawili się w Europie Środkowej dopiero w VI w., a osada w Biskupinie powstała ponad tysiąc lat wcześniej. Dzisiaj emocje nieco opadły, a badacze wolą ostrożnie twierdzić, że osadę zbudował lud niewiadomego pochodzenia. Jednak potęga mitu i propagandy jest ogromna, niemal każdy w naszym kraju kojarzy Biskupin z osiedlem prasłowiańskim. ©©

Tak naprawdę Słowianie pojawili się w Europie Środkowej dopiero w VI w.

krzyżackiego w Prusach. Niemcy podnosili sprawę jego misji cywilizacyjnej, natomiast dla Polaków Krzyżacy zawsze stanowili awangardę brutalnej ekspansji germańskiej na wschód. Niemcy uważali, że pod Grunwaldem zwyciężyła półpogańska armia wschodniego barbarzyńcy Jagiełły, natomiast dla Polaków był to sprawiedliwy triumf nad germańską butą. Inna sprawa, że historycy litewscy do dzisiaj uważają za właściwego triumfatora spod Grunwaldu księcia Witolda, natomiast w historiografii radzieckiej i rosyjskiej można było znaleźć informacje, że bitwę wygrały pułki smoleńskie...

Nie tylko wydarzenia historyczne wzbudzały (i wzbudzają do dzisiaj) liczne spory. Jak wiadomo, odkrycia archeologiczne można różnie interpretować i wykorzystywać do doraźnych celów politycznych. Doskonale

STAN WOJENNY WE WSPOMNIENIACH

**NIE POZWÓLMY, ABY
WYDARZENIA SPRZED LAT
ULEGŁY ZATARCIU.
DZIELMY SIĘ RELACJAMI
Z TEGO TRUDNEGO CZASU.
KAŻDY, KTO PAMIĘTA ROK 1981,
NOSI W SOBIE WYJĄTKOWE
WSPOMNIENIA.
UŁÓŻMY Z NICH JEDYNY
W SWOIM RODZAJU OBRAZ
TAMTYCH DNI.**

WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU

**WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU
MUZEUM WSPOMNIENI!**

**PODZIEL SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI
ZE STANU WOJENNEGO I WEŹ UDZIAŁ
W KONKURSIE. SZCZEGÓŁY NA:
WWW.SUPERHISTORIA.PL**





Jacek Przybylski

Kancelarz Niemiec i prezydent Rosji będą wspólnie bronić gazociągu Nord Stream 2 przed Trumpem i Polakami – cieszy się Kreml. Jednocześnie Putin zarządził największe manewry wojskowe od końca zimnej wojny

Putin wraca

Ponad ćwierć miliona żołnierzy, ok. 900 czołgów, ponad 1000 samolotów i nawet 300 okrętów. Tak ogromne siły wzięły w zeszłym tygodniu udział w ćwiczeniach Centralnego Okręgu Wojskowego i Wschodniego Okręgu Wojskowego.

Według ministra obrony Rosji niezapowiedziane manewry były przygotowaniem do zaplanowanych na koniec sierpnia i początek września ćwiczeń „Wostok 2018” – największych manewrów od czasu ćwiczeń pod kryptonimem Zapad ’81. Według szacunków CIA w przeprowadzonych jeszcze w czasach istnienia Związku Sowieckiego manewrach mogło wziąć udział nawet 150 tys. żołnierzy z wojsk lądowych, sił powietrznych, wojsk rakietowych oraz marynarki wojennej. Były to największe manewry wojskowe, jakie kiedykolwiek widział świat. Wielu Polaków pamięta je choćby dlatego, że ćwiczenia mające na celu zastraszenie mieszkańców i wywarcie presji na polityków z krajów NATO poprzedziły wprowadzenie w Polsce stanu wojennego.

Celem obecnych ćwiczeń ma być sprawdzenie gotowości do prowadzenia działań na dużą skalę, przerzutu wojsk na dalekie dystanse i szybkiego odtwarzania potencjału rezerw. Taki sprawdzian może sugerować, że Rosjanie chcą się pochwalić gotowością do prowadzenia nagłych operacji ofensywnych – tę zaś Moskwa może chcieć wykorzystywać do wywierania presji na państwa ościennie. Teoretycznie reakcją państw NATO na działania Kremla powinno być zwanie szeregów i pokazanie Rosji, że sojusz krajów zachodnich jest niemożliwy do pokonania.

NOWA ARMIA CZERWONA

Niestety, jednocześnie z pokazem siły militarnej Kreml przeszedł do ofensywy dyplomatycznej, łatwo wykorzystując pęknięcia na Zachodzie. 18 sierpnia Władimir Putin spotkał się z kanclerz Niemiec Angelą Merkel. Była to pierwsza bilateralna wizyta rosyjskiego prezydenta w Niemczech od 2014 r., gdy rosyjskie wojska dokonały aneksji Krymu, i drugie spotkanie z szefową

rządu w Berlinie (do ostatniego doszło w maju w Soczi).

Spotkanie przywódców na zamku w podberlińskim Mesebergu trwało ponad 3,5 godziny, z czego – co się zdarza rzadko podczas rozmów na tak wysokim szczeblu – długi czas Putin z Merkel rozmawiali w cztery oczy, nawet bez obecności tłumaczy. Według oficjalnego komunikatu liderzy obu państw rozmawiali m.in. o Syrii, planie wprowadzenia misji pokojowej na terytorium Donbasu oraz o gazociągu Nord Stream 2. Dla przywódcy kraju żyjącego głównie z eksportu ropy i gazu najważniejszy był ten ostatni temat. Nord Stream 2 był bowiem ostatnio ostro krytykowany już nie tylko przez władze Polski, lecz także przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, który przy okazji ostatniego szczytu NATO publicznie beształ Merkel za wspieranie Nord Stream 2. – Chronimy Niemcy, chronimy Francję, chronimy wszystkie te państwa NATO. A wtedy kilka z nich zawiera gazociągową umowę z Rosją, aby płacić miliardy dolarów do skarbcza Rosji – podkreślał w lipcu Donald



FOT. VLADIMIR ASTAPRONICH/SPUTNIK/EAST NEWS

do gry

Trump, zaznaczając, że tym samym władze w Berlinie stają się „zakładnikiem Rosji”. Waszyngton konsekwentnie opowiada się przeciw Nord Stream 2, obawiając się, że jego budowa sprawi, iż Europa będzie jeszcze w większym stopniu uzależniona od rosyjskich surowców naturalnych, a jednocześnie zakończenie projektu istotnie zwiększy przychody do budżetu Rosji, formalnie największego wroga Ameryki oraz jej europejskich sojuszników. W opinii Donalda Trumpa uruchomienie drugiej nitki niemiecko-rosyjskiej rury utrudniałoby wysiłki na rzecz światowego pokoju.

Planowane na rok 2019 uruchomienie kolejnego etapu niemiecko-rosyjskiego projektu może również sprawić, że Gazprom przestanie przysyłać gaz poprzez ukraińskie i polskie terytorium. Putin teoretycznie obiecuje, że tak się nie stanie, ale jednym tchem podkreśla, że wykorzystanie gazociągu biegnącego przez Ukrainę będzie zależeć od popytu, a ten po uruchomieniu drugiej niemiecko-rosyjskiej rury znacząco spadnie. W zeszłym roku tylko przez pierwszą nitkę gazociągu przesłano

z Rosji do Niemiec rekordowe 51 mld metrów sześciennych gazu – omijając Ukrainę i Polskę, rurą przesłano tym samym ponad 25 proc. całkowitych dostaw rosyjskiego gazu do Europy. Za pomocą Nord Stream 2 z ominięciem Ukrainy i Polski Rosja mogłaby realizować ponad 50 proc. całkowitych dostaw do europejskich odbiorców.

A ponieważ Rosja wielokrotnie wykorzystywała już gaz w roli geopolitycznego oręża, inwestycja podzieli Europę niczym nowa żelazna kurtyna. W czarnym scenariuszu zakończenie tranzytu gazu przez Ukrainę mogłoby nie tylko pomóc Moskwie w doprowadzeniu do ekonomicznego podporządkowania Kijowa, lecz także oczyścić przedpole do rosyjskiej operacji wojskowej i rosyjsko-ukraińskiej wojny na wielką skalę. Nie bez powodu już w 2014 r. niemiecki polityk Günther Oettinger, wówczas jeszcze jako komisarz UE ds. energii, nazwał rosyjską politykę energetyczną „nową Armią Czerwoną Putina”.

Oczywiście jest jeszcze jeden powód amerykańskiej niechęci do niemiecko-rosyjskiej rury: Donald Trump chce

sprzedawać do Europy więcej ciekłego gazu ziemnego z USA, a realizacja NS2 znacząco te plany utrudni. Tymczasem w sektorze energetycznym pracuje ponad 6,5 mln Amerykanów – takiej liczby wyborców żaden prezydent nie może lekceważyć. Władze w Waszyngtonie zagroziły więc sankcjami, za pomocą których mogłyby starać się wstrzymać budowę rosyjsko-niemieckiego gazociągu. USA mają w zanadru cały pakiet sankcji, które miałyby być skierowane przeciwko firmom zaangażowanym w budowę gazociągu, a także przeciw instytucjom finansującym ten projekt. Jak napisał sobotni „The Wall Street Journal”, powołując się na obecnych i byłych przedstawicieli władz w Waszyngtonie, takie sankcje mogłyby zostać uruchomione w ciągu kilku tygodni. Decyzja w tej sprawie może zapaść w każdej chwili. Kongres już w sierpniu 2017 r. upoważnił bowiem Donalda Trumpa do nakładania sankcji na osoby fizyczne lub firmy związane z budową kontrowersyjnego gazociągu. Problem w tym, że zarówno



Zanim Władimir Putin przybył do Berlina na spotkanie z Angelą Merkel, bawił na weselu z szefową MSZ Austrii Karin Kneissl

FOT. ROLAND SCHLAGER/POOL/REUTERS/FORUM

Europejskie firmy, jak i Gazprom zainwestowały już w budowę drugiej nitki gazociągu ponad 6 mld dol., co oznacza, że prawdopodobnie nie przerwałyby jego realizacji nawet po wprowadzeniu w życie amerykańskich sankcji.

Uderzające w niemiecką gospodarkę działania Donalda Trumpa, a także coraz słabsza pozycja wewnętrzna niemieckiej kanclerz i rosnąca presja ze strony coraz silniejszej frakcji prorosyjskiej wśród niemieckich przedsiębiorców skłoniły Angelę Merkel do tego, by dała Władimirowi Putinowi to, na czym mu najbardziej zależy: obietnicę, że dokończy budowę rury. Potwierdzenie chęci finalizacji antyukraińskiego i zarazem antypolskiego projektu pomimo wyraźnego amerykańskiego sprzeciwu stało się więc najważniejszym punktem spotkania Putina z Merkel w Mesebergu. Według rzecznika Kremla Dmitrija Pieskowa Niemcy i Rosja będą bowiem wspólnie chronić gazociąg przed „niekonkurencyjnymi i nielegalnymi napaściami” ze strony państw trzecich i doprowadzą wreszcie do zakończenia projektu, który „odpowiada interesom wszystkich”.

Teoretycznie Niemcy zyskują na NS2 politycznie – stają się bowiem centrum dystrybucji gazu na Europę. W praktyce obietnica dokończenia kontrowersyjnego projektu to wielkie zwycięstwo rosyjskiego prezydenta, który przy okazji wygrał coś jeszcze: zaledwie nieco ponad miesiąc po rozmowach z Donaldem Trumpem był z honorami witany w stolicy Niemiec. Putin może więc jasno mówić rodakom, że czas międzynarodowej izolacji Rosji dobiegł końca.

Tego typu działania nie mogą być w Warszawie lekceważone. Tym bardziej że Niemcy to niejedyny europejski kraj, który demonstracyjnie kończy z prowadzoną przez Unię Europejską polityką

ostracyzmu wobec Rosji. Zanim Władimir Putin przybył do Berlina na spotkanie z najbardziej wpływową kobietą świata, bawił na weselu Karin Kneissl, niedoświadczonej szefowej dyplomacji Austrii. Na zabawę przywiózł ze sobą 10-osobowy chór Kozaków i na oczach kanclerza Austrii Sebastiana Kurza nie omieszczał porwać do tańca panny młodej. Putin – mający już doświadczenie w pozowaniu do kamer nawet podczas jazdy konnej bez koszulki – i tym razem wypadł świetnie.

KOŃ TROJAŃSKI NA WESELU

Zaproszenie rosyjskiego przywódcy na wesele szefowej MSZ poparł oficjalnie wicekanclerz i lider populistycznej partii FPÖ Heinz-Christian Strache, który przy okazji kolejny raz wezwał do zniesienia zachodnich sankcji przeciw Moskwie. Prawdopodobnie to właśnie chęć podziękowania FPÖ skłoniła Putina do odwiedzenia 53-letniej panny młodej. Korzystając z zaproszenia do Austrii, Putin mógł też pokazać światu, a zwłaszcza Rosjanom, że nie jest już wcale izolowany w Unii Europejskiej, a wręcz przeciwnie – jest chętnie widziany przynajmniej na niektórych europejskich salonach.

Wizyta może być jednak kłopotliwa dla rządu w Wiedniu. Austrię już wcześniej wielu komentatorów postrzegało jako rosyjskiego konia trojańskiego wewnątrz Unii Europejskiej. Okazanie Władimirowi Putinowi szczególnych względów utrudni więc szefowej austriackiej dyplomacji próbę przekonywania, że władze w Wiedniu – sprawujące obecnie rotacyjne przewodnictwo Unii Europejskiej – mogą rzeczywiście być bezstronnym mediatorem np. między stronami konfliktu ukraińskiego. „To się rozumie samo przez się: jeśli zapraszasz Władimira Putina na swój ślub, to nie jesteś już neutralny”

– napisała na Twitterze Hanna Hopko, przewodnicząca Komisji Spraw Zagranicznych ukraińskiego parlamentu.

Rzecznik austriackiego MSZ oznajmił, że Putin był „prywatnym gościem” pani Kneissl i jego wizyta „nie wpłynie na zmianę austriackiej polityki zagranicznej”. Trzeba być jednak wyjątkowo naiwnym, aby uwierzyć, że rosyjski prezydent bywa gdziekolwiek jako osoba prywatna. Czas prezydenta atomowego mocarstwa, podobnie jak czas amerykańskiego przywódcy Donalda Trumpa, jest bowiem zbyt cenny, by marnować go na wydarzenia bez politycznego znaczenia. Oczywiście dla Putina wyprawa do Austrii zawsze ma aspekt sentymentalny – to właśnie w Alpy w latach 80. jako młody agent KGB przyjeżdżał z NRD na narty (przynajmniej oficjalnie na narty). Kreml ma jednak w Wiedniu sporo interesów: swoje europejskie centrale w stolicy Austrii mają zarówno Gazprom, jak i Sberbank – największy rosyjski bank detaliczny. Główna przyczyna sympatii Putina wobec austriackich władz znów leży zaś na dnie Bałtyku i nazywa się... Nord Stream 2.

Koniec ostracyzmu wobec przywódcy Rosji, który jest odpowiedzialny za inwazję na Krym i prowadzenie wojny we wschodniej Ukrainie, za niezgodne z prawem międzynarodowym bombardowania syryjskich miast, ochronę krwawego dyktatora Baszara al-Asada, użycie broni chemicznej na terytorium Wielkiej Brytanii oraz strącenie malezyjskiego samolotu pasażerskiego MH17, to ważny sygnał ostrzegawczy dla Polski. Nowe zbliżenie między Rosją a Niemcami ma bowiem dużo większą wagę niż historyczne obawy niektórych komentatorów wygłaszane po spotkaniu w Helsinkach prezydentów USA i Rosji.

Ekipa Władimira Putina coraz sprawniej wykorzystuje w wojnie informacyjnej swą siłę militarną, pieniądze wydawane na wspieranie swoich sympatyków na Zachodzie i wyjątkowo skuteczną dyplomację. Polski rząd powinien więc dużo sprawniej modernizować własne siły zbrojne. A jednocześnie nie ograniczać się tylko do poparcia ze strony Stanów Zjednoczonych, lecz także zręczne zawierać nowe sojusze, aby zyskać jak najwięcej przyjaciół. Wydaje się bowiem, że w nadchodzących latach dużo bardziej niż Jałty 2.0 można się bowiem obawiać zgubnych skutków energetycznej odmiany paktu Ribbentrop-Mołotow.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



#METOO, ALE INACZEJ

Włoska aktorka i reżyserka Asia Argento stała się jedną z liderów ruchu #MeToo, gdy jako jedna z pierwszych kobiet z filmowego biznesu przyznała publicznie, że była napastowana przez producenta Harveya Weinstina. „The New York Times” ujawnił, że w październiku ubiegłego roku Argento podpisała ugodę i zapłaciła 380 tys. dol. młodemu aktorowi, który twierdził, że był przez nią molestowany, gdy nie miał jeszcze 18 lat (to wymóg prawa „zgody” w Kalifornii). Pani Asia miała wtedy 37 lat.

FOT. SCANELLA/INSIDEOUT/ROPI/ZUMA/GETTY

PAN DOKTOR PROPONUJE ŚMIERĆ

42-letni mężczyzna cierpiący na nieuleczalną i rzadką chorobę neurologiczną poprosił o pomoc kanadyjski szpital w Ontario. Personel medyczny zamiast opieki zaproponował mu... eutanazję. Pracownik szpitala zwracał przy tym uwagę, że jeśli chory zostanie w placówce, to będzie musiał płacić 1,5 tys. dol. dziennie za opiekę. Czas zmienić nazwę przysięgi Hipokratesa na przysięgę hipokrytów.

CYKADY KONTRA TURYSĆ

Burmistrz miasteczka Beausset położonego w południowo-wschodniej Francji ujawnił, że przyszli do niego turyści z nietypową skargą i prośbą o pomoc. Wypoczywającym w tym regionie nie podobało się to, że muszą słuchać... cykad. Dwóch turystów uznało, że dźwięk wydawany przez te owady nie pozwala im wypoczywać. Pytali, czy władze nie mogą ich wytruć. Burmistrz odpowiedział, że jest dumny z cykad.

NIESZCZĘŚLIWE OD SELFIE

Naukowcy z Boston University opisali dysmorfofobię snapchatową, czyli stan, w którym ludzie decydują się na operacje plastyczne, by wyglądać podobnie do tego, jak wyglądają na zdjęciach po nałożeniu filtrów z aplikacji. Już wcześniej brytyjska prasa zwracała uwagę, że do chirurgów plastycznych trafia wiele kobiet, które proszą o poprawienie urody tak, by wyglądać jak na upiększonych przez automaty zdjęciach selfie.

BÓJKA O MIEJSCE DO PSTRYKANIA

W Rzymie przy Fontannie di Trevi doszło do bijatyki. Poszło o miejsce, w którym można zrobić najbardziej spektakularne zdjęcie. 19-letnia Holenderka i 44-letnia Amerykanka wybrały sobie dokładnie to samo miejsce i żadna nie chciała ustąpić. Zaczęły się szarpać, a potem do bijatyki włączyły się ich rodziny. Włoskim policjantom udało się ich rozdzielić dopiero po wezwaniu posiłków. ©

Łukasz Zboralski



**PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU**

PIECZEŃ RZYMSKA

W szponach informatyki

Czy kiedy komputer się biesi, nie macie czasem wrażenia, że machina się zbuntowała, spiskuje i chce wam wyrządzić krzywdę?

Moja żona otrzymała właśnie wieść krzepiącą, że za rok 2017 nie jest już winna włoskiemu fiskusowi ani grosza. Żeby jednak dopełnić formalności i pan fiskus nie poczuł się urażony, trzeba mu wpłacić (wyłącznie via Internet) 0 (słownie: zero) centów. Niedopełnienie tego obowiązku grozi przykrymi konsekwencjami. Przyznacie, że koncept kretyński, co? Na stronie internetowej fiskusa można wyczytać, że dla

takiej kuriozalnej operacji jego informatycy stworzyli specjalny program. Trzeba go ściągnąć, klikając w odpowiednie okienko. Czyli kretyństwo do kwadratu.

Żona ściągnęła program i przystąpiła do dzieła. Po rejestracji na ekranie oprócz rubryczek do wypełnienia pojawiły się informacje fiskusa o mojej małżonce. Pierwsza nie była dla mnie wesoła, bo wynikało z niej, że moja żona jest wdową. Druga zasmuciła żonę, bo według fiskusa jest osobą niepełnosprawną. Humory nam się nieco poprawiły, gdy okazało się, że żona dzierżawi na Sycylii jakieś latyfundia. Kolejne logowania

z użyciem specjalnego programu przynosiły identyczne rezultaty. Co gorsza, nie można było za nic w świecie dokonać wpłaty „zerocentowej”. W końcu doznałem iluminacji i poradziłem żonie, żeby zapomnieć o specjalnym programie i wpłaciła fiskusowi na konto normalnym trybem 1 centa.

Czekamy z niepokojem na rozwój wypadków. Indagowany w tej sprawie doradca podatkowy był w kropce i nie był pewien, czym się to wszystko skończy. Wreszcie zawyrokował, że teraz to fiskus ma problem. Zapewne chodzi o problem z głową. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ks. Andrzej Kobyliński

Legalizacja małżeństw homoseksualnych i puste seminaria to moralna cena, którą Kościół katolicki w Irlandii zapłacił za dziesięciolecie tuszowania pedofilskich skandali

Papież Franciszek zapowiedział wzięcie udziału w Światowym Spotkaniu Rodzin w Dublinie (wizyta miała się odbyć w dniach 25–26 sierpnia, tuż po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy”). Przygotowania do tego ważnego wydarzenia w ostatnich miesiącach zostały zdominowane przez różne zagadnienia związane z homoseksualizmem i pedofilią. W Australii, Kanadzie czy Stanach Zjednoczonych trudno było ostatnio spotkać artykuły prasowe czy audycje telewizyjne o charakterze religijnym, które by nie podejmowały kwestii miłości homoseksualnej, małżeństw gejowskich albo dramatu pedofilii w Kościele katolickim. Identyfikacyjnie wygląda obecnie debata publiczna w Irlandii.

W tym kontekście do najważniejszych wypowiedzi można zaliczyć stwierdzenia Diarmuida Martina, katolickiego arcybiskupa Dublina, oraz opinie wyrażone przez Mary McAleese, która w latach 1997–2011 sprawowała urząd prezydenta Irlandii.

„RODZINY NIETRADYCYJNE”

Arcybiskup Martin był 21 lipca gościem programu pierwszego irlandzkiego radia publicznego RTÉ. W trakcie audycji stwierdził, że na Światowym Spotkaniu Rodzin są mile widziane także „rodziny nietradycyjne”, zbudowane na małżeństwach jednopłciowych. Dodał także, że podczas pobytu w Irlandii papież Franciszek powinien podjąć temat wykorzystywania seksualnego nieletnich. Najważniejsze stwierdzenie abp. Martina dotyczyło konieczności zmiany katolickiego rozumienia homoseksualizmu. Jego zdaniem należy wykreślić z Katechizmu Kościoła katolickiego zapis mówiący o tym, że skłonności homoseksualne są „obiektywnie nieuporządkowane”.

Gdy chodzi o wypowiedzi byłej prezydent Irlandii, na szczególną uwagę zasługuje jej rozmowa z dziennikiem „The Irish Times” z 5 sierpnia. Mary McAleese stanowczo stwierdziła, że w trakcie pielgrzymki do Irlandii papież Franciszek powinien spotkać się z ofiarami księży pedofilów oraz przedstawić plan konkretnych działań, które uchronią przyszłe pokolenia przed podobną tragedią.

ZMOWA MILCZENIA

Historia rozwoju pedofilii w Kościele katolickim w Irlandii przypomina inne podobne dramatyczne wydarzenia, które miały miejsce w Australii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Chile, Hondurasie, Wielkiej Brytanii, Belgii, Holandii

le nadużyć wobec dzieci w Belfaście, Dublinie, a także w Stanach Zjednoczonych. Aresztowany i sądzony przez sąd brytyjski w Belfaście zmarł w więzieniu w 1997 r.

KOMISJA ŚLEDZCA

W 2000 r. władze rządowe Irlandii powołały Komisję Śledczą ds. Wykorzystywania Dzieci. W latach 2003–2011 jej pracami kierował sędzia Sean Ryan, dlatego zyskała popularną nazwę – Komisja Ryana. Podstawowym zadaniem tego organu była gruntowna analiza zjawiska pedofilii we wszystkich instytucjach irlandzkich zajmujących się dziećmi od 1936 r. do początku obecnego stulecia. Skąd granica roku 1936? Ponieważ większość przypadków pedofilii w Irlandii



itd. Pierwsze przypadki seksualnego wykorzystywania dzieci przez księży w Kościele irlandzkim sięgają lat 40. i 50. XX w. Po Soborze Watykańskim II, w latach 70. i 80. ubiegłego wieku, można było mówić o wielkim skandalu pedofilskim w Irlandii.

Niestety, aż do lat 90. prawie wszystkie przypadki wykorzystywania seksualnego nieletnich były tuszowane. Przez dziesięciolecie wokół tej tragedii panowała okrutna zмова milczenia. Pierwszym przypadkiem nagłośnionym przez media była bulwersująca historia Brendana Smytha, północnoirlandzkiego księdza katolickiego, oskarżonego o wie-

dzi miało miejsce w niektórych rodzajach szkół, których prowadzenie władze w Dublinie powierzyły zakonowi męskiemu i żeńskiemu właśnie w tamtym czasie.

Przed Komisją Ryana postawiono cztery główne zadania. Po pierwsze, chodziło o wysłuchanie świadectw tych ofiar, które chciały opowiedzieć o swojej krzywdzie. Po drugie, komisja zajęła się analizą wszystkich zarzutów dotyczących wykorzystywania seksualnego dzieci. Po trzecie, poddano ocenie reakcję instytucji państwowych i kościelnych na przypadki pedofilii. Po czwarte, zwieńczeniem prac komisji miała być publikacja specjalnego raportu. W pro-

cedurach ustanowionych przez rząd dla Komisji Ryana dziecko zostało zdefiniowane jako osoba poniżej 18. roku życia. Gdy chodzi o interpretację wykorzystywania osób nieletnich, wskazano cztery rodzaje nadużyć: przemoc fizyczną, wykorzystywanie seksualne, zaniedbania w opiece i przemoc emocjonalną.

20 maja 2009 r. został opublikowany raport końcowy Komisji Ryana: pięć tomów, 2,5 tys. stron, 1090 świadectw ofiar pedofilii. To dokument, który budzi grozę. Opowiada o piekle dzieci, które trwało kilkadziesiąt lat. Opisy różnych form przemocy, gwałtów, poniżania, zastraszania budzą przerażenie. Odrażających czynów dopuszczali się księża, zakonnicy, nauczyciele, opiekunowie, a nawet rodzice zastępczy.

zerwały stosunki dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską.

KOMISJA EPISKOPATU

W 2006 r. biskupi irlandzcy powołali Narodową Komisję Ochrony Dzieci w Kościele katolickim w Irlandii. Działa do dziś. Jej głównym celem jest monitorowanie stosowania procedur ochrony osób nieletnich na całym terytorium Irlandii. Komisja zbadała problem wykorzystywania seksualnego dzieci we wszystkich diecezjach i zgromadzeniach zakonnych. W 2011 r. opublikowano pierwszych sześć raportów dotyczących kilku diecezji. Rok później przedstawiono opinii publicznej siedem innych sprawozdań na temat czterech diecezji i trzech zgromadzeń zakonnych. W 2013 r. opublikowano

odszkodowań ofiarom wykorzystywania seksualnego, zbankrutowało z tego powodu kilkanaście diecezji i niektóre zgromadzenia zakonne. W latach 2002–2015 archidiecezja Boston musiała zamknąć jedną trzecią swoich parafii, a nawet sprzedać pałac arcybiskupa, aby zapłacić 170 mln dol. ofiarom nadużyć seksualnych.

Odszkodowania finansowe w Irlandii – gdzie w ostatnich latach komisje rządowe i kościelne potwierdziły nadużycia popełnione przez ponad tysiąc księży i zakonników wobec co najmniej 30 tys. osób nieletnich – nie były tak wysokie z powodu innej mentalności społecznej oraz odmiennej kultury prawnej. Niezwykle wysoka jest jednak cena moralna zapłacona przez irlandzką wspólnotę katolicką. Dramat pedofilii doprowadził do duchowego i intelektualnego upadku Kościoła katolickiego w tym państwie. W 2015 r. Irlandia stała się pierwszym krajem na świecie, który w drodze referendum wprowadził małżeństwa homoseksualne. Debaty publiczne prowadzone przed tym referendum oraz przed legalizacją aborcji w 2018 r. zdecydowanie potwierdziły rozpad irlandzkiego katolicyzmu. Niektórzy dziennikarze w Irlandii twierdzą, że Kościół katolicki po skandalach pedofilskich stał się niepotrzebny, bezużyteczny. Sól utraciła swój smak.

PUSTE SEMINARIA

Z powodu pedofilii i innych skandali seksualnych księży zostały zamknięte w Irlandii wszystkie diecezjalne seminaria duchowne. Nieliczni klerycy z diecezji irlandzkich kształcą się obecnie w Seminarium Narodowym św. Patryka w Maynooth. Niestety, wiosną 2016 r. także w tym seminarium duchownym wybuchły głośne skandale homoseksualne. Szeroko informowały o nich media na całym świecie. W bardzo ostrych słowach komentował publicznie tę sytuację m.in. abp Diarmuid Martin z Dublina, który oskarżył Seminarium Narodowe w Maynooth o tolerowanie kultury gejowskiej i wycofał z dalszego kształcenia w tej instytucji swoich ostatnich kilku kleryków. Może warto uwzględnić dramat Irlandii także w naszej polskiej dyskusji, dotyczącej głębokiego kryzysu powołań kapłańskich i zakonnych? Dlaczego gwałtownie pustoszeją nasze seminaria duchowne?



Szczególnie brutalne formy przemocy seksualnej miały miejsce w szkołach dla chłopców. W tym przypadku raport mówi o pedofilii, która miała charakter systemowy, endemiczny.

Po publikacji raportu Ryana wielu polityków i dziennikarzy określało molestowanie seksualne dzieci jako holokaust. Padały mocne wyrażenia: hańba, wstyd, piekło, dramat, katastrofa. Na temat raportu w bardzo ostrych słowach wypowiedzieli się m.in. prezydent Mary McAleese, premier taoiseach Brian Cowen, minister edukacji Batt O’Keeffe. W 2011 r., z powodu skandalu pedofilskiego, władze w Dublinie

siedem nowych raportów dotyczących sześciu diecezji i jednego zgromadzenia zakonnego. W 2015 r. przedstawiono opinii publicznej kolejnych 20 sprawozdań dotyczących różnych zakonów.

Wszystkie raporty stanowią kopalnię wiedzy na temat skali pedofilii w Irlandii i są wielkim oskarżeniem tych osób sprawujących władzę w Kościele katolickim, które przez dziesięciolecia nie reagowały na haniebny dramat wykorzystywania seksualnego osób nieletnich.

UPADEK KOŚCIOŁA

W Stanach Zjednoczonych, gdzie Kościół katolicki wypłacił ok. 5 mld dol.

TEST „DO RZECZY”: SAMSUNG GEAR FIT2 PRO

Wodoodporność, atrakcyjny design, wbudowany pulsometr i możliwość wgrania do pamięci opaski nawet 500 utworów – to główne zalety bardzo dobrej opaski fitness koreańskiego producenta.

Największym atutem testowanej opaski jest wodoodporność. Z Gear Fit2 Pro można nie tylko biegać w deszczu, lecz także pływać na basenie, a nawet nurkować z ręką w słonej wodzie. Również pod prysznic po treningu można bez obaw wejść z opaską na rękę.

Na pochwałę zasługuje pokryty szkłem Gorilla Glass 3 ekran Super AMOLED o przekątnej 1,5 cala i rozdzielczości 432 x 216 pikseli. Kolory są piękne i nasycone, kontrast wysoki, a widoczność w ostrym słońcu wystarczająca. Na ekranie wyświetlane są aktualny czas oraz dane dotyczące liczby zrobionych kroków, spalonych kalorii czy zdobytych pięter, a także wynik pomiaru tętna, monitorowania snu czy też informacja o pogodzie.

Gear Fit2 Pro automatycznie wykrywa aktywność sportową. A podczas treningu stara się dodawać motywacji, wyświetlając komunikaty w stylu „zdrowe tempo” czy „dobrze ci idzie”.

Opaska pozwala również wybrać jedną z 16 dyscyplin, które uprawiamy – od biegania poprzez kolarstwo do pływania, pilatesu czy jogi. Opaska pomaga nie tylko w kontrolowaniu

aktywności sportowej, lecz także innych aspektów życia. Za jej pomocą można więc zliczać liczbę wypitych w ciągu dnia szklanek wody czy filiżanek kawy. A gdy długo siedzimy za biurkiem, gadżet wyświetla komunikaty zachęcające chociaż do krótkiego treningu.

Dzięki atrakcyjnej stylistyce gadżet można nosić nie tylko na siłownię, lecz także – zwłaszcza w wariacie całkowicie czarnym – założyć go do pracy. Oczywiście do garnituru sportowa opaska pasować nie będzie, ale do dżinsów i koszuli jak najbardziej. Gear Fit2 Pro jest zaś na tyle wygodna, że rzeczywiście nie chce się jej zdejmować. Pasek wykonany jest z miękkiego tworzywa, które nie podrażnia skóry. To ważne, bo aby pulsometr działał prawidłowo, opaskę trzeba zapiąć na rękę bardzo ciasno.

Podczas napiętego dnia w biurze przydają się powiadomienia ze smartfona: Samsung Gear Fit2 Pro wyświetla komunikaty o nowych



wydarzeniach, wiadomościach, e-mailach czy facebookowych wydarzeniach. Za pomocą opaski można też odebrać połączenie, choć niestety nie ma opcji, aby rozmawiać przez Gear Fit2 Pro.

Gear Fit2 Pro działa pod kontrolą systemu Tizen, który jest szybki i intuicyjny w obsłudze.

Opaska współpracuje zarówno z telefonami z Androidem, jak i z iOS.

A aby umilić sobie czas podczas treningu, na opaskę można ściągnąć ponad 3 tys. różnego rodzaju aplikacji. Trzeba jednak pamiętać, że to niewielki

gadżet – próba uruchomienia jednocześnie kilku wymagających „apek” może skończyć się przycinaniem systemu.

! Ostatnia wada: bateria ma taką samą pojemność co tańsza wersja bez słówka „pro”, co oznacza, że wystarcza na mniej więcej dwa, maksymalnie trzy dni używania opaski.

Cena: 799 zł. ☹☹

Jacek Przybylski

ELEKTRONICZNY PORTFEL



Producenci OraSaifu przekonują, że to pierwszy na świecie tak chroniony elektroniczny portfel do kart kredytowych i kryptowalut posiadający zabezpieczenia na poziomie banków. Przypomina miniaturowy tablet. „Pudełko” wyposażone w dotykowy ekran

umożliwia elektroniczne przechowywanie wszystkich kart kredytowych, debetowych, kart podarunkowych, kart pokładowych, identyfikatorów służbowych, a nawet kart członkowskich siłowni. Potrzebna płatność kartą visa? Wybieramy ją na ekranie, dotykamy chipa, wpisujemy zabezpieczenia i gotowe. Urządzenie wyposażono także w wyspecjalizowany system „antykradzieżowy”, pozwalający nie tylko błyskawicznie zablokować dostęp do swoich danych po stwierdzeniu zguby, lecz także dokładne namierzyć, gdzie obecnie znajduje się OraSaifu.

Japoński konstruktor urządzenia przekonuje, że jego gadżet spowoduje rewolucję w świecie bankowych płatności, jednak obawiam się, że w Polsce może to być melodia bardzo dalekiej przyszłości. Jeśli jednak ktoś chce zaryzykować, to OraSaifu może zamówić na portalu Indiegogo w cenie ok. 850 zł za sztukę. Dostawa w październiku.

KALKULATOR JAK Z PRL

To nie jest żart. Serio. Projektanci – konstruktorzy z Hongkongu – odkryli właśnie... kalkulator. Bynajmniej nie jakiś ultranowoczesny, obsługiwany, dajmy na to, gestami, mrugnięciem powiek, wyświetlany na blacie biurka czy na ścianie, ulokowany w telefonie komórkowym, kubku czy długopisie. Wręcz przeciwnie, a przecież przyzwyczailiśmy się, że to, co z Hongkongu, zazwyczaj poraża nowatorską technologią. Tymczasem właściciele tamtejszej firmy Lofree wprowadzają, i to z sukcesami, na rynek kalkulator... tradycyjny, „pudełkowy”, teoretycznie podobny do takich, jakie można kupić w każdym sklepie zabawkarskim, doskonale znany z siemiętnego PRL.

Co ciekawe, ich projekt wzbudził tak duże zainteresowanie na portalach crowdfundingowych, że kwota określona jako niezbędna do uruchomienia produkcji została wielokrotnie przekroczona. Urządzenie nazywa się także zupełnie pospolicie Lofree Digit Calculator.

Co go odróżnia od znanych na rynku pudełkowych kalkulatorów? Dobra mechanika przycisków – wystarczy muśnięcie, by na ekranie pojawiły się cyfry. W dodatku – i to chyba jest najważniejsze – okrągłe przyciski są dopasowane do opuszków palca, co zmniejsza ryzyko pomyłki podczas wpisywania cyfrowych kombinacji. No i wi-
brują przy naciśnięciu. Przy tym wszystkim urządzenie inspirowane stylistyką lat 60. nadal pozostaje zwykłym kalkulatorem. Zamawiać można na Kickstarterze, płacąc za niego ok. 109 zł. ☹☹



Wojciech Wybranowski

Poland Daily

WEATHER

BUSINESS



10:00 PM, 12:00 AM, 2:00 AM, 4:00 AM (Warsaw time)
4:00 PM, 6:00 PM, 8:00 PM, 10:00 PM (Eastern Time, US)

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl



Łukasz Zboralski

Jeśli myślicie, że nie macie w szafie marki, za którą stoi największa polska firma odzieżowa, to być może tylko wam się tak wydaje. Tymczasem Polakom dostarczającym ubrania przestały wystarczać nawet europejskie rynki

Ramat Gan, miasto położone niedaleko Izraela. W tamtejszym centrum handlowym Ayalon Mall w połowie sierpnia otwierany jest nowy sklep. Jak relacjonowały izraelskie media, już na kilka godzin przed otwarciem przed sklepem ustawilo się kilkaset osób. Część z nich z pewnością przyciągnęła promocja – przy zakupach za 200 szekli sklep dodawał darmowy bilet do Europy. Na amatorskim filmie umieszczonym na YouTube widać moment otwarcia. Tłum pcha się i rzuca na ubrania, sceny jak z promocji w dyskontach, ludzie prawie się trącają przy bramkach. Podobno robiących zakupy było tak dużo, że obsługa sklepu w jednym momencie zmuszona była zamknąć na chwilę kasy.

Tak wyglądało otwarcie salonu odzieżowego marki Reserved. To marka polskiego producenta odzieży – spółki LPP.

Sceny z Izraela mogą dziwić, bo w Polsce jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że rozmaite gałęzie przemysłu są u nas w rękach zagranicznych kolosów. Angielskie nazwy marek nie ułatwiają też zdania sobie sprawy z tego, że jeden z gigantów polskiej giełdy to ludzie z Gdańska, którzy 25 lat temu zaczęli sprzedawać odzież.

MILIONY NA LUDZIACH

LPP – czyli skrót od Jerzy Lubianiec, Marek Piechocki i Partnerzy – wyceniana jest na GPW na kilkanaście miliardów złotych. Liczby dobrze pokazują skalę tego, co udało im się osiągnąć. Firma ma prawie 2 tys. sklepów w 20 krajach na trzech kontynentach, zatrudnia 25 tys. osób. Rocznie z wieszaków klienci ściągają ok. 170 mln sztuk odzieży. Firma obraca nie milionami, ale miliardami złotych, samego podatku w Polsce w ubiegłym roku zapłaciła 813 mln zł.

W ubiegłym roku marka Reserved otworzyła najdroższy sklep w historii pol-



Ubieramy

skich firm. Salon o powierzchni 3 tys. mkw. znajduje się na londyńskiej Oxford Street – to jeden z najistotniejszych deptaków handlowych Europy. Klienci na tej jednej ulicy zostawiają w sklepach więcej pieniędzy rocznie niż polski rząd przeznacza na program „500+”. LPP podpisała tam umowę najmu, która przez dziesięć lat kosztować będzie spółkę 226 mln zł.

Rozmach towarzyszący otwarciu był ogromny, w brytyjskiej stolicy nie można było nie zauważyć plakatów ze znaną modelką Kate Moss, która została wówczas twarzą marki. W tym roku marka sięgnęła po inną gwiazdę modelingu – kolekcję na wiosnę i lato promowała Cindy Crawford – i myliłby się ten,

kto by sądził, że to po prostu sieganie po modelkę, która największe triumfy święciła na przełomie lat 80. i 90. Po prostu projekty marki w tym roku nawiązywały do estetyki sprzed dekad. Stąd i w reklamach ikona z tamtych lat w nie odziana. W kampanii pojawił się też aktor z hitowego serialu Netflix’a „Stranger Things”, osadzonego w latach 90.

OD HURTOWNI DO KATARU

Lubianiec i Piechocki zaczęli od założonej w 1991 r. spółki Mistral, za pomocą której zajęli się sprzedażą odzieży sprowadzanej z Azji. Biznes szedł tak dobrze, że cztery lata później przekształcili ją w LPP i postawili na własną markę –



świat

właśnie Reserved – której pierwsze salony zaczęli otwierać w 1999 r. Okopani na polskim rynku pierwszy odzieżowy skok wykonali na Europę Środkowo-Wschodnią. W latach 2002–2003 Reserved pojawiło się na rynkach w Rosji, Estonii, na Łotwie, Litwie, Ukrainie, a także w Czechach, na Słowacji i Węgrzech.

Sukces poza granicami skłonił ludzi z LPP do wprowadzenia nowej marki ubrań – Cropp. Droga była już otwarta. Po pierwszym salonie w Polsce (2004 r.) zatem w ciągu dwóch lat w rzeczy z taką metką zaczęli ubierać się ludzie w sześciu innych państwach.

Następne na celowniku gdańskich biznesmenów były Rumunia i Bułgaria.

Cztery lata temu Reserved wkroczyło do Niemiec, a w Chorwacji pojawiły się salony wszystkich marek (w portfolio były już wówczas kupione przez LPP House i Mohito).

Trzy lata temu Polacy otworzyli pierwsze poza Europą salony Reserved. Najpierw w Egipcie, Katarze, Kuwejcie i Arabii Saudyjskiej. Potem w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Izrael, w którym polski butik szturmowali klienci, był tylko kolejnym krokiem na Bliskim Wschodzie – choć w tym wypadku polski potentat zdecydował się na franczyzę. Izraelski partner H&O ma szukać dalszych lokalizacji pod następne salony. I otwarcie kolejnego sklepu w Izraelu

zaplanowano na początek 2019 r. (docelowo mają tam dotrzeć wszystkie marki LPP).

A to nie koniec. Jeszcze w tym roku firma znad Wisły otworzyć ma pierwsze salony w Słowenii i Kazachstanie, a w przyszłym zamierza też sprzedawać ubrania Finom oraz Bośniakom.

NA SPORTOWO

LPP jest największą firmą w polskiej odzieżówce, ale nie jest firmą jedyną – a więc nie był to biznesowy przypadek, łut szczęścia. W sprzedawaniu ubrań potrafimy się specjalizować. Dobrym przykładem jest marka 4F, która sporo namieszała na rynku odzieży sportowej. O ile jeszcze dwie, trzy dekady temu w sklepach wielkopowierzchniowych w Polsce królowały butiki znanych zagranicznych sportowych koncernów, to dziś trudno nie spotkać w nich rodzimej marki tworzonej przez spółkę OTCF. Kto zwraca uwagę na to, w czym Polacy biegają, jeżdżą na rowerach czy na rolkach, ten musi widywać znaczek 4F.

Marki trudno nie zauważyć, bo to właśnie w niej występuje wielu polskich lekkoatletów. 4F ubiera też polskich sportowców na igrzyska olimpijskie (pierwszy raz założyli polskie stroje w Vancouver w 2010 r.). To był zresztą chyba jeden z kluczowych momentów rozwoju. W tym roku na zimowej olimpiadzie w Pjongczangu w polskich strojach startowali nie tylko rodzimi sportowcy, lecz także reprezentanci Grecji.

4F ubierał już takie tuzy polskiego sportu, jak Adam Małysz, Justyna Kowalczyk czy Kamil Stoch. Jeżdżą w nich łyżwiarze, biathloniści, narciarze.

W Polsce OTCF ma już 174 własne sklepy, a poprzez umieszczanie ubrań w sklepach z wieloma markami dociera do 33 krajów. To też wciąż jeszcze za mało jak na apetyt specjalistów od sportowych strojów – już dwa lata temu zdradzali, że mocno przymierzają się do wejścia na rynki Czech, Rumunii, Słowacji, Serbii i Łotwy. W tych krajach spółka ma już kilkanaście sklepów. W ubiegłym roku otworzyła pierwszy salon na Litwie – w Wilnie. A z zapowiedzi przedstawicieli firmy wynika, że na celowniku są jeszcze Bałkany czy Austria.

W czerwcu tego roku prezes Igor Klaja ujawnił, że 4F przygotowuje się teraz do inwazji na rynki azjatyckie. Firma ma już swój pierwszy sklep w Tajlandii – w Bangkoku.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czy są pieniądze na zbrojenia?

Co jakiś czas – najpierw przez PO, a teraz przez PiS – jesteśmy karmieni zapewnieniami, że już niedługo, najpóźniej za kilka miesięcy, nasza armia zostanie wyposażona w nowoczesny sprzęt. I to tak nowoczesny, że w sam raz na miarę czyhających na nas zagrożeń. Potem mijają te kolejne miesiące, a sprzętu jak nie było, tak nie ma. Ani śmigłowców – 70, 50 czy 16, ba – choćby jednego, ani czołgów dla pancerniaków, ani okrętów dla Marynarki Wojennej. Ani nowych, ani nawet używanych.

Owszem, nie zapomniałem, że niedawno zawarte zostało z USA porozumienie w sprawie zakupu systemu rakiet Patriot. Lecz, po pierwsze, do czasu ich otrzymania też wypadaloby móc się czymś bronić, a po drugie – coś mi się zdaje, że samymi patriotami to my Polski nie obronimy.

Tymczasem jeśli już teraz wydajemy 2 proc. PKB na armię, a podobno wydajemy – czyli jeśli wydajemy 2 proc. PKB na armię, w zasadzie nie kupując nowych broni, to skąd weźmiemy pieniądze na ich zakup? Tym bardziej że owe 2 proc. PKB to, z grubsza licząc, 40 mld zł, a tylko na patrioty potrzebujemy prawie 20 mld zł, na śmigłowce mieliśmy (mamy?) wydać 13 mld zł, na już chyba nieaktualne kupno dwóch używanych australijskich fregat zaś – 2 mld zł.

Innymi słowy: gdzie są te mityczne pieniądze na zbrojenia, których nam podobno nie brakuje? A może raczej: czy w ogóle mamy jakieś pieniądze na zbrojenia, czy też całe

2 proc. PKB pochłania nam po prostu bieżące utrzymanie armii (pensje, emerytury, remonty, paliwo, prąd itd.) plus drobne zakupy broni, amunicji i mundurów? Zadają to pytania nie raz po raz, ostatnio – na tych łamach – na początku 2017 r. Nie ja jeden zresztą je zadaje. A potem mijają: tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem, a polskie wojsko jak nie miało wystarczającej liczby czołgów, śmigłowców, wozów bojowych i okrętów, tak nie ma – i to nie ma „coraz bardziej”, bo co i rusz któryś z do tej pory używanych się rozbija albo rozpada ze starości i trzeba go wyrzucić na złom.

Powtórzę więc za felietonem sprzed półtora roku: „Mam nadzieję, że nie jest tak, iż pieniądze te znowu – jak nie jeden raz wcześniej – zostały przejedzone i dalej są przejadane. I zamiast na zakupy dla polskiej armii nadal są przeznaczone na inne cele. Na cele z całą pewnością niezmiernie ważne. Lecz czy może być coś ważniejszego i pilniejszego od uzbrojenia polskiego wojska w sytuacji narastającego zagrożenia agresją ze strony Rosji? Czy w takiej sytuacji zdecydowanie na drugi plan, i to natychmiast, nie powinny zejść wydatki na podwyżki emerytur, wszelkiego rodzaju zasiłków dla dzieci i bezrobotnych, uposażeń dla posłów, pensji dla nauczycieli i urzędników, i wszystkich innych potrzebujących?”. I obawiam się, że przez kolejne półtora roku niewiele się zmieni, a ja znów będę musiał powtórzyć te same pytania. ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Wojny cyfrowe XXI w.

Po okresie agresywnej globalizacji, gdy obniżano cła i przenoszono produkcję do tanich krajów, od wielu lat obserwujemy proces odwrotny. Kraje Zachodu wprowadziły sankcje wobec Rosji, administracja Trumpa wprowadziła cła na import towarów z wielu krajów, m.in. z Chin i Turcji. W przypadku Chin są to reakcja na politykę wspierania swoich firm subsydiami, ograniczenia w działaniu firm zachodnich w Chinach i prowadzone na masową skalę bardzo skutecznie szpiegostwo gospodarcze. W odniesieniu do Rosji i Turcji przyczyną są działania polityczno-militarne tych krajów postrzegane jako złamanie globalnych reguł gry ustalonych przez świat Zachodu. Jednak trzeba też pamiętać, że o ile globalizacja była w interesie firm amerykańskich w minionych kilku dekadach, bo dzięki temu miały dostęp do taniej siły roboczej i nowych rynków zbytu, o tyle obecnie postęp w dziedzinie sztucznej inteligencji i robotyki powoduje, że tanich pracowników w Chinach (którzy zresztą już nie są tak tani) można zastąpić inteligentnymi robotami w krajach macierzystych. Dalsze zaś zdobywanie rynków zbytu wymaga liberalizacji tych rynków, do czego ma zmusić twarda polityka handlowa.

Wprzeszłości okresy protekcjonizmu i wojen często występowały wspólnie. To oczywiście rodzi obawy, że tak będzie i tym razem. Zresztą Rosja już zapowiedziała, że zaostrzenie

sankcji gospodarczych może doprowadzić do różnych działań odwetowych, niekoniecznie ograniczonych do sfery gospodarczej. W XXI w. konflikty militarne między światowymi potęgami, w tym potęgami atomowymi, mają inny charakter niż w minionych stuleciach. Chociaż potęgi gospodarcze i militarne stają po różnych stronach lokalnych konfliktów, tak jak w Syrii, to jednak unika się bezpośrednich starć z obawą, że może to przerodzić się w konflikt atomowy, co oznaczałoby prawdopodobny koniec cywilizacji. Jednocześnie trwa globalna wojna cyfrowa w cyberprzestrzeni, w której ścierają się armie specjalistów IT.

Celem tych działań jest np. wpływanie na wynik wyborów albo destabilizacja rynków finansowych, sabotaż sterowania ważnej infrastruktury, takiej jak sieć energetyczna, wodna czy transportowa, wywołanie paniki w dużych ośrodkach miejskich przez prowadzone na masową skalę akcje dywersyjne w Internecie lub cyfrowy szantaż/kompromitacja kluczowych osób w państwie. Przy czym, o ile w tradycyjnej wojnie było wiadomo, kto strzela do kogo, o tyle w cyfrowej cyberwojnie możliwe są działania, gdzie trudno będzie jednoznacznie zidentyfikować głównych aktorów, zwłaszcza jeśli użyte zostaną drony wyposażone w sztuczną inteligencję.

Nadchodzą wojny cyfrowe XXI w. ©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.



100 %

**polski
produkt**

JUŻ NIEBAWEM RUSZA
**III EDYCJA
KONKURSU**

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

PATRONAT HONOROWY



PARTNERZY



PARTNER MERYTORYCZNY

Stacja obsługi samochodów
Polski Fiat, lata 1937–1939 FOT.NAC

Motozapaść

Paweł Witaszek

W II RP władza tak inwestowała w rozwój przemysłu motoryzacyjnego, że doprowadziła do jego zapaści. Nie powinniśmy powtarzać takich błędów

Polska, która w 1918 r. odzyskała niepodległość, była biedna, słabo uprzemysłowiona i zdominowana przez obcy kapitał. Jednym z głównych dylematów w toczonych ówczesnie dyskusjach była rola państwa w procesach gospodarczych.

Państwo realizowało główne projekty inwestycyjne. A głównym celem tworzonych przepisów było zabezpieczenie przed konkurencją państwowych inicjatyw. Jednym ze sztandarowych projektów był projekt „rozwoju motory-

zacji” – pochłoniął kwoty porównywalne z budową portu w Gdyni.

Tak opisywał to dr Tadeusz Bernadzikiewicz w wydanej w 1935 r. pracy „Przerosty etatyzmu” (zachowujemy pisownię oryginalną):

„Sprawa motoryzacji stanowi w Polsce bezsprzecznie jedno z tych palących zagadnień, których pomyślne rozwiązanie stało się już koniecznością państwową. Pod względem motoryzacji Polska była i jest niesłuchanie zapóźniona. Toteż opracowanie w tej kwestii sumiennego planu, obliczonego przytem na czas dłuższy, oraz konsekwentna realizacja tego planu stanowi chyba postulat nietrudny do uzasadnienia. A tymczasem – nasza rzeczywistość jest tak odmienna! I właśnie niefortunna na tym odcinku historia ostatnich kilku lat wiąże się najciślej z działalnością Państwowych Zakładów Inżynierii, których polityka oddziaływała katastrofalnie na rozwój ruchu samochodowego.

Po pierwszych nieudanych próbach stworzenia w Polsce własnego prze-

mysłu samochodowego (samochody włoskie »Spa«, produkowane przez spółkę akcyjną »Ursus«, wozy Centralnych Warsztatów Samochodowych konstrukcji inż. Tańskiego i t. p.), gestja polityki w tej dziedzinie powierzona została Państwowym Zakładom Inżynierii, utworzonym w r. 1928.

W roku 1930 zawierają Państwowe Zakłady Inżynierii umowę z szwajcarską fabryką »Saurer«, na podstawie której otrzymują licencję na produkcję wozów tej marki. W wykonaniu wspomnianej umowy samochody ciężarowe i autobusy »Saurer« są narazie montowane, a następnie mają być również całkowicie budowane w Polsce w fabryce »Ursus«. Niestety wozy »Saurer«, mimo ich wysokiej technicznej wartości, okazały się zupełnie niedostosowane do polskich warunków. Tak więc waga tych wozów jest tak wysoka, iż w razie ich większego rozpowszechnienia należałoby przebudować 90 proc. naszych mostów drogowych, aby mogły one wytrzymać powodowane przez te wozy obciążenie.

Po wtóre samochody »Saurer« są – jak na nasze warunki – niesłychanie drogie (cena autobusu około 80.000, cena podwozia około 50.000 zł.). Wreszcie ponad 90 proc. zapotrzebowania polskiego rynku stanowią wozy ciężarowe lekkie o nośności do 2 tonn, a nie wozy ciężkie ponad 4 tonn. Ten ostatni moment powodował, iż wozy »Saurer« nie mogły znaleźć u nas szerszego zastosowania nawet niezależnie od ich ceny. Rezultat był taki, iż np. z 75 gotowych samochodów, zmontowanych w fabryce »Ursus« w roku 1931, sprzedano w ciągu roku zaledwie jeden, którego nabywcą był... Instytut Badań Inżynierji, a więc dla celów badawczych, a nie dla użytkowania. Ostatecznie w r. 1935 montaż podwozi samochodów »Saurer« został przez Państwo we Zakłady Inżynierji wogóle zaniechany.

W r. 1931 przedsiębiorstwo postanowiło przystąpić do uruchomienia własnej fabryki wozów osobowych i lekkich ciężarowych. W związku z tem zawarto umowę licencyjną z włoską firmą »Fiat« w Turynie. Na podstawie tej umowy została powołana do życia spółka »Polski Fiat«, mająca się trudnić sprzedażą samochodów marki »Fiat«, sprowadzanych z zagranicy bez cła przez Państwowe Zakłady Inżynierji. Jednocześnie, jak już wiemy, przeprowadzono znaczną zwyzkę ceł na samochody i części samochodów innego pochodzenia.

Cła na gotowe części samochodowe, małe samochody i motocykle zostały obniżone dopiero w r. 1935. W ten sposób Państwowe Zakłady Inżynierji stały się faktycznym monopolistą na polskim rynku samochodowym. Mimo to, prawdziwej fabrykacji nie zdołano uruchomić aż do r. 1935. Wybór samochodu »Fiat«, podobnie jak to miało miejsce z wozami »Saurer«, był niefortunny. Budowa tego samochodu jest delikatna i nie odpowiada złemu stanowi dróg polskich. Pod względem technicznym ustępują wozy »Fiat« najbardziej nowoczesnym modelom firm angielskich, amerykańskich, francuskich i niemieckich, toteż zostały przyjęte nieprzychylnie przez rynek prywatny. Do tego należy dodać tak wysokie ceny sprzedażne (cena samochodu »Polski Fiat« wynosiła 7200 zł., »Polski Fiat« typu 508 kosztuje dziś 5.200 zł., podczas gdy 4-ro cylindrowy »Ford« w Londynie tylko ok. 3.200 zł.), iż przerastają one możliwości nabywcze naszego rynku.

W r. 1935 Państwowe Zakłady Inżynierji, przeobrażając się stopniowo z czystej montowni w wytwórnię samochodów, rozpoczęły produkcję wozów

ciężarowych typu 621 L i 621 R z silnikiem 3 litrowym o nośności 2,5 tonn. Wozy te wykonywane są w 86,5 proc. w kraju (po odliczeniu kosztu licencji – nawet w 90,5 proc.), z surowców krajowych. Podwozie typu 621 L stanowi ciężarówkę, a 621 R – przeznaczone jest dla budowy autobusów na 16–20 miejsc. Prócz tego Państwowe Zakłady Inżynierji produkują obecnie mały samochód osobowy Fiat 508 III, wykonywany z surowców krajowych – wkrótce – w 70 proc. Dzisiejsza zdolność produkcyjna fabryki wynosi łącznie około 12–13 sztuk wozów dziennie.

W rezultacie działalność Państwowych Zakładów Inżynierji została związana w sposób trwały z wozami, które okazały się niedostosowane do polskich warunków. Aby jakoś ruszyć z miejsca, poczęto stosować nacisk administracyjny w kierunku popierania sprzedaży samochodów »Saurer« i »Fiat«. Urzędem państwowym zakazano nabywania samochodów innych marek. Analogiczny przymus stosuje się do samorządów i uzależnionych firm prywatnych. Nabywcy maszyn »Fiat« i »Saurer«

W latach 1929–1935 liczba dorożek konnych w Warszawie wzrosła o 35 proc., a liczba taksówek w tym samym czasie spadła o 34 proc.

otrzymali pierwszeństwo przy udzielaniu koncesyj autobusowych. Wozom spółki »Polski Fiat« przyznano ulgę podatkową, dochodzącą do 60 proc. Niestety, wszystkie te środki nie zdołały przekreślić faktu, iż uprzywilejowane samochody są za drogie i dla rynku polskiego nieodpowiednie.

Wytworzyła się dość charakterystyczna sytuacja. Przy pomocy wysokich ceł uniemożliwiono nie tylko przywóz odpowiednich dla naszych warunków samochodów, ale i remont posiadanych już taboru. Jednocześnie zaś, wprowadzone na rynek polski w sposób uprzywilejowany wozy »Saurer« i »Fiat« nie mogą znaleźć odbiorców ze względu na nieodpowiedni typ tych wozów lub ich nadzbyt wysoką cenę. W wyniku tego liczba samochodów w Polsce, poczynając od r. 1931, zaczyna się zmniejszać w sposób zastraszający. Niewątpliwie oddziaływały tu również i inne przyczyny, jak nadmierne obciążenie

fiskalne samochodów na rzecz Państwowego Funduszu Drogowego i t. p.; podobno osiągnęło ono w Polsce rekord światowy. Nie umniejsza to jednak w niczym wpływu opisanych wyżej czynników, które okazały się wystarczające, aby zahamować u nas całkowicie tendencje rozwojowe w dziedzinie motoryzacji”.

WIĘCEJ BRYCZEK NIŻ TAKSÓWEK

„Główną przyczyną nikłej konsumpcji benzyny – mówił na Zjeździe Naftowym w Borystawiu inż. Bóbr – u nas jest nieszczęśliwa polityka motoryzacyjna. Drogą zamknięcia dowozu samochodów z zagranicy i wygłodzenia rynku zmusić zamierzano życie gospodarcze do ograniczenia rodzaju używanych pojazdów mechanicznych do 2–3 typów, częściowo montowanych, a częściowo wytwarzanych w wytwórniach rządowych, oraz do nabywania tych pojazdów po drogich cenach. Tymczasem życie poszło inną drogą – żywy koń zwyciężył na całej linii rządowego konia mechanicznego, ograniczonego sztucznie w swych możliwościach rozwojowych, cofając nas pod względem cywilizacyjnym».

Ciekawa jest pod tym względem statystyka stolicy kraju, Warszawy: liczba taksówek spadła w Warszawie od r. 1929 do r. 1935 o 34 proc., a liczba dorożek konnych wzrosła w tymże czasie o 35 proc. i jest obecnie większą od tej pierwszej.

W dn. 1.I.1935 r. było w Polsce ogółem 34.173 różnego rodzaju cywilnych pojazdów mechanicznych, a w dniu 1.I.1936 r. – 34.129, a więc mimo tylu wysiłków mniej o 44 pojazdy.

Bardzo charakterystyczne są również cyfry przywozu samochodów do Polski. W ostatnich latach – aż do roku 1935 – pokrywają się one zarówno z importem, jak i z produkcją krajową, która, jak wiadomo, oparta była na imporcie podwozi. Otóż, jeśli wagę przywiezionych w r. 1928 samochodów (6.300,5 t.) przyjąć za 100, wówczas dla r. 1933 przywóz wyniesie 7,9. W latach 1928/29 rejestrowano u nas rocznie do 10.000 nowych samochodów, w okresie zaś rocznym od dnia 1 lipca 1933 r. do 30 czerwca 1934 r. liczba zarejestrowanych samochodów wyniosła łącznie około... 700, w tem 80 autobusów »Saurer«, zakupionych przez P. K. P. (por. W. Bóbr, 1935, op. cit., str. 5). W r. 1934 ilość sprzedanych w Polsce nowych samochodów wyniosła 900 sztuk, wykazując nareszcie pewien wzrost

■ w r. 1935, kiedy to osiągnęła sumę 2.200 wozów.

W tym samym czasie w Niemczech liczba sprzedanych samochodów osobom prywatnym przedstawiała się następująco:

w r. 1932 – 44.000 sztuk
w r. 1933 – 93.000
w r. 1934 – 157.000
w r. 1935 – 215.000

Cyfry te mówią same za siebie.

Jeśli chodzi o ocenę położenia w liczbach bezwzględnych, w dniu 1.1.1936 r. było w Polsce 24.659 sztuk samochodów i 8,395 motocykli (W. Bóbr, 1936, op. cit., str. 320). Liczbę istotnie czynnych wozów oblicza się na 15.000. Pozostałe wozy stoją w remoncie. Udział Polski w światowej cyfrze zarejestrowanych samochodów (33.330.000 sztuk) wynosi 0,08 proc.”

NISZCZENIE MOTORYZACJI

„Pośród krajów europejskich według liczby posiadanych samochodów Polska zajmuje 19-te miejsce, poza Finlandją i Rumunią. Mniej samochodów od nas mają tylko Węgry, kraje bałkańskie i bałtyckie. Pod względem liczby mieszkańców, przypadających na 1 posiadany samochód, zajmujemy jedno z ostatnich miejsc w Europie, nawet poza Albanją. W Polsce jeden samochód wypada na 1.245 mieszkańców, w Albanji na 1.200 mieszkańców. W gorszej sytuacji od nas znajdują się tylko Rosja, Bułgaria, Jugosławia i Litwa. Zato w Anglii 1 wóz przypada na 22 mieszkańców, we Francji – na 27, w Szwajcarii – na 41, a w Niemczech – na 95 mieszkańców.

Jak widzimy więc, »planowe« posunięcia państwowej polityki samochodowej i narzędzia tej polityki – Państwowych Zakładów Inżynierii – przyniosły w rezultacie zupełną demotoryzację kraju. Toteż niepodobna się dziwić opinii inż. Bobra, wypowiedzianej na Zjeździe Naftowym we Lwowie, iż »dotychczasowa polityka nasza w dziedzinie motoryzacji czyniła wrażenie, że celem jej jest nie rozwój ruchu samochodowego, lecz jego niszczenie«. W podobnym kierunku poszła również opinia rządowej »Gazety Polskiej«, która dotych-

czasowe nasze poczynania w dziedzinie motoryzacji określiła jako »doskonały, dla najgorszego studenta jasny i niewątpliwie przykład idealnie złej polityki gospodarczej«.

Okres walki z samochodem kosztował kraj bardzo drogo. Zdaniem inż. Bobra »przedewszystkiem okres ten doprowadził do ruiny cywilny tabor samochodowy w kraju. Pozatem spowodował on duże straty pieniężne, zarówno dla państwa, jak i dla społeczeństwa. Gdybyśmy chcieli obliczyć straty, jakie zostały poniesione przez państwo, które łożyło środki na organizację własnej produkcji samochodów, dalej przez kolej, które walczyły z samochodami drogą obniżenia taryf, oraz przez społeczeństwo i życie gospodarcze, wywołane przez przepłacanie za samochody montowane, względnie wytwarzane w kraju (Ursus,

skich, pisali do taternickiej prasy. Tadeusz był doktorem ekonomii, uczniem prof. Romana Rybarskiego (1887–1942). Zginął, najprawdopodobniej zastrzelony czy też rozstrzelany, w czasie Powstania Warszawskiego w obozie w Pruszkowie.

W czasie wojny zginęły miliony Polaków, wśród nich także jeden z 25 tys. szczęśliwych posiadaczy samochodu, mój dziadek Lech Witaszek.

Stanisław Stroński przytacza rozmowę z początku 1939 r. z pewnym niemieckim przemysłowcem. Przewiduje on, że jeśli Niemcy zdecydują się na wojnę, to ją przegramy, i uzasadnia to tym, że w Niemczech produkuje się ćwierć miliona samochodów rocznie, a w Stanach – milion. Polskie elity polityczne nie potrafiły zdobyć się na podobną refleksję, zastanawiając się nad szansami zwycięstwa w wojnie z Niemcami. Nie potrafiły też wypracować skutecznego programu rozwoju gospodarczego.

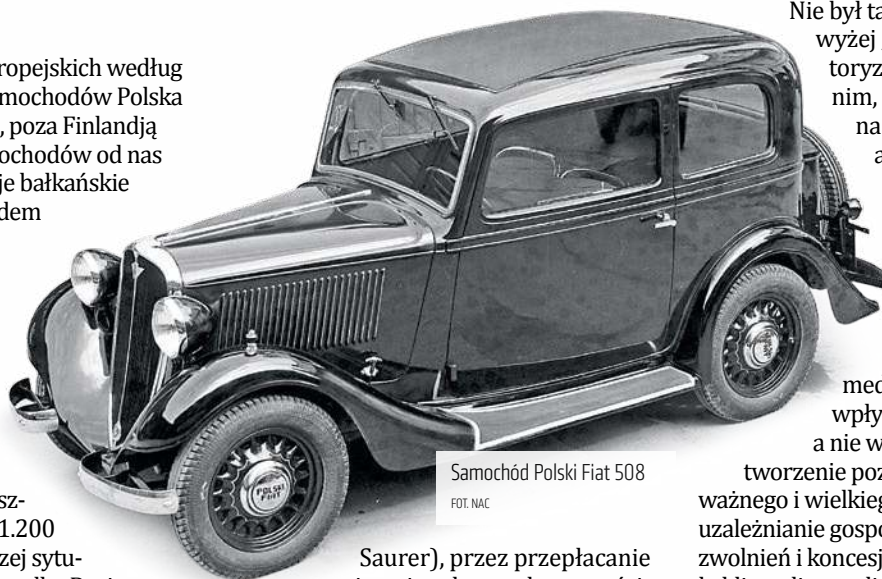
Nie był takim nie tylko opisany wyżej »program rozwoju motoryzacji«, lecz także nie był nim, chociażby ze względu na niezwykle małą skalę, a pochłaniające znaczną część środków budżetowych, COP czy Gdynia.

Ich wspólną cechą był brak głębszego pomyślnku, koncentracja na »efekcie medialnym«, gdzie celem jest wpływ na zbiorową psychikę, a nie wpływ na rzeczywistość;

tworzenie pozorów, że dzieje się coś ważnego i wielkiego. Do tego dochodziło uzależnianie gospodarcze przez systemy zwolnień i koncesji. Na tym z kolei bazowały klientelizm polityczny i łapówkarstwo.

W naszych czasach budżet państwa jest wielokrotnie większy, realizowane są inwestycje o niewyobrażalnej przed wojną skali. Mając więcej zasobów, tym bardziej nie powinniśmy się zwalniać z poszukiwania najkorzystniejszego modelu rozwoju. Jego podstawowym wyznacznikiem powinna być umiejętność określenia realnych celów i środków, gdzie jest jasne, co ma z czego wynikać, a nie chowanie się za miło brzmiącymi hasłami. Doświadczenia, nasze i obce, powinny być głęboko analizowane, a nie wykorzystywane jako uzasadnienie bezrefleksyjnej próby powielania, bez uwzględnienia tego, że sytuacja może wcale nie być analogiczna.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Samochód Polski Fiat 508
FOT. NAC

Saurer), przez przepłacanie nieracjonalnego cła za części zamienne i za gotowe samochody importowane, to straty tego okresu wyrażą się skromnie licząc – sumą od 100 do 150 milj. zł. Za te pieniądze można było kupić od 40 do 60 tys. mocnych, tanich samochodów amerykańskich i rozdać je darmo obywatelom«.

NIE TWORZYĆ POZORÓW

Tadeusz Bernadzikiewicz (1906–1944) i jego brat Stanisław (1907–1939) byli znanymi taternikami – w przewodnikach Paryskiego odnotowane zostały ich »pierwsze drogi«. Stanisław zginął w czasie słynnej polskiej wyprawy w Himalaje w lipcu 1939 r. Obaj byli aktywni w klubach i organizacjach wysokogór-

PATRONAT
DO
RZECZY

Globalizacja 2.0

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Globalizacja przyniosła szybkie zmiany gospodarcze i społeczne na całym świecie. O jej drugiej fazie, a także o glocalizacji, będą dyskutować goście, którzy przyjadą we wrześniu do Krynicy

Globalizacja była jednym z najważniejszych czynników napędzających zmiany w drugiej połowie XX w. Zachodnie firmy inwestowały w Azji, czy potem w Europie Środkowej i Wschodniej, ze względu na niskie koszty pracy. Współcześnie mamy do czynienia z przesunięciem równowagi gospodarczej: władza ekonomiczna rozprzestrzeniła się po całej planecie, a Zachód nie dominuje już na światowych rynkach. W samym 2012 r. aż 132 chińskie firmy otworzyły nowe oddziały w Niemczech, najwięcej spośród wszystkich krajów, a to oznacza już zasadniczą zmianę jakościową. Weszliśmy w drugą fazę globalizacji. Kraje rozwijające się nie są już tylko biernym

odbiorcą bezpośrednich inwestycji zagranicznych, lecz także same generują projekty, które mają potencjał podboju rynków zagranicznych.

Amerykański filozof i ekonomista, Francis Fukuyama, który po upadku muru berlińskiego w 1989 r. pisał o końcu historii w wyniku globalizacji, tym razem w obszernym esej opublikowanym na łamach „Foreign Affairs”, zauważa jednak, że nie wszyscy skorzystali na globalizacji. W wielu krajach skorzystali na niej zwłaszcza ludzie bogaci i dobrze wykształceni. Globalizacja spowolniła jednak ruch w kierunku coraz bardziej otwartego i liberalnego porządku światowego, który zaczął słabnąć, aż w końcu się odwrócił.

Jak zauważa amerykański filozof, reputację całego systemu liberalnych demokracji, których czołowymi przykładami były Unia Europejska i Stany Zjednoczone, zniszczyły globalny kryzys finansowy w latach 2007–2008 oraz rozpoczęty w roku 2009 krach w strefie euro. W ostatnich latach liczba demokracji zmalała w praktycznie wszystkich regionach świata. Na znaczeniu zyskały

zaś autorytarnie rządzone kraje jak Rosja czy Chiny. Słynny politolog wzywa więc do stworzenia zdefiniowanego międzynarodowego, uniwersalnego katalogu wartości „republikańskich” i „obywatelskich”.

MYŚL GLOBALNIE, DZIAŁAJ LOKALNIE

Goście w Krynicy dyskutować będą też o glocalizacji. Jest ona nowym określeniem, które powstało w wyniku napięcia między globalnością a lokalnością. Chodzi tu o zróżnicowanie i dostosowanie oferty danego przedsiębiorstwa do standardów lokalnych. W ten sposób pragną one dotrzeć do szerszej grupy odbiorców, a jednocześnie adaptują swoje usługi do lokalnej rzeczywistości, w której działają. Czy glocalizacja może być narzędziem rozwojowym w rękach – nie tylko lokalnych – przedsiębiorców? Jak aktywne wykorzystanie lokalnego kolorytu może rozwinąć, pomóc w rozkwicie regionów czy marek lokalnych? (oprac. jap)

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

XXVIII Forum Ekonomiczne odbędzie się w Krynicy w dniach 4–6 września 2018 r.

KATARZYNA PINKOSZ: Niedawno zaprezentował pan projekt Polityki Lekowej Państwa. Taki dokument jest potrzebny?

MARCIN CZECH: Tak. Konieczne jest uporządkowanie kierunków działań rządu, a przede wszystkim Ministerstwa Zdrowia w kształtowaniu polityki lekowej, czyli działań nakierowanych na poprawę stanu zdrowotnego społeczeństwa w zakresie farmakoterapii, ale również profilaktyki, np. związanej ze szczepieniami. Wskazujemy kierunek działań. Później konieczne są zmiany legislacyjne i organizacyjne, żebyśmy za te środki, które mamy, kupowali jak najwięcej zdrowia dla polskich obywateli. Dokument został poddany konsultacjom społecznym. Został bardzo pozytywnie przyjęty, choć otrzymaliśmy ponad 200 uwag, które wpłyną pozytywnie na jego ostateczny kształt. Zwykle były to uwagi konstruktywne, choć niektóre wzajemnie się wykluczały, gdyż odzwierciedlały interesy różnych grup, często sprzeczne.

Naszym celem byłoby jak najszybsze procedowanie, tak by Polityka Lekowa Państwa stała się dokumentem rządowym, jak to jest rekomendowane przez WHO.

Wiele uwag było pozytywnych, ale pojawiały się też krytyczne: polskie firmy uważały, że RTR – Refundacyjny Tryb Rozwojowy – w większym stopniu preferuje firmy zagraniczne. A chodzi o preferencje przy refundacjach leków.

Raczej firmy krajowe uważały, że RTR jest za bardzo ogólnie opisany i nie daje im wystarczających preferencji. Z kolei zdaniami firm globalnych RTR jest niezgodny z prawem UE.

RTR musi być tak skonstruowany, by był sprawiedliwy dla wszystkich firm, które są w Polsce, ponieważ obowiązuje nas prawo UE. Konieczne są takie rozwiązania, by wspomóc wszystkie firmy działające na terenie Polski. Uznaliśmy jednak, że tego typu kryteria nie są sprawą ministra zdrowia, tylko polityki gospodarczej rządu. Dlatego pozostawiamy te kwestie Ministerstwu Przedsiębiorczości i Technologii. Poza tym minister zdrowia nie powinien finansować proinnowacyjnego rozwoju państwa z refundacji leków. Dlatego na pewno nie będziemy wchodzić na większy stopień szczegółowości, jeśli chodzi o RTR.

Środowiska chorych na AIDS i hemofilię były przeciwne włączaniu ich leków do refundacji. Dlaczego chciał pan to zmieniać? Polskie Stowarzyszenie Chorych na Hemofilię uważa, że to spowoduje wzrost wydatków państwa.



Z Marcinem Czechem, wiceministrem zdrowia
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Czym będziemy się leczyć?



FOT. ARCHIWUM MARCINA CZECHA

Chorzy na AIDS bardzo chwalą dotychczasowy program leczenia, nie chcą go stracić. Jeśli zaś chodzi o hemofilię, to poziom leczenia w Polsce znacznie odbiega od innych krajów...

Nie chcielibyśmy zmieniać programu leczenia hemofilii, chcielibyśmy jednak, by do leków dla chorych na hemofilię podchodzić tak jak do innych leków.

Czy w polityce lekowej i na listach dla osób 75+ dostrzega się leki, które dają szansę utrzymywania seniorów w sprawności i samodzielności?

Cieszymy się, że przez dwa lata funkcjonowania listy 75+ udało się tyle leków udostępnić chorym za darmo. Niedawno dokonaliśmy ogromnego rozszerzenia tej listy – wpisaliśmy na nią wiele grup leków, które zarekomendowała AOTMiT, a które stanowią ulgę dla seniorów. To bardzo szerokie portfolio leków, za które osoby starsze nie muszą płacić.

Jeśli chodzi o osteoporozę, to duża część leków podlega dopłatом z budżetu państwa. Jeśli chodzi o reumatologię, to w wykazie bezpłatnych leków dla seniorów mamy podstawowe leki rekomendowane w tych schorzeniach. Seniorzy mają też dostęp do bezpłatnych leków biologicznych rozliczanych w ramach programów lekowych. Ponadto w wykazie „S” mamy wiele leków przeciwbólowych stosowanych przez pacjentów z zapaleniami stawów. Ważne oraz często wyłączające samodzielność i sprawność są też takie choroby jak jaskra, cukrzyca, nadciśnienie tętnicze oraz inne – na które leki staramy się udostępniać. Na pewno będziemy starać się listę 75+ rozszerzać.

Nie wyobrażam sobie, że może to spowodować wzrost kosztów. Jeśli chodzi o HIV, to wiceminister Gadomski sprawdził, że w Polsce kupujemy w zasadzie tylko leki innowacyjne. Jeśli kupimy część generyków – tak jak w przypadku innych chorób – które są zwykle tańsze, to w jaki sposób zapłacimy więcej? Zwłaszcza jeśli poddamy je negocjacom komisji ekonomicznej. Dla pacjentów będzie lepiej, jeśli na leki popatrzy AOTMiT i stwierdzi, że np. jeden lek jest bardzo dobry, ale inny ma taki profil bezpieczeństwa, że powinniśmy jego stosowanie ograniczyć do leczenia drugiej linii. Nie sądzę, że spowodujemy w ten sposób gorszy dostęp do leczenia dla chorych.

KATARZYNA PINKOSZ: Jest pani w Narodowej Radzie Rozwoju przy Prezydencji RP. Jak z tej perspektywy ocenia pani politykę senioralną Polski?

PROF. EWA MARCINOWSKA-SUCHOWIERSKA:

Trzeba zrobić wszystko, by starszy człowiek jak najdłużej pozostawał sprawny i żył w swoim środowisku naturalnym, czyli we własnym domu. Chorobą, która w ogromnym stopniu przyczynia się do pojawienia się niepełnosprawności ruchowej, jest osteoporoza. Złamania kości są jej następstwem i zazwyczaj pierwszym objawem klinicznym. Trzeba zrobić wszystko, by zapobiec rozwojowi osteoporozy, a jeśli już do niej dojdzie, to ją leczyć, także farmakologicznie.

Większość osób nie uważa w ogóle osteoporozy za chorobę. Jak dużym jest ona problemem w Polsce?

Osteoporoza to „cichy złodziej kości”, które są okradane z minerałów i tracą wytrzymałość. Jest nią zagrożonych 40 proc. kobiet po 50. roku życia i 13 proc. mężczyzn. To choroba społeczna ze względu na zasięg i następstwa: prowadzi do niepełnosprawności, kalectwa, wzrostu śmiertelności. Każdego roku notuje się 2,7 mln złamań z powodu osteoporozy. W 2025 r. będzie ich już 3,3 mln, a w 2035 r. – 4,1 mln. Najczęściej dochodzi do złamania trzonów kręgowych (kręgosłupa), złamań przedramienia i szyjki kości udowej (biodra). Te ostatnie są najpoważniejsze – u ok. 50 proc. osób powrót do pełnej sprawności jest zaburzony. 20 proc. umiera z powodu powikłań. Gdy np. dochodzi do złamania trzonu kręgowego, to narządy znajdujące się w klatce piersiowej ulegają zmianom. Pogarsza się wydolność oddechowa, krążeniowa. Dochodzi do zaostrzenia chorób, które – wydawałoby się – nie są związane z układem kostnym.

Osoba, która raz sobie coś złamała, ma większe ryzyko, że to się powtórzy?

Złamanie prognozuje złamanie. Po złamaniu przedramienia dwukrotnie wzrasta ryzyko złamania szyjki kości udowej. Jeśli dochodzi do złamania jednej szyjki kości udowej, to druga złamie się w najbliższych latach – jeśli nie podejmie się leczenia. Leczy się jednak zaledwie 20 proc. osób, które tego wymagają. Zwykle uważa się, że po złamaniu wystarczy zaopatrzenie ortopedyczne (gips) lub chirurgiczne leczenie operacyjne. A to dopiero czubek góry lodowej.

Jak powinno wyglądać leczenie?

Konieczne jest zapobieganie upadkom i leczenie farmakologiczne, które powinno

być wdrażane jak najszybciej. Niestety, nie zawsze tak się dzieje. Drugi problem to cena leków. Nasi pacjenci mają jeden z najgorszych w Unii Europejskiej dostęp do terapii refundowanych. W osteoporozie refundowane są tylko leki z jednej grupy: bisfosfoniany doustne zażywane raz w tygodniu. Inne nie mają refundacji lub są refundowane, ale w ograniczonym zakresie, np. tylko dla kobiet po 60. roku życia. Dla starszej osoby to niejednokrotnie duży wydatek, m.in. dlatego leczenie często nie jest kontynuowane, a czasami nawet nierozpoczynane. To jest wielki problem także dla lekarzy, którzy muszą prowadzić terapię „szytą na miarę” z uwzględnieniem zasobów finansowych seniora.

Niektórzy chorzy mają przeciwwskazania do stosowania bisfosfonianów doustnych. Powinni otrzymywać je wtedy w formie dożylniej. Brak refundacji i możliwości podania dożylnych bisfosfo-

A jak ocenia pani pod kątem polityki senioralnej i ochrony przed osteoporozą zmiany na liście leków 75+?

To duży sukces, że część leków dla osób powyżej 75. roku życia jest bezpłatna, w tym niektóre leki na osteoporozę. Cieszę się, że niedawno na liście pojawił się lek podawany podskórnie. Nie znaczy to jednak, że każda osoba po 75. roku życia może go otrzymać bezpłatnie. Musi spełnić wiele kryteriów. Powinna być możliwość stosowania go u większej grupy chorych, a także w refundacji dla chorych już po 50. roku życia, jeśli jest takie wskazanie.

Pytała pani o politykę senioralną... Powinna umożliwić życie seniorom w zdrowiu, w ich własnym środowisku. A nie w domach opieki społecznej i innych placówkach wspomagających.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z prof. Ewą Marcinowską-Suchowierską, geriatrą

rozmawia Katarzyna Pinkosz

Złodziej kości i sprawności

nianów w przychodni powoduje, że są oni kierowani do szpitala tylko celem podania leku. To jest niekorzystne ze względu na specyfikę pacjenta geriatrycznego. Terapie można rozpocząć lub zastąpić lekiem z innej grupy. Niestety, lek biologiczny, dobrze tolerowany, podawany podskórnie, jest tylko w częściowej refundacji i tylko u bardzo wąskiej grupy chorych – kobiet po 60. roku życia, które poza tym muszą spełnić wiele ostrych kryteriów. Ten lek powinien być dostępny dla większej grupy chorych, podobnie jak w innych krajach świata.





JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Wiązka siana dla Borkowica

Maćko Borkowic to kolejny faworyt w galerii portretów nieświętych. Syn wojewody poznańskiego Przybysława Borkowica z Sierakowa, zasłynął przede wszystkim jako twórca konfederacji zawięzanej 2 września 1352 r. w obronie rycerstwa wielkopolskiego, którego włości rujnowane były przez tzw. prawo ciążenia. Oznaczało ono, że dobra rycerza postawionego w stan oskarżenia można było zająć jeszcze przed wydaniem wyroku sądowego, zajmował się tym zaś starosta – w którego wymierzony był wspomniany związek szlachty. Była to jedna z pierwszych konfederacji, o której historycy piszą czasem mylnie, iż zawięzano ją przeciwko królowi. A czasem dodają nawet, że Borkowic, który występuje w jej akcie obok licznych dostojników – np. kasztelana poznańskiego Przeclawa, sędziów ziemskich Mikołaja i Dobiesława oraz ponad 80 innych rycerzy – zamierzał oderwać Wielkopolskę od Korony. Nic bardziej mylnego – konfederaci, jak podaje Jerzy Wyrozumski w biografii Kazimierza Wielkiego, deklarowali się nie tylko wrogami wszystkich, którzy okazaliby się nieprzyjaciółmi władcy, lecz także przyrzekali królowi pomoc orężem.

Któż jednak był ich głównym przeciwnikiem? Otóż mianowany starostą generalnym Wielkopolski Wierzbęta z Paniewic, człowiek obcy i znienawidzony. W dodatku zastąpił na urzędach Borkowica i Przeclawa z Gułtów, gdyż Kazimierz Wielki zniósł godności dwóch starostów wielkopolskich, powołując jednego generalnego. Król zrazu dążył do ugody – przyjął Borkowica i wysłanników konfederatów. Jednak w następnych latach doszło do rozruchów w Wielkopolsce – w 1354 r. bohater zabił kasztelana gnieźnieńskiego Beniamina, który prawdopodobnie działał na szkodę



FOT. WIKIPEDIA

związku. Wygnany z kraju schronił się na Śląsku, przebywał m.in. we Wrocławiu. Później jednak pojednał się z królem. Już w marcu 1357 r. pojawił się przy jego boku w Krakowie, potem towarzyszył mu podczas objazdu Wielkopolski i 16 lutego 1358 r. złożył w Sieradzu przysięgę na wierność.

Borkowic niedługo cieszył się wolnością. Niespodziewanie, być może jeszcze w tym samym roku, został uwięziony przez króla i skazany na śmierć. Jan Długosz podaje w rocznikach, że za łupiestwa, rabunki i utrzymywanie rozbójników. Kazimierz Wielki nie był jednak rozlazłym Augustem III Sasem ani dobrotliwym Janem Sobieskim, u których można było wyprosić łaskę, aby umknąć spod topora. Skazał wojewodę na śmierć głodową i wtrącił do lochu na zamku w Olsztynie koło dzisiejszej Częstochowy. Jak pisze kronikarz: „Z rozkazu króla dawano mu codziennie tylko wiązkę siana i czarkę wody, co go w tak okropną rozpacz wprawiło, że dla zasycenia głodu, póki mógł, własne ciało z rąk i innych miejsc wyzerał”. Borkowic przeżył w takich warunkach 40 dni, a jego winy do dziś są niejasne. Sam Długosz podaje: „Twierdzą niektórzy, że król Kazimierz z tej przyczyny Macieja wojewodę tak

srogą ukarał kazią, że był oskarżony o miłosną sprawę z królową; za co przez dni czterdzieści głodem męczony umrzeć nie mógł, dopiero po przyjęciu świętego wiatyku wyznał przy zgonie, że na śmierć taką zasłużył”. Inne wersje tej historii, bardziej baśniowe, twierdzą, że król powierzył wojewodzie ochronę swej kochanki Esterki i nadzór nad królową Adelajdą Heską, uwięzioną na zamku w Żarnowcu; jednak Borkowic sprzeniewierzył pieniądze władcy, uwodził królową, a przy okazji mordował i rabował, za co odpokutować miał w głodowym lochu w Olsztynie.

Maćko zmarł prawdopodobnie 9 lutego roku 1359 lub następnego, co stało się przyczyną kolejnego zamieszania. Najpierw jego rodzony brat Jan z Czacza rozpoczął przygotowania do rokoshu, by pomścić śmierć Maćka. Król jednak okazał się silniejszy – zgładził go, skonfiskował także należące do braci zamki w Koźminie i Czaczu, czyniąc z nich dobra królewskie. Syn Maćka lub jego brata Jana – bo Długosz wyraża się w tej sprawie niejasno – uciekł do Brandenburgii, skąd napadał na pogranicze Wielkopolski, ale został załuczony przez chłopów w miasteczku Rozdrażew. Inni badacze twierdzą, że synowie skazańca zostali wygnani na Śląsk.

Śmierć Borkowica po dziś dzień jest legendą opowiadaną chętnie na zamku w Olsztynie, jest także z ową postacią związane wydarzenie wzniosłe i niespotykane. Jakimś niesamowitym fatum i przepowiednią dla przyszłej historii naszego kraju stało się to, że w treści przysięgi na wierność królowi, złożonej w Kaliszu, pada po raz pierwszy słowo: „Rzeczpospolita” jako dodatek do sformułowania: „jego królestwo” (sui regni), zapisane w 1358 r. w przysiędze notorycznego awanturnika i warchoła, a przy okazji także lokalnego patrioty. ©

OBIAD Z DESEREM U MAŁGORZATY WASSERMANN

Moich gości zawsze staram się podjąć czymś ugotowanym przez siebie, mam kilka dań, których odwiedzający mnie przyjaciele czasem się ode mnie domagają. Jednym z nich jest kaczka pieczona w owocach – coś, co wszyscy lubią, ładnie wygląda i jeśli nie przetrzyma się jej w piekarniku, to świetnie smakuje. Ja też ją lubię, chociaż mięso jadam nieregularnie.

Składniki:

- 2 piersi kaczki
- żurawiny
- 2 mandarynki
- ½ pomarańczy
- 1 jabłko
- 250 ml czerwonego wina
- łyżka masła klarowanego
- natka pietruszki
- ziemniaki

Przygotowanie:

Piersi kaczki posypać przyprawami (np. odrobiną majeranki, oregano, tymiankiem), pokroić oliwą z oliwek, dołożyć 3 listki laurowe, ziele angielskie, 2 ząbki czosnku, trochę soli, pieprzu i zostawić w misce na dwie godziny w lodówce. Następnie przełożyć do worka do pieczenia, dokładając garstkę żurawin, dwie mandarynki i pół pomarańczy w cząstkach, pokrojone jabłko, pół obranego ziemniaka (żeby mięso było soczyste, bo skrobia to zapewni), dolać czerwonego wina i łyżkę masła klarowanego. Włożyć do rozgrzanego do 200 st. C piekarnika i od tego

momentu piec godzinę w temperaturze 180 st. C (program pieczenia góra-dół). Podawać na tacy z żurawiną, posypać posiekaną natką pietruszki. Do tak przygotowanego mięsa doskonale pasują pieczone ziemniaki i warzywa z piekarnika (np. marchewka, pietruszka, seler, kalafior, brukselka).

Deser:

Spód i ścianki żaroodpornego naczynia wykładamy biszkoptami bez cukru, na to pokrojone ulubione owoce (np. ananasy, brzoskwinie) i polewamy delikatnie dobrym alkoholem, np. mocnym likierem, whisky lub koniakiem. Na to wykładamy lody (smak według uznania) i zakrywamy pianą ubitą z białek. Pianę nakładamy tak, aby wystawała poza garnek,

i nie wygładzamy, ma być nierówna. Garnek wkładamy do rozgrzanego do temperatury 180 st. C piekarnika i pieczemy do momentu, aż piana (beza) zrobi się złocista. Wycinamy naczynie i podajemy na stół. Pianą była izolacją dla lodów, dlatego nasz deser – choć wyjęty z piekarnika – ciągle zachowuje zimne lody. ©©

**oprac. raw
Małgorzata
Wassermann jest
adwokatem, posłem
PiS, kandydatką na
prezydenta Krakowa.**



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Aby mniej bolało

Jeśli interesują się państwo zdrowiem, zapewne wiedzą państwo, jaki jest obecnie najmodniejszy organ. Jeśli nie, to spieszę z odpowiedzią. Jest to jelito. Część ciała, zdawałoby się intymna, o której dotąd nie mówiło się w towarzystwie, ostatnio stała się przedmiotem debaty.

O kłopotach z sercem, złamanej nodze, bólu gardła, migrenach czy wypadniętym dysku słyszało się to i owo od znajomych (czasem za dużo). Nikt jednak się nie wyrywał, żeby opowiadać, w jakim stanie są jego, za przeproszeniem, kiszki. Kto cierpiał na dolegliwości natury gastrycznej, ten po prostu dyskretnie opuszczał salon.

Teraz koniec z przesadami. Będziemy się dzielić wiedzą o wzdęciach, florze bakteryjnej, opowiadać o przyjemnościach oczyszczonego właśnie jelita itp. Bo wszystko, jak się okazuje, dzieje się w jelitach. Tam zaczyna się zdrowie albo choroba, tam znajduje się źródło depresji, odporności, tam tkwią przyczyny złego samopoczucia oraz otyłości. Potwierdzają to naukowe lub quasi-naukowe książki na ten temat, które ostatnio wyroili się obficie na rynku.

„Obserwacje badawcze dowodzą, że bakterie jelita grubego mogą nie tylko wpływać na cały rząd chorób, na przykład na cukrzycę, alergię, astmę, SM, autyzm, choroby serca i niektóre rodzaje nowotworów, ale też porozumiewać się z mózgiem i warunkować wagę naszego ciała, osobowość, a nawet zachowanie – przekonują autorki książki „Food Pharmacy.



**MOLLIE TUNITSKY
I GABRIELA
GARDNER
„DIETA FODMAP”
REBIS 2018**

Opowieść o jelitach i dobrych bakteriach, zalecana wszystkim, którzy przez żołądek chcą trafić do... zdrowego życia”. Jej autorki – Lina Nertby Aurell i Mia Clase – to, jak zachwala wydawca, pasjonatki zdrowego żywienia i tropienia bieżących badań na tematy gastryczne.

Kto z należytą powagą traktuje temat, zainteresuje się być może inną pozycją, bardziej praktyczną. Książka Mollie Tunitsky i Gabrieli Gardner „Dieta Fodmap. Łatwy program dla osób z IBS i refluksem żołądkowo-przełykowym” zawiera przepisy na dania pozwalające wyeliminować przykre dolegliwości. Bakłazan z pastą miso, ratatouille i grillowana kapusta pak choi z pewnością brzmią zachęcająco.

Ciekawe, co myślał o tym wszystkim ranny w bitwie pod Płowcami rycerz Florian Szary. Król Władysław Łokietek, oglądając pobojuwisko zobaczył go z otwartą raną brzucha, podtrzymującego wypływające jelita. Dzielnego wojaka odpowiedział, że mniej bolało niż zły sąsiad, na co król obdarował go nadaniem ziemskim i herbem Jelita z zawołaniem rodzonym „To mniej boli”. Ród Zamoyskich z pewnością jest dumny z protoplasty, choć nie wiadomo, czy wczuwa się wystarczająco w znaczenie własnego herbu. ©©

NASZ TEST: MITSUBISHI ECLIPSE CROSS KONTRA SKODA KAROQ

Obydwa modele to niezwykle modne kompaktowe SUV-y, które mają do siebie bardzo zbliżone wymiary. Eclipse Cross ma 4,405 m długości i 1,805 m szerokości, a Karoq 4,382 m długości i 1,841 m szerokości.

Eclipse Cross to model, który otworzył zupełnie nowy rozdział w historii japońskiej marki – wzrok przechodniów szybko przyciąga odważnie zarysowana linia auta inspirowana sportowym coupé. Uznanie kierowców szybko zdobyła też Skoda Karoq, która zastąpiła o wiele brzydszą, pudełkowatą Yeti, która ma jednak mniej uwodzicielską linię nadwozia niż japoński konkurent.

W KABINIE

Deska rozdzielcza w Eclipse Cross robi wrażenie nowoczesnej i oryginalnej. Mnóstwo tu srebrnych wstawek i ciekawych kształtów.



Zaletą jest także wyraźnie widoczny wyświetlacz przezierny (HUD).

Multimedialny ekran można obsługiwać dotykowo lub za pomocą niewygodnego gładzika. Dużo bardziej intuicyjny jest system obsługi multimedialnych zastosowany w Skodzie Karoq. Czeski model ma jeszcze jedną przewagę: niezłą nawigację. Tej zaś u Japończyka nie dostaniemy nie tylko w standardzie, lecz także nawet za dopłatą.

Jakość materiałów użytych do wykończenia jest podobna u obu producentów. Również miejsca dla pasażerów z przodu jest wystarczająco dużo w obu modelach. Z tyłu dużej

rodzinie wygodniej będzie w Eclipse Cross – o wiele niższy tunel środkowy pozwala bowiem wygodniej położyć nogi osobie podróżującej na środku tylnej kanapy. Czeski SUV ma za to istotnie większy bagażnik o pojemności 521 l. Tymczasem kufer w Japończyku pomieści zaledwie 374 l.

JAZDA

Mitsubishi prowadzi się pewnie i dobrze – to jednak pojazd dla osób, które nie oczekują na drodze zbyt wielu sportowych doznań. Eclipse Cross na rozpędzenie się od 0 do 100 km/godz. potrzebuje 9,5 s. Maksymalnie może się zaś rozpędzić do 205 km/godz.

Skoda jest o wiele bardziej dynamiczna. Od zera do pierwszej setki przyspiesza w 8,5 s.

Żaden z modeli nie da jednak kierowcy radości z dynamicznego pokonywania serpentyn – obydwie na ostrych zakrętach dość mocno się przechylają. Obydwie dość dobrze radzą sobie za to z tłumieniem nierówności.

Japończyk podczas testu spalał ok. 8 l/100 km, a Cześć – ok. 7 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP zarówno Mitsubishi, jak i Skoda zdobyły komplet pięciu gwiazdek. W kategorii ochrony dorosłych pasażerów Eclipse Cross uzyskał aż 97 proc. punktów, a Skoda Karoq – 93 proc. Za ochronę dzieci auto japońskiej marki dostało 78 proc., a czeskiej – 79 proc.

Za ochronę pieszych Mitsubishi zgarnęło 80 proc. punktów, a Skoda – 73 proc.

Japończyk jest wyposażony m.in.



w system ograniczający skutki kolizji czołowych oraz w asystenta pasa ruchu. Elektroniczni asystenci w czeskim modelu również zapobiegają kolizjom, a także wykrywają zmęczenie kierowcy.



CENA

Najtańsze Mitsubishi Eclipse Cross z benzynowym silnikiem o pojemności 1,5 l i mocy 163 KM, manualną skrzynią biegów oraz napędem na jedną oś kosztuje 94 tys. zł. Za najtańszy wariant z napędem na cztery koła i automatyczną skrzynią trzeba zapłacić 134 tys. zł. Japończyk w najdroższej wersji wyposażenia kosztuje 148 tys. zł.

Najtańsza Skoda Karoq – z silnikiem 1,0 l o mocy zaledwie 115 KM i manualną skrzynią biegów – to wydatek 87,9 tys. zł. Wersja z jednostką benzynową o pojemności 1,5 l i mocy 150 KM kosztuje już 95,4 tys. zł. Za najdroższego Karoq z dwulitrowym silnikiem Diesla, automatyczną skrzynią oraz napędem 4 x 4 trzeba zapłacić 131,5 tys. zł.

KONKURENCJI

Jeep Compass, Mazda CX5, VW Tiguan, Volvo XC40 ©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**MIT KAWALERII
ATAKUJĄCEJ CZOŁGI
– DODATEK SPECJALNY NA
ROCZNICĘ WRZEŚNIA '39**

Marcin Bartnicki – **Dąbrowszczacy, mięso armatnie Stalina**
Paweł Piotrowski – **Krwawy rzeźnik Świerczewski**
Jakub Ostromięcki – **Murzyni w wojnie secesyjnej**
Zehao Zhou – **Przeżyłem horror Mao**
Tomasz Stańczyk – **Polski premier Austro-Węgier**
Marian Zacharski – **Komandos Hitlera na usługach Mosadu**
Krzysztof Masłoń – **Ciemne oblicze Odojewskiego**
Piotr Zychowicz – **Gehenna żydowskiego księdza**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Polonia musi uważać

MARCIN MAKOWSKI: Co sływać w sprawie przeniesienia Pomnika Katyńskiego w Jersey City? Ostatnio sprawa ucichła, ale zdaje się, że dojdzie do referendum.

MATTHEW TYRMAND: To prawda, są takie plany, ale akurat w tej sprawie coraz mniej chodzi o pomnik, a coraz więcej o karierę konkretnych osób. Wiele razy rozmawialiśmy na temat amerykańskiej Polonii, jej roli w kształtowaniu wizerunku Polski za oceanem i wpływu, jaki może mieć na politykę stanową. Jestem zwolennikiem przenikania Polonii w lokalne struktury władzy, bo tylko w taki sposób Polska może liczyć na autentyczny lobbing w USA. I nagle w tej układance, z Pomnikiem Katyńskim w tle, pojawia się Sławomir Platta. Prawnik, który zajmuje się odszkodowaniami za wypadki oraz ugodami, gdy dojdzie do uszczerbku na zdrowiu (tzw. ambulance chaser). To najniższa forma uprawiania tego zawodu, jaka istnieje. Po tym, gdy zdobył popularność jako nieugięty obrońca obecnego miejsca ustawienia pomnika, wykorzystał ją do nakręcania podupadającej kariery politycznej. Problem polega na tym, że zamiast wysokiej kultury osobistej, gruntownego wykształcenia i patriotyzmu na pierwszy

plan wybija się u niego chęć zrobienia kariery za wszelką cenę.

Nie przemawia przez ciebie zawiść? Nie ma chyba nic złego w wykorzystywaniu rozpoznawalności w polityce.

Owszem, jeśli przyświecają ci dobre intencje, a tutaj mam spore wątpliwości. Nie ma sensu, żebym powtarzał swoje stanowisko na temat Stevena Fulopa i całej sprawy, ale prawdą jest, że na końcu udało się zawrzeć rozsądne porozumienie pomiędzy Konsulatem Generalnym RP w Nowym Jorku a burmistrzem Jersey City. Pomnik miał zostać przeniesiony w inne miejsce. Czy to idealne rozwiązanie? Na pewno nie, lepiej byłoby, gdyby wszystko pozostało po staremu. Niestety patrząc realistycznie, nie dało się ugrać niczego lepszego. W tym momencie nasz prawnik uznaje, że polskie władze zdradziły, i zaczyna zbierać podpisy o zwołanie miejskiego referendum, blokując wykonanie porozumienia. Dodatkowo rozpowiada kłamstwo, jakoby w pomnik były wmurowane prochy ofiar katyńskich. Niestety część podpisów referendalnych nie spełniała wymogów, dlatego Platta musiał powtórzyć ich zbieranie, aż w końcu się udało. W tej chwili rada miasta Jersey City stoi

przed potencjalną koniecznością wyłożenia sporej sumy pieniędzy na głosowanie, które większości mieszkańców nie obchodzi. Gdybym miał strzelać, jak to się wszystko skończy, moim zdaniem pomnik i tak zostanie usunięty, ale zamiast znaleźć się gdzie indziej, trafi do magazynu i będzie w nim stał dopóty, dopóki nie zakończą się inne rozprawy. A wszystko po to, aby jeden człowiek miał paliwo polityczne w wyścigu do senatu stanu Nowy Jork, do którego i tak najpewniej nie uda mu się dostać.

I gdzie jest problem? Może niech wystartuje, najwyżej przegra z kretešem.

Problem polega na tym, że do tego czasu może zszargać dobre imię lokalnej Polonii. Ilość brudów, które wychodzą na światło dzienne z tej okazji, jest przytłaczająca. Coraz częściej sływać o jego zatargach z byłą partnerką, która oskarżyła go o stosowanie przemocy, a sprawa trafiła do sądu. Wcześniej robił wszystko co w jego mocy, aby zostać Marszałkiem Parady Pułaskiego, łącznie z naginaniem regulaminu i mobilizowaniem do głosowania na jego kandydaturę Latynosów, którzy nie wyglądali, jakby wiedzieli, pod czym się podpisują. Tak czy inaczej, wygrał, nie rozstając się z pompatyczną, białoczerwoną szarfą Marszałka, którą nosił przy każdej okazji. Łącznie z pogrzebem Zbigniewa Brzezińskiego, gdy ostatecznie został skłoniony przez gości do jej zdjęcia. Gwarantuję ci, że nic dobrego z tego nie wyjdzie – ani dla Polonii, ani dla niego. Jeśli ktoś angażuje rosyjskie media, aby relacjonowały jego „walkę” o pomnik w kontrze do polskiego rządu, czy trzeba coś tutaj więcej dodawać? Tego typu ludzie to „najgorszy sort Polonii”. Karierowicze i drobne cwaniaczki grające na siebie nigdzie nas politycznie nie zaprowadzą. Niestety. ©©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



OKIEM JASTRZĘBIA

Zaskakująco cudowne zmartwychwstanie

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Sprawa jest na tyle smutna, że ociera się o czysty nonsens. W położeniu tak absurdalnym ludziom kulturalnym nie pozostaje nic innego, jak śmiejąc się, szukać pozytywów. Za mną!

Po mundialu w Rosji wydawało się, że nic gorszego przydarzyć się już w polskiej piłce kopanej nie może. W sukurs naszej skarłalej wyobraźni przyszła jednak Legia Warszawa ze swoim świeżym swojskim zaśpiewem: „Co? My nie przegramy?”. I trzeba przyznać, gieroje stołeczne dopięły swego, przegrały dwumecz z drużyną z państwa bardzo bogatego (czy ja tu coś haniebnego sugeruję?) i maciupkiego (armia poniżej 1 tys. żołnierzy), z Luksemburga. Dzięki temu pojedynekowi wielu ludzi się dowiedziało, że w Luksemburgu w ogóle jest piłkarska drużyna i że w dodatku nazywa się Dudelan-ge (ja np. nie miałem pojęcia, no skąd?). Niespodziewany wyczyn naszych najlepszych krajowych kopaczy, czyli odpadnięcie w dwumeczu z prawie nieistniejącą w powszechnej świadomości do tej pory drużyną, odbił się szerokim echem na świecie. Że jednak Polak potrafi...

To niejeden pozytywny. Dzięki urzekającej klęsce legionistów zmartwychwstała nam, proszę państwa, epistolografia. Już, już się wydawało, że ją załatwiły te SMS-y, te ikonki, te lajki, te heheszki. A tu nie. Z inicjatywą wystąpił prezes i właściciel Legii Dariusz Mioduski. Po historycznym wydarzeniu napisał list otwarty do kibiców swojej drużyny. Złośli-

wi twierdzą, że pisząc ów list, był w stanie opisanym przez Sorena Kierkegaarda w dziele „Bojaźń i drżenie. Choroba na śmierć”, choć osobiście uważam, że motywacje były raczej biznesowe. Ku mojemu zdziwieniu w liście bardzo mało jest pozytywów. Prezes uderza się w swoją szczupłą arystokratyczną pierś, że wstyd przeżywa jednak i rozgoryczenie, że on daje tym piłkarzom pieniądze i stwarza warunki, a oni tak nietypowo z tymi z Luksemburga. Tutaj mógłbym mieć pewne zastrzeżenia do tejsze epistolografii, jako nazbyt banalnej, powiedziałbym usługowej wręcz. Mało zaskakującej, po prostu.

Doradzałbym w tym zakresie czerpanie z kanonu polskiej literatury epistolograficznej, np. z cudownych listów pisanych przez Juliusza Słowackiego do matki swej Salomei. Pozwolę sobie zacytować

urzekająco zaskakujący fragment jednego z listów, który od lat łączy mi po łbie. „Mieszka teraz ze mną przybyły z zagranicy Januszkiewicz, ten sam, którego Mama zaraz po przyjeździe do Karlsbadu na ulicy spotkała, a z miny poznawszy, że Polak, poprosiłaś go po francusku, żeby Mamie dopomógł w wyszukaniu mieszkania”. No, ale jak z miny poznawszy, że Polak? Polacy mają jakieś specjalne miny? A jak Polak, to dlaczego do niego po francusku? Hę? Tak się pisze listy. Ale dobra, zostawmy to.

Najważniejsze, że doszło do epistolarnej interakcji i kibice odpowiedzieli Mioduskiemu. Ich list jest lepszy. Zwracają uwagę na absurdalne wyczyny cieniasów z boiska i przejmują inicjatywę. Krytykują dobór kadry, żądają szczegółowych zmian i – tu najbardziej nowatorskie – chcą dostępu do informacji o pieniądzach Legii. No, no, szacunek! A wszystko to napisane sprawnie, dobrą polszczyzną, logicznie, no, no, szacunek.

Mam głęboką nadzieję, że sztuka pisanie listów, na początek w Legii, będzie się rozwijać. Kibice mogą np. reagować listami do Dariusza Mioduskiego na bieżąco, w trakcie meczów przekazywać sztabowi swoje uwagi, dzielić się doświadczeniem i wprost żądać zmian, z trybun wysyłając listy gołębiami pocztowymi (sprawdziłem, gołębie nie są objęte stadionowymi zakazami). Oczywiście listy mogą być lapidarne, np. „Zdejmij, k...”, tego lamusa z ataku”, ale sądząc po obiecujących początkach wymiany pism, wszyscy mamy nadzieję na korespondencję równą tej, jaką Jan kierował do Maryśki czy Julek do Salomei. I ja bardzo proszę, żeby nas tu nikt nie zawiódł! ©©



OKIEM BLOGERKI

Nie płakałam po Kozłowskiej



KATARYNA

BARTOSZ KRAK: *To sytuacja bez precedensu, żeby kraj unijny wydał cudzoziemca ze względu na publicystyczną działalność członków jego rodziny.*

Prawdziwe powody wydalenia Ludmiły Kozłowskiej są niejawne, więc Kramek i jego klakierzy mogą bezrefleksyjnie powtarzać, że to zemsta za tekst o wyłączeniu rządu, którego nawet opozycja nie wzięła serio i nikt planu Kramka wdrażać nie zamierzał. Wbrew temu, co Kramek zapewne sądzi o sobie, jest on postacią bez realnego znaczenia i tłumów za sobą nie pociąga, władza naprawdę nie ma powodów się go bać tak bardzo, jak Kramek sądzi, że się boi. Niestety, niektórzy politycy PiS postanowili wesprzeć narrację Kramka i swoimi wypowiedziami utwierdzają jego i opinię publiczną w przekonaniu, że wydalenie Kozłowskiej było spowodowane jej opozycyjną działalnością, i w ten sposób pomagają robić z niej ofiarę reżimu, gdy powody wydalenia mogą być – i prawdopodobnie są – dużo bardziej prozaiczne. Gdy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze. Czasami lekko przybrudzone.

Każdy, kto się przymierza do obrony Ludmiły Kozłowskiej, powinien zapoznać się z obszernym raportem, który na temat działalności fundacji Otwarty Dialog przygotował Marcin Rey, autor strony „Rosyjska V kolumna w Polsce”, który konsekwentnie tropi i ujawnia rosyjskie ślady w polskiej polityce i gospodarce, i robi to bez żadnej politycznej agendy. Lektura raportu jeży włos na głowie, jeśli ktoś znający te fakty przekonuje, że Kozłowska jest szykanowana za publicystyczną działalność męża, to jest albo pożytecznym idiotą, albo skrajnym cynikiem.

Otwarty Dialog jest w rzeczywistości fundacją rodzinną, finansowaną w 4/5 przez rodzinno-biznesowe otoczenie przedsiębiorcy Petra Kozłowskiego z krymskiego Sewastopolu, brata Ludmiły. Sposób, w jaki Petro Kozłowski działał i działa nadal na okupowanym Krymie i w samej Rosji, jest prawie tak kontrowersyjny jak poczynania kazachskiego oligarchy Muchtara Abliazowa czy rosyjskiego biznesmana Naila Maliutina, których obrona przed ekstradycją do krajów pochodzenia jako „działaczy praw człowieka” była, do czasu ukraińskiego Majdanu, głównym polem wysokobudżetowej aktywności lobbystycznej fundacji Otwarty Dialog.

Osią biznesu Petra Kozłowskiego jest przejęty przez niego w wątpliwy sposób podupadły państwowy zakład produkcji oświetlenia okrętowego Majak w Sewastopolu. Całkowicie sprzeczny z proukraińskim wizerunkiem fundacji jest fakt, że wyroby firmy jej głównego darczyńcy trafiają przede wszystkim do rosyjskich państwowych stoczni obsługujących marynarkę wojenną. Dyrektorzy tych filii, handlujący na co dzień z rosyjską admiralacją, należą do największych darczyńców fundacji.

To tylko niewielki fragment obszernego raportu Reya, ale on sam wystarczy do poważnej analizy działalności fundacji pod kątem możliwego wprowadzania do obrotu środków w najlepszym razie niewiadomego pochodzenia. Legendowanie Kozłowskiej, robienie z niej ofiary niezasłużonych szykan, gdy wokół finansów jej fundacji jest tyle znaków zapytania, ociera się o skrajną nielojalność wobec własnego państwa, które – bez względu na to, kto nim akurat rządzi – musi się bronić przed podobnymi praktykami być może obcych służb. Nawet jeśli ich ładną twarzą jest niepozorna działaczka. ©©

PODSŁUCHANE

Dalszy plan działań

Czarek, to jednak nie był dobry pomysł z tymi drzwiami i taśmą. Absolutnie się z tobą, Rafale, nie zgadzam. Ulegasz nagonce PiS-owskich trolli, a tymczasem ludzie to doceniają, zobaczysz. A jakby ta szyba przy wszystkich wypadła i kogoś poraniła? Żartujesz? Takich rzeczy się nie zostawia przypadkowi. Takie prze-

zrocyste żytki zamontowaliśmy, była asekuracja. Ale nie powtarzajmy już podobnych numerów, OK? Rafale, rozczarowujesz mnie. Zerknij tu, do tabletu, ja tu mam dalszy plan takich działań, aż do końca kampanii rozpisany. „Rafał naprawia za pomocą spinacza do papieru przypadkowo zepsuty tramwaj w alei Solidarności”... No, nie wiem. Czytaj dalej. „Rafał za pomocą sreberka od czekolady reperuje urządzenie

sygnalizacji kolejowej, likwidując zator w tunelu średnicowym”. To chyba przesada... Nie doceniasz sam siebie. „Rafał przejmując pilotowanie samolotu z Brukseli przed lądowaniem na Okęciu, ratując pasażerów przed katastrofą po zatruciu obojga pilotów przeterminowanym stekiem, dostarczonemu przez firmę, której właścicielem jest członek PiS”. Czarek, to przegięcie. No dobra, niech będzie, że nie członek, ale sympatyk. I słuchacz Radia Maryja. ©© Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS chce setkom tysięcy polskich rodzin odebrać »500+«. Trzeba bronić polskich rodzin i dzieci przed PiS-em”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

fot. Jerzy Gumowski



Magik

Zeszłego roku opublikowałem tu („Do Rzeczy” 38/2017) felieton o „numerach” Josepha Pinnettiego (1750–1800), włoskiego iluzjonisty, który był bezkonkurencyjnym kuglarzem swoich czasów. Po jego występach w Berlinie Fryderyk Wielki rzekł, iż ta metropolia jest zbyt mała dla dwóch monarchów: króla Prus i króla Czarów. Pinetti zrazu przedstawiał się skromnie jako „rzymski profesor matematyki”, później jako „profesor magii naturalnej”, wreszcie (za sprawą „antrepreneurów”, czyli ówczesnych menedżerów organizujących jego występy wewnątrz teatrów bądź sal koncertowych) jako „czarnoksiężnik sultana egipskiego”. Miał mizerny wzrost i był krąglutki (spora tusza), lecz bardzo ruchliwy, a jego sztuczki sprawiły, że powszechnie zwano go „cudotwórcą” (od jego nazwiska upowszechnił się wtedy przymiotnik „pinetny” – cudowny). Znałe z opisów zostawionych przez rozlicznych świadków – są tak niesamowite, że najwybitniejsi dziś iluzjoniści nie tylko nie umieją ich powtórzyć, lecz nawet nie mogą ich wytłumaczyć (ja przypuszczam, że magik ów stosował m. in. zbiorową hipnozę). Po opisanu kilku (w tamtym felietonie) dostałem listy z prośbami Czytelników, by przytoczyć więcej tych „cudów” Pinnettiego, niniejszym tedy prośby owe spełniam. Ukazę „numery” prezentowane przezeń w Polsce, którą Pinetti bardzo kochał, osiadł tu pod koniec życia (goszczono go bowiem suto w polskich dworach magnackich i szlacheckich tudzież na dworze króla Poniatowskiego) i tu zmarł (na Wołyniu).

Wszędzie przyjmowano „króla–czarnoksiężnika” niczym prawdziwego króla. Kiedy w sierpniu roku 1796 wjeżdżał do Wilna (dla młodych: Wilno było przez kilkadziesiąt lat metropolią polską, tak jak i Lwów) – witały go czolobitnie tłumy obywateli staropolskiego grodu, plus mnóstwo VIP-ów ówczesnych, m. in. szambelan i poeta Trembecki, kanclerz Chreptowicz, koniuszy nadworny Kiki i wojewodzina Podolska (siostra króla). Wypędził go niebawem z miasta rosyjski satrapa, generał Repnin (wcześniej warszawski ambasador carycy Katarzyny Wielkiej). Pinetti opuścił Wilno czterema miejskimi bramami równocześnie (!). Strażnicy każdej bramy donieśli księciu Repninowi, iż była wtedy właśnie godzina dziękuję, lecz nim skończyli składać meldunek, magik zjawił się u Repnina i sam zameldował o swym wyjeździe każdą bramą. Przy okazji „odszybuwał” (oddzielił od ciała) nogę sekretarzowi dygnitarza, zaś kamerdynerowi rękę, lecz gdy ci zaczęli płakać, „przyszybuwał” im kończyny na powrót.

Takich niewytłumaczalnych dziś trików miał w repertuarze sporo. Podczas występów „na teatrum” pałacowym, gdzie widownia składała się z samych nobilów, brał od każdego po złotym dukacie i wszystkie te monety wrzucał do dużej misy, a następnie przykrywał ją chustą lub płachtą. Kiedy chwilę później po płótno zdejmował – w misie trzepotała się wielka ryba, zaś dukatów nie było ni śladu. Rozcinał więc brzuch ryby i dukaty wysypywały się z jej wnętrza. Podane mu szpady i szable gryzł na drobny miał z łatwością, chrupały mu między zębami niby obwarzanki. Złote zegarki magnatów tłukł w móżdżerzu i wysypywał zeń szczątki tychże, a potem zwracał je całe (nieuszkodzone) właścicielom. Z talii ręcznie malowanej rzucił widzom takie karty, jakiego sobie obmyślił – rzucił niby kamykami wystrzelowanymi celnie proca: karta trafiła do rąk osoby właściwej. Nabijał garlacz sześcioma małymi jajkami, twierdząc, że są to jajka kanarków, po czym naciskał spust, wystrzelone jajka uderzały w krzew odległy o kilka metrów i widzowie mogli zobaczyć na gałęziach krzewu sześć kanarków ćwierkających wesoło. Gdy rozcinał pieczo-



Wacław Potocki: „Gdzie one jego cuda, gdzie one widziadła?”



ny drób – z każdego kuraka czy bażanta wylatywała żywa przepiórka. Tłukł szklanki albo kielichy o sufit bądź o ścianę, a one spadały na niedźwiedzia skórę lub na dywan całe, bez uszkodzenia żadnego. Głowę ucinął psu jednym cięciem szabli, aż tryskała krew, a po chwili pies radośnie szczekał i łasił się do niego.

„Król Staś” oraz jego dworzanie uwielbiali produkcje, jakie dawało „diabelskie Włoszysko” (choć niektórzy bali się magika, bo miał opinię „władcy biesów”, co zresztą wzmiankuje w „Panu Tadeuszu” Adam Mickiewicz), dlatego też Włoch nim opuścił Wilno dał aż dwa występy dla króla. Za pierwszym razem król zaprosił go do obiadu. Podano talerze i sztucce, a Pinetti pyta jak ma jeść zupę kiedy nie ma łyżki – łyżka zniknęła. Zniknęły również łyżki parunastu innych biesiadników. Zrobił się rwestes, lokaje przynoszą nowe łyżki, te jednak natychmiast znikają, kolejne także, aż zniknęły wszystkie, jakie były wewnątrz szufład, więc kredensiarz królewski każe otwierać skrzynie z zapasowymi sztućcami, pośród służby ogromna konsternacja, lecz monarcha zachwycony, śmieje się i bije brawo, natomiast Pinetti zaczyna odnajdywać kolejne łyżki w garderobie, fryzurach i sakiewkach uczestników wieczerzy (szambelanowi Trembeckiemu wyjął z płudrów kilkanaście, a marszałkowi koronnemu Mniszchowi kilka z harcapa). Gdy już odnalazł

wszystkie, zapytał kamerdynera Russo czy rzeczywiście wszystkie. Francuz przeliczył dwa razy i stwierdził, że wciąż brakuje jednej. Wtedy magik podszedł do Stanisława Augusta i znalazł tę ostatnią w futerale królewskiej szpady.

Drugi pokaz odbył się 16 sierpnia w hali dużego gmachu, która kiedyś mieściła przędzalnię podskarbiego Tyzenhauza, a teraz przerobiono ją na salę widowiskową dla Pinnettiego, bogato dekorując brokatami, kobiercami tureckimi, meblami i wypchanym egzotycznym ptactwem. Scena „gorzala od ognia” dzięki wielu lampionom i pochodniom, czterech asystentów magika mieli na głowach „globusy gorejące niby lampy”, on zaś nosił długą „szatę czarnoksiężską” naszywaną srebrem i złotem oraz wysoką szpiczastą czapę „sztukarów” (tak zwano wtedy iluzjonistów). Kronikarz pisał: „Cała zabawa trwała trzy godziny. Od czasu do czasu wydobywała się jakby spod ziemi smętna muzyka, tudzież rodzaj mgły, wydającej woń mocną, lawendową, pomieszaną z benzoesem i piżmem. Odór był tak odurzający, iż panie słabsze musiały czasem wydalać się na korytarze, aby nie zemleć. Myszmy tam niektórzy od jego sztuczek bardzo się przelekli, bo też w istocie był z niego psotnik nie lada, co z nieczystą siłą ani chybi miał sprawę”.

Ów długachny (kilkugodzinny) występ, pełen typowych (czyli wprost niesamowitych) „numerów” Pinnettiego („wskrzeszanie” umarłych, etc.), zmęczył publikę (czasami wystraszoną mocno), tedy na koniec kuglarz zaprosił wszystkich do „kredensu gustownie ozdobionego cukrami, limonadami, lakociami przeróżnymi i winem dla amatorów”. Bufetem tym zarządzał nadworny cukiernik Rugino, który dla uświetnienia imprezy przygotował dużą porcję szalenia naczynia modnych „maldrzyków”, czyli niewielkich serków słodzonych kunsztownie i wyglądających jak ciasteczka. Pinetti spytał Rugina po ile ten sprzedaje „maldrzyki”, a kiedy usłyszał, iż „po dudku”, prychnął, że to zbyt tanio i zaczął je rozłamywać, wyjmując z każdego złotą monetę. Był to tradycyjny „numer” (Włoch często bawił się nim na jarmarkach, przełamując bułki), lecz tym razem dał mu fenomenalny finał. Gdy bowiem zdenerwowany Rugino ogłosił, że więcej „maldrzyków” nie sprzeda widzom (chcąc samemu dobywać złote monety dla siebie) i zaczął łamać „maldrzyki” – z każdego przełamanego, miast złota, wyskakiwała żywa mysz! Kronikarz: „Damy się wystraszyły, panowie w śmiech do rozpuku. Na tym się skończyło to cudowne, a, odpuść Boże, szatańskie widowisko”.

Aż dziw bierze, że taki rozchwytywany wirtuoz magii zmarł w nędzy, chociaż wcześniej zgromadził ogromną fortunę. Żle jako pono zainwestował, wchodząc w spółkę z cwaniakami, którzy organizowali będące wtedy „krzykiem mody” loty balonowe. Ci macherzy wykuglowali arcykuglarza do czysta. Wniosek dla nas: nie ma lepszych magików od banksterów. ©©

Waldemar Łysiak

Oferta
dla domu

Wszędzie tam, gdzie potrzebujesz pomocy. Jesteśmy przy Tobie.

Wybierz ofertę „Przyszłość bez awarii”
i korzystaj z pomocy fachowców!



Zapewniamy energię



JUŻ DZIŚ PODPISZ UMOWĘ

Zapraszamy do

Biur Obsługi Klienta PGE

422 222 222

serwis@gkpge.pl

ebok.gkpge.pl lub **zapewniamyenergie.pl**